



Nie wiedziała,
czy bardziej kocha
to miejsce,
czy nienawidzi...

Sonata dla Motyla

MAGDALENA KUBASIEWICZ


Replika

A decorative border of ivy leaves frames the central text. The leaves are detailed, showing veins and lobes, and are arranged in a way that they appear to be climbing around the text.

Sonata
dla Motyla

MAGDALENA KUBASIEWICZ

Sonata
dla *Motyła*


Replika

Copyright © Magdalena Kubasiewicz

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Magdalena Kawka

Projekt okładki

Iza Szewczyk

Zdjęcia na okładce

Copyright © depositphotos.com/apid

Copyright © depositphotos.com/ tuja66

Copyright © depositphotos.com/ gvictoria

Copyright © depositphotos.com/ AlisaFoytik

Skład i łamanie

Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Dariusz Nowacki

ISBN 978-83-7674-385-1

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 61 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.eu

Najlepszym rodzicom, najukochańszym dziadkom

I

Anna

Polskie drogi zajmowały zaszczytne, bo siódme miejsce na liście rzeczy, których Anna szczerze nienawidziła. Każda dłuższa podróż jawiła się jej jako nader nieprzyjemne przeżycie i ilekroć kobieta siadała za kierownicą, mając przed sobą wizję pokonania setek kilometrów, żałowała, że nie może podróżować czołgiem. Taka przejażdżka stanowiła zresztą jedno z jej największych marzeń. Mogłaby wtedy strzelać do co bardziej bezczelnych kierowców, przekonanych, że na pewno zdążą wyprzedzić bądź ktoś zrobi im miejsce, a także tarasować auta pozostawiane tuż przed skrzyżowaniami, bo ich właścicielom nie chciało się przejść pięciu kroków od parkingu.

Przed wszystkim zaś nie musiałaby się obawiać, że gdzieś na bocznych drogach, dziesiątki kilometrów od cywilizacji, utknie w błocie bądź złapie gumę.

– Niech to szlag – wymamrotała Anna, nie mając już nawet siły się denerwować i trzykrotnie uderzyła czołem o kierownicę. Rozległ się dźwięk klaksonu, który zapewne spłoszył wszystkie okoliczne wiewiórki, nienawykłe do obecności samochodów w centrum ich królestwa.

Ukochany, acz już mocno leciwy opel Anny nie był przystosowany do ekstremalnych warunków, jakie zaserwowała mu jedyna droga prowadząca do Zguby. Nierówna, wąska i wyboista ścieżka wiła się niczym wąż, zmuszając kierowcę do zastanawiania się, co będzie, jeśli na kolejnym zakręcie znienacka napotka jadące z przeciwka auto. Nie można było powiedzieć, że jest pełna dziur – ona sama stanowiła jedną wielką dziurę i uniemożliwiała rozwinięcie większej prędkości niż dziesięć kilometrów na godzinę. Gałęzie co chwila uderzały w szyby, a wizja rys, jakie z pewnością pojawiły się na drzwiach, nie napelniała Anny optymizmem. W dodatku po ostatnich deszczach trasa bardziej przypominała płytkie bagno niż drogę i okazała się dla opla przeszkodą nie do pokonania.

Po raz kolejny od piątej rano, kiedy to wyjechała z Warszawy, nawiedziło ją przemożne pragnienie, aby wrzucić wsteczny bieg i zawrócić. Znów jednak zdołała jakoś zdusić w sobie chęć powrotu. Miała za sobą ponad dziewięć godzin jazdy, w tym dwie spędzone w korkach, dwanaście wahadeł i jedną kontrolę przeprowadzaną przez wyjątkowo nadgorliwych policjantów. Nie przeżyłaby teraz

drugiej takiej podróży, a od celu dzieliło ją zaledwie pięć, sześć kilometrów. Poza tym nie mogła tak po prostu się rozmyślić, musiała dotrzeć na miejsce. Była to winna Elżbiecie.

– Zły początek. Oby to nie było ostrzeżenie od losu – westchnęła, wysiadając z auta. Od razu zapadła się w błoto po kostki, kompletnie niszcząc ukochane trampki. To tyle, jeśli chodzi o odpowiednią prezencję córki marnotrawnej powracającej w rodzinne strony po kilkuletniej nieobecności. Będzie cała brudna, zanim dotrze do Zguby, *o ile* oczywiście tam dotrze. Po drodze mogła w końcu utonąć i nikt nigdy nie odnalazłby jej trupa. Przez moment Anna zastanowiła się, czy to byłaby taka zła opcja.

– Trzymaj się, Staruszk – powiedziała do opla, otworzyła tylne drzwi i wyciągnęła plecak. Torbę w bagażniku postanowiła zostawić w spokoju. Nie miała dość wiary we własne siły, aby próbować wziąć ją ze sobą. – Nigdzie nie uciekaj. Bądź grzeczny, mamusia niedługo wróci.

Pieszczotliwie poklepała maskę samochodu. Oczywiście, wielokrotnie zarzucano jej, że oszalała, skoro traktuje auto jak człowieka, ale niespecjalnie się tym przejmowała. Znajomi zresztą wysuwali wiele innych argumentów na poparcie tezy o obłędzie Anny, niekoniecznie dotyczących auta.

– Dziewczyno, ty chcesz leczyć ludzi? – prychała zawsze Kasia, współlokatorka i najlepsza przyjaciółka Anny zarazem, ilekroć ta radośnie witała swojego Staruszka, jak lubiła nazywać zdezelowanego opla. – Zaczynaj od siebie, skarbie! Jeśli na tej psychologii jest więcej ludzi podobnych do ciebie, to nigdy w życiu nie pójde do żadnego terapeuty, choćbym doznała wszelkich możliwych zaburzeń osobowości!

– Kobieto! Kobieto! – powtarzał Drozd groźnym tonem, ale oczy się mu śmiały. – Okazujesz temu samochodowi więcej uczucia niż mnie. Zobaczysz, pewnego dnia oszaleję z zazdrości i doprowadzony do ostateczności popełnię jakąś zbrodnię. Na przykład napełnię bak olejem albo zrobię coś równie okrutnego.

Anna uśmiechnęła się do siebie, zarzuciła plecak na prawe ramię i ruszyła drogą, brnąc w błocie po kostki. Robiło się jej lżej na duszy za każdym razem, gdy pomyślała o Droździe, jego pociągłej, bladej twarzy, szarych oczach, szerokich ustach i głębokim głose. Biedak, nie miał pojęcia, co naprawdę oznacza wyrażenie „oszaleć z zazdrości”. Na tę myśl uśmiech spełził z ust dziewczyny. Ona akurat aż za dobrze poznała pełne możliwości kogoś, kto rzeczywiście jest chorobliwie zazdrosny.

Nerwowym gestem przeczesła krótkie włosy, kończące się kilka centymetrów nad ramionami. Ścięła je w pierwszym tygodniu studiów. Gdy współlokatorka Anny ujrzała jej dzieło, załamała ręce, a następnie złapała za nożyczki, doprowadziła bałagan na głowie koleżanki do porządku i zaoferowała pomoc przy farbowaniu nijakich, jasnobrązowych kosmyków na rudo („Bo ja już

widzę, że ty skończysz z zieloną głową albo całkiem łysa, jeśli cię zostawię samą sobie”). Kasia definitywnie minęła się z powołaniem – powinna zostać dyplomowaną kosmetyczką, stylistką albo projektantką mody, a nie studiować stosunki międzynarodowe. Od tamtych postrzyżyn to ona dbała o wygląd Anny i to dzięki niej dziewczyna szczyła się modną fryzurką oraz opanowała obsługę tuszu do rzęs, który wcześniej traktowała jako narzędzie masowej zagłady.

Po pół godzinie drogi trampki reprezentowały sobą obraz nędzy i rozpacz, a ciemne dżinsy były ubłocone niemal do kolan. Ilość plam na spodniach rosła mniej więcej w takim tempie jak niepokój Anny. Rozpoznawała już pewne charakterystyczne punkty: przechylona sosna, od której zawsze oczekiwało się, że runie przy pierwszej lepszej burzy i zatarasuje drogę. Ogromny kamień porośnięty mchem, stojący tuż przy tym czymś, co śmiało udawać drogę. Tylko parę kroków dzieliło Annę od ścieżki prowadzącej do domu położonego w pewnym oddaleniu od pozostałych zabudowań. Domu, w którym spędziła większość dzieciństwa. Domu, z którym wiązały się jej najlepsze – a także najgorsze – wspomnienia. Zarówno jedne, jak i drugie konsekwentnie usiłowała wymazać z pamięci.

– Myśl pozytywnie – nakazała sobie, przymykając powieki. – Prawdopodobnie w domu zastaniesz tylko Elżbietę i Emila. Miło będzie ich znowu zobaczyć. Pogawędzisz z Elżbietą o studiach, pokażesz jej zdjęcia i zobaczysz, co nowego pojawiło się w ogrodzie. Na pewno upiekła ciasto, a nikt nie robi takiej szarlotki jak ona. Potem oprzesz Emilowi głowę na ramieniu i opowiesz o Kaśce, Droździe i tym szalonym facecie, który prowadzi zajęcia ze statystyki. Będą szczęśliwi, a ty spędzisz tu parę miłych dni, oddychając czystym powietrzem, wypoczywając na łonie natury i po, góra, tygodniu spakujesz się, żeby dołączyć do paczki w Kołobrzegu. O raju, mówię do siebie tak, jakbym była swoją własną pacjentką!

Moment później, gdy spacerowanie z zamkniętymi oczami skończyło się potknięciem i upadkiem prosto w kałużę, Anna doszła do wniosku, że na przeprowadzanie terapii – nawet, czy też zwłaszcza, na samej sobie – powinna poczekać do skończenia studiów. Wcale nie czuła się lepiej, w dodatku była jeszcze bardziej brudna niż przed chwilą. Jakby tego było mało, z ciemnych chmur zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Paskudna pogoda zajmowała piąte miejsce na liście najbardziej nienawidzonych rzeczy przez Annę. Miała ochotę głośno stwierdzić, że gorzej już być nie może, ale nie chciała dodatkowo kusić losu. I tak nie był wobec niej zbyt łaskawy. Gdyby pozwoliła sobie na taki komentarz, zapewne okazałoby się, że gdzieś po okolicznych lasach grasuje jakiś wścikły, bardzo głodny niedźwiedź.

Mój anioł stróż wziął sobie urlop, pomyślała ponuro. Albo znów popadł w alkoholizm.

Już dawno temu opracowała teorię, wedle której jej prywatny anioł wpadł

w szpony alkoholizmu, gdy ona była małym dzieckiem. Zaczął wychodzić z nałogu dopiero przed czterema laty i wydawało się, że jest na jak najlepszej drodze ku wyleczeniu, kiedy nagle spotkał jakiegoś starego znajomego, poszli razem na parę piw i tak jakoś dalej poszło... Bo jak inaczej wyjaśnić telefon, który odebrała trzy dni temu?

– Julianko – powiedziała Elżbieta do słuchawki i Anna od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Upłynęło wiele czasu, odkąd Elżbieta nazwała ją w ten sposób. – Julianko, wiem, jak nie lubisz wracać do Zguby, ale muszę się z tobą zobaczyć. Sama nie mogę pojechać do Warszawy. Proszę cię, wpadnij chociaż na parę dni. To naprawdę ważne.

Anna więc naraziła się na wybuch wściekłości Kasi, mówiąc jej, że nie może jechać z nimi do Kołobrzegu. Zniosła rozczarowaną minę Drozda i narzekania Wiołki. Spakowała torbę, napełniła bak, wsiadła za kierownicę i ruszyła w podróż przez pół Polski, pewna, że Elżbieta nie przedstawiłaby zaproszenia w takiej formie, gdyby nie stało się coś złego. Do Zguby i większości jej mieszkańców Anna miała mocno ambiwalentny stosunek, ale Elżbietę kochała, choć nie zawsze umiała to okazać. Nie widziały się od paru miesięcy i wypadło złożyć przynajmniej krótką wizytę. Inna sprawa, że idea powrotu do rodzinnych stron przyprawiała dziewczynę o mdłości.

Zatrzymała się przed zieloną tabliczką, na której widniał biały napis „Zguba”. Potrzebowała bardzo długiej chwili, żeby zmusić się do zrobienia kolejnego kroku. Wiedziała, że to głupie, ale czuła się tak, jakby właśnie przekraczała niewidzialną granicę. Deszcz, z dużym wycuciem dramatyizmu, rozpadał się na dobre dokładnie w momencie, w którym przechodziła obok tablicy. Anna przyspieszyła kroku, świadoma, że i tak niewiele w ten sposób osiągnie. Zanim schroni się pod dachem, zdąży przemoknąć do suchej nitki. Pech, który pozostawiła w tej głuszy, przywitał ją radosnym piskiem, zarzucając ramiona na jej szyję. Powinna się tego spodziewać. Co dobrego mogło ją czekać w Zgubie? Znów machinalnie przeczesła włosy palcami. Nabrała tego zwyczaju, gdy je obcięła i nie mogła przywyknąć do tego, jak bardzo są krótkie. Później stało się to swojego rodzaju odruchem. Ręka Anny wędrowała do czupryny za każdym razem, kiedy dziewczyna była zdenerwowana bądź zakłopotana. Choć mogło się wydawać to dziwne – ani jedna, ani druga sytuacja nie zdarzała się często. Miała jednak przykre wrażenie, że w tym miejscu się to zmieni.

– Szeregowo Motylska! Baczość! – nakazała sobie, skręcając w kierunku zjazdu do Bluszczowego Dworu. Droga prowadząca do tego domu przedstawiała się znacznie lepiej niż dojazd do Zguby. – Nie ma powodów do nerwów. Co ma być, to będzie, a ty z całą pewnością świetnie sobie poradzisz.

Wyprostowała plecy, dumnie uniosła brodę. Miała dwadzieścia trzy lata, skończyła czwarty rok studiów na jednej z najlepszych uczelni w kraju, radziła

sobie sama w dużym mieście i nie narzekała na brak towarzystwa. Czego właściwie tak się obawiała? Była dorosłą osobą, której nikt nie mógł dyktować, co powinna robić. Jeżeli ktoś spróbuje... cóż, ona już takiemu delikwentowi pokaże, że Anna Motylska nie będzie słuchać niczyich poleceń.

W bojowym nastroju weszła między drzewa, decydując się na pójście skrótem. Deszcz odszedł równie szybko, jak się pojawił. Anna zręcznie przeskakiwała przez korzenie, utrzymywała równowagę na śliskim mchu, odsuwała gałęzie, które mogłyby chlasnąć ją w twarz. Większą część dzieciństwa spędziła właśnie w tym lesie i miesiące miejskiej egzystencji nie mogły sprawić, że tak po prostu o tym zapomni. Nie musiała się zastanawiać nad tym, którądy idzie, jej stopy same wkroczyły na dobrze sobie znany szlak. Po dwóch minutach marszu przeszła obok brzóz, przebrnęła przez paprocie i znalazła się przy ogrodzeniu otaczającym dom, w którym spędziła sporą część dzieciństwa.

Anna zmierzyła wzrokiem ogrodzenie. W jej głowie zrodziła się szalona myśl: dlaczego właściwie nie? Zamachnęła się z całej siły, przerzucając plecak na drugą stronę. Świetnie pamiętała, że przedostanie się przez mur jest zadaniem trudnym, ale nie niemożliwym do realizacji. Chichocząc z własnej głupoty, rozpoczęła wspinaczkę. Pierwsza próba się nie powiodła: jej buty były śliskie od deszczu i błota. Za drugim razem poszło zdecydowanie lepiej. Wdrapała się na samą górę i zeskoczyła wprost na trawnik. Było to zachowanie głupie i kompletnie nieodpowiedzialne, mogła się nawet połamać i świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Ostatni raz próbowała dostać się w ten sposób do środka, kiedy miała szesnaście lat i skręciła sobie wtedy kostkę. Teraz na szczęście wylądowała dość zgrabnie, choć poślizgnęła się na mokrej trawie i opadła na klęczki. Mimo tego ten szalony pomysł sprawił, że zły humor Anny odszedł jak ręką odjął. Miała ochotę się śmiać. Może naprawdę nie będzie tak źle. W końcu z tym miejscem wiązało się więcej dobrych wspomnień niż złych.

Bluszczowy Dwór, jak nazywali go mieszkańcy Zguby, z zewnątrz nie zmienił się przez ostatnie dwa lata. Ba, nie licząc nowych roślin w ogrodzie, nie zmienił się od chwili, w której pojawiła się tutaj po raz pierwszy: drobniutka dziewczynka z kucykami, przerażona i zafascynowana jednocześnie. Dworek kojarzył się jej wtedy z bajką o Śpiącej Królownie, a to z powodu wieżyczki i bluszczu pnącego się po jednej ze ścian. Wielokrotnie słuchała opowieści o tym, jak Marek i Elżbieta, jeszcze w czasach narzeczeństwa, przypadkiem zawędrowali do Zguby, zobaczyli ten śmieszny dworek i z miejsca się w nim zakochali.

– To była miłość od pierwszego wejrzenia – mówiła Elżbieta z rozmarzeniem. Siedzieli na werandzie: jasnowłosa kobieta w błękitnej sukni, otoczona przez gromadkę dzieci. Jowita tuliła się do boku matki, Michał siedział po turecku na chodniku, przodem do nich, a Anna usadowiła się na najniższym ze stopni; Emil leżał z głową na jej kolanach. Kamil zajął miejsce na poręczy,

w pewnym oddaleniu od reszty i nonszalancko machał nogami, udając, że wcale nie słucha opowieści. – Wtedy ten dom wyglądał jak jedna wielka ruina. Odpadający tynk, wybite okna, puste butelki w całym ogrodzie... A miał coś takiego, co mnie przyciągało. Marek spytał, czy chciałabym tu zamieszkać. Oczywiście tylko się śmiałam, że chcę też gwiazdki z nieba. Rok później, gdy wróciliśmy z podróży poślubnej, przywiózł mnie tutaj. Dom był już wyremontowany, a on powiedział, że w tym miejscu wychowamy nasze dzieci.

Przez ułamek sekundy Annie zdawało się, że znów ich wszystkich widzi, że na werandzie dostrzeża niebieski rąbek spódnicy Elżbiety i słoneczne promienie odbijające się w jej pierścionku. Wyobrazenie prysło jednak niczym bańka mydlana, gdy usłyszała czyjś głos. Charakterystyczny, trochę gardłowy i nieprzyjemny, jakby mówiący miał lekką chrypę.

– Wyglądasz jak sierotka Marysia.

Poderwała się na równe nogi. Pojawił się nie wiadomo kiedy i nie wiadomo skąd. Może zobaczył jej torbę przefruwającą nad murem porośniętym bluszczem i wyszedł sprawdzić, kto to? Przypatrywała się mu w milczeniu. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała: wręcz nieprzyzwoicie wysoki, przerastający Annę, z jej marnym metr sześćdziesiąt dwa, o trzydzieści centymetrów, jasnobrązowe włosy miał jak zwykle rozczochrane i znów zapomniał się ogolić. Nawet uśmiech się nie zmienił – wciąż to samo lekceważące skrzywienie warg, jakby ich właściciel kpił sobie w duszy z całego świata i wszystkich dookoła.

– Cześć, Kam – przywitała się, wpychając dłonie do kieszeni dzinsów. Nie do końca tak wyobrażała sobie to spotkanie. Jeśli już w ogóle o tym myślała, liczyła na to, że będzie wtedy sucha, a nie kompletnie przemoczona i utyłana błotem do samych kolan. Nawet do głowy jej też nie przyszło, że zostanie przyłapana na przechodzeniu przez ogrodzenie – czego, nawiasem mówiąc, nauczył ją właśnie on, gdy miała jedenaście lat.

– Coś ty zrobiła z włosami, Julio? – spytał, podchodząc bliżej i chwytając rudy kosmyk. Zwalczyła impuls każący natychmiast odskoczyć, zamiast tego przechyliła głowę na lewo, umykając przed dotykiem.

– Obcięłam i ufarbowałam, chyba nie tak trudno to zauważyć – oznajmiła, trochę zdumiona tym, jak normalnie brzmi jej głos. – Ciebie też miło widzieć, dziękuję, u mnie wszystko dobrze, rzeczywiście, dawno się nie widzieliśmy.

– Lubilem twoje włosy – stwierdził Kamil, ignorując drugą część wypowiedzi. Anna pokręciła głową zrezygnowana, wyminęła go, idąc w stronę swojego plecaka. W tym momencie zza domu wybiegł ogromny owczarek niemiecki i z szaleńczym szczekaniem ruszył wprost na nią. Zanim zdążyła się zorientować w sytuacji, już leżała plecami na mokrej trawie, niszcząc sobie ubranie do reszty, a pies entuzjastycznie lizał ją po policzkach.

– Sasza! – jęknęła Anna, usiłując jedną ręką odepchnąć pysk od twarzy,

a drugą zrzucić z siebie ciężkie cielsko. Sasza była najbardziej przyjacielskim psem na świecie, w przeciwieństwie do swego brata Brutusa, który zdechł tuż przed wyjazdem Anny. Dziewczyna powinna się cieszyć, że teraz miała do czynienia z suką, nie z nim. Brutus mógłby jej nie rozpoznać od razu i zamiast do lizania, rzucić się do gryzienia. – Sasza, ty wstrętna bestio, złaż ze mnie albo przerobię cię na kotlety!

Sasza nie przejęła się tą straszną groźbą i podjęła próbę ucałowania Anny prosto w nos. Z ust kobiety wyrwał się okrzyk frustracji. Wkładając w to wszystkie siły, szarpnęła się w bok, zrzucając z siebie psa i natychmiast się poderwała, zanim suczka w przyptywie miłości nie postanowi ponownie jej powalić.

Świetnie. No po prostu świetnie!, pomyślała z irytacją, poklepując Saszę po łbie. Jeśli już musiała spotkać Kamila, wołałaby, żeby nastąpiło to podczas jakiejś poważnej uroczystości rodzinnej, gdzie nie byłaby mokra, brudna, nie spadałaby z murów na jego oczach i nie lądowała na trawie, przygnieciona przez owczarka niemieckiego.

– Witaj, słońce. Też cieszę się, że cię widzę, ale pocałunkom na powitanie mówię stanowczo nie – poinformowała psa, prostując się i próbując otrzepać ubranie. Przeniosła wzrok na Kamila i uśmiechnęła się krzywo. – Mój bohater. Nie wiem, jak poradziłabym sobie bez twojej pomocy.

– No, no, no... – Och, jak zawsze irytował ją jego zwyczaj powtarzania „no” tym protekcyjnym tonem! – Zrobiłaś się strasznie ironiczna, Julio.

– Anna – zaprotestowała, cofając się pod wpływem ciężaru Saszy, która postanowiła oprzeć przednie łapy na jej ramionach. – Mam na imię Anna.

Jedna brew Kamila powędrowała do góry. Nabrał tego zwyczaju jeszcze w dzieciństwie, próbując naśladować ojca.

– Zabawne, że o tym zapomniałem. Dlaczego w takim razie wszyscy zapamiętaliśmy cię jako Julię?

– Mówią do mnie Anna – oznajmiła stanowczo, nie mając zamiaru ustąpić. Skończyły się czasy, w których mógł ją dowolnie manipulować. Nigdy więcej. – To moje drugie imię. Dlaczego niby nie? Na ciebie w końcu wołali Kamael, a nie pamiętam, żeby takie imię figurowało w twojej metryce...

Zaśmiała się. Spojrzała na niego ze zdumieniem, bo Kamil nie śmiał się często, a przynajmniej nie robił tego wtedy, kiedy oboje mieszkali w Zgubie. Pokręcił głową, wyraźnie rozbawiony.

– Zawsze ta sama – powiedział w końcu i teraz jego uśmiech wydawał się nieomal radosny. Anna gwałtownie się odwróciła, dopadła do swojego plecaka i przerzuciła go sobie przez ramię. Zawsze ta sama. Ze wszystkiego, co mógłby jej powiedzieć, to było ostatnie, co chciała usłyszeć.

Kamil vel „Kamael” Bluszcz, w pełni zasługujący na przydomek wzięty od demona. Druga pozycja na liście rzeczy, których Anna nienawidziła najbardziej na

świecie. I bardzo niewiele brakowało mu do zajęcia pierwszego miejsca.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę domu, weszła po stopniach na taras i otworzyła drzwi, zanim zdążyła zastanowić się nad tym, czy powinna zapukać. Lepiej, by Elżbieta miała naprawdę poważny powód, żeby ją tutaj ściągnąć. Im szybciej się dowie, o co chodzi, tym szybciej będzie mogła wrócić. O ile oczywiście jakimś cudem uda się jej wyciągnąć Staruszka z tego błota. Wolała nie brać pod uwagę możliwości, że utknął tam na dobre.

Natychmiast wyczuła charakterystyczny, niepowtarzalny zapach, którego źródła nigdy nie potrafiła określić. Wanilia, suszone kwiaty i coś jeszcze, czego nie umiała nazwać. Głośno wciągnęła powietrze w płuca, zatrzymując się na progu, szybko mrugając, żeby powstrzymać łzy. Co jest? Przecież nie rozklejała się tak łatwo. Dlaczego teraz nagle...

– Witaj w domu, Julio – mruknął Kamael, stając za jej plecami. Jego dłoń zacisnęła się na ramieniu Anny, nie na tyle mocno, żeby sprawić ból, ale też zbyt silnie, by mogła się wyrwać. Nawiedziła ją irracjonalna myśl, że dokładnie tak zawsze wyglądało życie z Kamilem. Próbował wszystko zagarnąć dla siebie, nie wypuścić z rąk, nie bacząc na nikogo oprócz siebie, a jednocześnie przecież nigdy żadnego z nich celowo by nie skrzywdził. Przynajmniej chciała wierzyć, że nie zrobiłby czegoś takiego.

– Puszczaj – syknęła ze złością. Z salonu dobiegł cichy, męski głos. – Julia? – Szarpnęła się gwałtownie, wyzwalając z uścisku. Rzuciła plecak na podłogę i w dwóch skokach pokonała korytarz. Emil stał na środku salonu, na jego młodzieńczej twarzy o miękkich rysach malowała się niepewność. Gdy jednak dziewczyna znalazła się na progu, uśmiechnął się, sobie tylko znanym sposobem rozpoznając, że to właśnie ona. Jasnowłosa, niebieskooki, wyższy od niej o najwyżej dziesięć centymetrów, w niczym nie przypominał swojego starszego brata. Anna, mokra i brudna, wydała z siebie nieartykułowany pisk, a po chwili wpadła prosto w jego wyciągnięte ramiona. Uniósł ją i okręcił dookoła. Oboje śmiali się jak małe dzieci. Kamael przypatrywał się im, stojąc na progu.

– Cóż to za blask strzelił tam z okna? Okno jest wschodem, a Julia jest słońcem[1] – zacytował Emil, stawiając ją na podłodze. Poglaskał ją po policzku, przebiegł opuszkami palców po brodzie, ustach, nosie i powiekach, jakby jeszcze raz się upewniał, że to naprawdę ona.

– Emil, Emil, Emil – powtórzyła śpiewnie jego imię, niczym kolejne elementy wyliczanki, opierając podbródek na ramieniu przyjaciela. Wciąż używał tej samej wody toaletowej. Wciągnęła w płuca jej zapach i w tym momencie poczuła: naprawdę znalazła się w domu, nieważne, co się z nim wiązało.

Anna, po przyjeździe do Warszawy, zmieniła imię z tego samego powodu, dla którego ścięła niegdyś długie włosy. Chciała sama siebie przekonać, że przeszłość zostawiła z tyłu i rozpoczęła nowy etap w życiu. O dziwo, osiągnęła zamierzony efekt i poczuła się zupełnie inną osobą.

Julia ze Zguby miała dwa cienkie warkoczyki, nosiła okulary w czerwonych oprawkach, chodziła ze spuszczoną głową i nie patrzyła ludziom w oczy. Poruszała się raczej niezdarne, mówiła bardzo cicho, kuliała ramiona, jakby w każdej chwili oczekiwała uderzenia i grzecznie jadła sałatki. Anna z Warszawy chodziła szybko i pewnie, okulary zamieniła na soczewki, włosy farbowała na czerwono, słyszała z ciętego języka i żywiła się pizzą oraz hamburgerami. I czasem sama nie umiała uwierzyć, że kiedyś naprawdę była Julią. Może to jakaś pomyłka? Może Zguba i rodzina Bluszczów przyśniły się jej pewnej jesiennej nocy, kiedy odsypiała urodzinową imprezę Kasi? Albo zderzyła się na ulicy z jakąś obcą dziewczyną i w wyniku zawirowań czasoprzestrzeni wymieniły się wspomnieniami? Na ruchliwych warszawskich ulicach, w zatłoczonych przedziałach metra, obserwując zza szyb tramwajów rzędy wysokich budynków, trudno było uwierzyć, że gdzieś tam istnieje miasteczko zagubione wśród lasów, niezaznaczone na większości map. Zguba, w której niemal każdy dom był szary i zniszczony, gdzie stał tylko jeden sklep, a krajobrazy mogłyby posłużyć za tło dla dowolnego horroru. Dom, porośnięty bluszczem, kobieta w niebieskiej sukience, dźwięki pianina, wykrzywiona złością twarz Kama, to wszystko zdawało się scenami z filmu obejrzanego przed wielu laty. Gdy jednak przekroczyła granice Zguby, wspomnienia znów zaczęły nabierać ostrości, cisnąć się do głowy jedno za drugim, te dobre i te złe, bez jakiegoś określonego porządku.

Dwunastoletnia Julia leży na dawno niekoszonym na trawniku, na którym bujnie rozrosły się mlecze i koniczyna, zupełnie nieruchomo, tak że w pewnym momencie na nadgarstku siada jej motyl o cytrynowych skrzydłach. Przygląda się mu zafascynowana, ale wtedy nadchodzi Kamael, deptając koniczynę, przepłaszając motyla. Wiatr porywa nasiona kopniętych dmuchawców.

Michał, dziwnie odmieniony, jakiś wyższy i poważniejszy, wprowadza do salonu szczupłą, jasnowłosą, bardzo piękną dziewczynę. Karina, moja narzeczona – mówi, a Elżbieta ściska dłoń kobiety, która ma bladą cerę i niebieskie oczy Królowej Śniegu z ilustracji do „Baśni” Andersena. Siedemnastoletnia Julia chowa twarz za włosami, czując się nieswojo pod chłodnym, taksującym spojrzeniem Kariny. Czeka na moment, w którym te usta, pomalowane karminową szminką, rozchylą się i kobieta spyta z pogardą: „a to kto?”.

Mała Julia wchodzi pierwszy raz do salonu, wszystko wydaje się takie

ogromne i obce. Ludzie zebrani w pomieszczeniu patrzą na nią i Julia czuje, jakby obserwowały ją dziesiątki, setki, tysiące par oczu, wirujących dookoła, niebieskich, zielonych, brązowych i szarych. Kręci się jej od tego w głowie i ledwo dostrzega, że chłopiec w czerwonej bluzce wystawia język, a pulchna dziewczynka, o buzi porcelanowej lalki, krzywi się z niechęcią. Jasnowłosa kobieta wstaje z fotela, uśmiecha się – i wyciąga ramiona.

Anna pozbyłaby się wspomnień Julii, gdyby tylko mogła. Zdołała pozbyć się samej Julii, jej włosów i okularów, sposobu chodzenia i mówienia, ubrań, butów, nawyku obgryzania paznokci, tego, jak trzymała głowę. Pozbyła się nawet myśli Julii, ale choć z każdym rokiem zapominała coraz więcej, nie mogła całkowicie wyrzucić Juliowej pamięci, tak, jak zrobiła to z ulubionym swetrem i ściętymi włosami. Gdyby mogła, zrobiłaby to. Ale nie mogła.

*

– Gdzie jest Elżbieta? – spytała Anna, siadając na sofie w salonie. Od czasu, kiedy ostatni raz odwiedziła Bluszczowy Dwór, zmieniono wystrój pomieszczenia i teraz meble były czekoladowe, ściany kremowe, a w ogromnych oknach zawieszono jasnobrązowe zasłony. Tylko pianino pozostało to samo. Wszystko dobrze dobrane, eleganckie, niezniszczone. Mimo to Anna miała ochotę rzucić się do ucieczki, zapaść pod ziemię, zupełnie jak wtedy, gdy była dzieckiem, bo przecież kompletnie tu nie pasowała i tak bardzo, bardzo chciałaby znaleźć się gdziekolwiek indziej.

– Na górze – odparł Emil, szukając jej ręki. I Anna już nie chciała uciekać, chociaż w drzwiach pokoju stał Kamil, a jego wzrok był zimniejszy niż nawet najchłodniejsze ze spojrzeń Kariny. – Musimy porozmawiać, zanim do niej pójdziesz, Motylku.

Było coś w głosie Emila, co sprawiło, że powrócił niepokój, jeszcze silniejszy niż wcześniej. Anna mimowolnie mocniej zacisnęła palce na dłoni przyjaciela. Dlaczego Elżbieta tak bardzo chciała ją zobaczyć, co robił tutaj Kamael, niecierpiący Zguby równie mocno jak ona?

– Co się dzieje? – zapytała, już pewna, że odpowiedź się jej nie spodoba. Emil otworzył usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo. Szturchnęła chłopaka w ramię, wciąż jednak milczał, wpatrując się w pustkę. Tak wyglądał, kiedy zdechł Brutus albo gdy synowie sąsiadów wyprowadzili go do lasu i tam zostawili. Anna i Kamil znaleźli Emila dopiero późnym wieczorem, a następnego dnia Kamael pobił dzieci z sąsiedztwa.

– Umiera – powiedział Kamil szorstko. – Nie zostało jej wiele czasu.

Odwrócił się gwałtownie, znikł gdzieś w głębi domu, jeszcze zanim zdążyła pojąć znaczenie tych słów. Spojrzała na Emila, szukając zaprzeczenia w jego twarzy, ale on siedział sztywno wyprostowany, ze wzrokiem skierowanym ku ścianie. To musiał być żart, jeden z okrutnych żartów Kamaela, który zawsze próbował skupić na sobie uwagę innych. Zorientowała się, że wciąż zaciska palce na nadgarstku Emila, mocniej, coraz mocniej, zostawiając mu na skórze ślady od paznokci. Długich, pomalowanych na czerwono paznokci, jakich nigdy nie mogłaby mieć Julia, która obgryzała je, kiedy ledwo co sięgnęły milimetr poza opuszki palców.

– Odezwij się – poprosiła, uwalniając rękę przyjaciela. Wyciągnął ramię, na ślepo objął ją za szyję i przyciągnął do siebie. Anna wbiła zęby w wargę i zamknęła oczy, czując dłoń Emila na głowie. Ten gest i to milczenie mówiły wszystko.

– Znów ścięłaś włosy krócej, siostrzyczko – stwierdził. Schowała nos w kołnierzu jego koszuli, krew z przegryzionej wargi zostawiła czerwoną plamkę na białym materiale. Miała ochotę wybuchnąć płaczem, jak Kasia, która ryczała histerycznie na dwa dni przed każdym egzaminem, a potem ocierała łzy, uczyła się do samego ranka i przynosiła kolejną piątkę w indeksie. Lecz Anna nie płakała nigdy, bo Julia robiła to bardzo często.

– Twoje urosły – odparła i nagle zaczęła chichotać, porażona absurdalnością tej rozmowy. W sypialni na górze leżała umierająca Elżbieta Bluszcz, a oni tulili się do siebie na kanapie i rozmawiali o fryzurach. Kamael nie żartował przecież, nie tym razem, choć tę informację Emil musiał chyba przekazać jej niewerbalnie, wprost do umysłu. – Wujek jest w domu?

– Pojechał po Karinę i dzieci. Michał nie może przyjechać.

Annie przeleciało przez głowę, że chyba nie zniesie obecności Kamila i Kariny na raz, pod jednym dachem, ale zaraz pojawiła się inna myśl, zbyt straszna, aby mogła ją do siebie od razu dopuścić. Będzie musiała znieść coś znacznie gorszego niż humory Kamaela i najbardziej pogardliwe spojrzenia Kariny.

Telefon komórkowy Anny zawibrował, sygnalizując przyście wiadomości. Uwolniła się z objęć Emila, mimochodem rejestrując, że jego wcześniej nieskazitelnie czysta koszula jest przybrudzona i mokra. Wyciągnęła telefon, zerknęła na wyświetlacz. Kasia przysłała jej zdjęcie morskich fal. *Dojechalismy, głosił podpis. Pogoda piekna. Zaluj, ze cie tu nie ma, malpo. Modl się, żeby jakas plazowiczka nie poderwala ci Drozda! Caluje. Albo nie, bo jeszcze ci nie wybaczylam. Kasia.*

Zwalczyła impuls każący cisnąć urządzeniem o ścianę, rozbić je na drobne kawałeczki. Gdyby mogła znaleźć się na słonecznej plaży widocznej na zdjęciu,

razem z roześmianymi znajomymi! Nie wątpiła, że najpóźniej trzy minuty po rozłożeniu ręczników Kaśka, Wiolka i ona zostałyby wrzucone między fale. Mogła sobie wyobrazić, jak w akcie zemsty oblewają opalających się, rozgrzanych od słońca chłopców lodowato zimną wodą z wiaderk.

Ale, zamiast na wybrzeżu, siedziała w przestronnym salonie, ciemnym i chłodnym nawet latem, u boku Emila, który zgubił gdzieś swój uśmiech. Krople deszczu uderzały o parapety, spływały po szybach, bębniły o dach. Może nie powinna była zostawiać Staruszka na drodze, jeszcze utonie w tym błocie. Oczyma wyobraźni widziała, jak koła zapadają się do reszty, a potem pod warstwą błota znika maska i wreszcie dach. Zrzuciła z nóg przemoczone trampki, dopiero teraz dostrzegając, że ubrudziła pół parkietu. Podciągnęła stopy na sofę, przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i otoczyła je ramionami, drżąc z zimna. Ciepłe plaże Kołobrzegu wydawały się równie odległe jak księżycy Jowisza.

– Czy... – zaczęła, ale zaraz urwała. Emil powoli pokręcił głową, odpowiadając na niezadane pytanie. Nic się nie da zrobić, zrozumiała Anna. Nie ma nadziei.

– Pójdę się przywitać – zdecydowała w końcu, niechętnie się podnosząc. Ściągnęła przez głowę bluzę, zostając w czystym podkoszulku. Na brudne dżinsy nic nie mogła poradzić, wszystkie ubrania zostały w bagażniku Staruszka. Być może właśnie przenosiły się do jakiegoś ubraniowego nieba, do którego idą wszystkie ładne ciuchy, kiedy już zostaną podarte, spalone, wyrzucone albo utopione w bagnisku.

– Motylku... z nią... jest niedobrze – wykrztusił Emil. Każde słowo sprawiało mu wyraźną trudność. Ścisnęła jego ramię, krótko i mocno, niezdolna do wyduszenia z siebie choćby jednego zdania pocieszenia. Bała się, że jednak wybuchnie płaczem, a nie powinna dodatkowo martwić Elżbiety.

Przechodząc przez przedpokój, zerknęła w lustro. Rude włosy miała przemoczone i rozczochrane, siwe oczy podkrążone od niewyspania, a na policzku został ślad po mokrym pocałunku Saszy. Wytarła twarz wierzchem dłoni, przeczesała czuprynę ręką. Po schodach wchodziła wolno, wpatrzona w stopnie, badając palcami drewnianą powierzchnię poręczy: nierówność w miejscu, w które uderzył samochodzik ciśnięty przez Kamila w przypiływie wściekłości, zarysowanie na piątym stopniu od dołu, od rolek Jowity. Półpiętro, gdzie kiedyś spadła, wybijając sobie dwa mlecze zęby.

– Odejdź. Odejdź, Julio! – warknęła Anna, unosząc głowę, ruszając dalej już szybkim krokiem. Zanim zapukała do drzwi pokoju Elżbiety, zdołała nawet przywołać na twarz uśmiech.

Pokój Marka i Elżbiety składał się tak naprawdę z dwóch mniejszych pomieszczeń – niewielkiego saloniku oraz sypialni, w której stało olbrzymie łóżko, zazwyczaj zasłane satynową pościelą, regały z książkami i plazmowy telewizor. Anna, ostrzeżona o złym stanie Elżbiety, przygotowała się, że zastanie ją w tym drugim pokoju, bladą i zmęczoną, podpartą o poduszki. Pomimo bogatej fantazji, nie umiała przywołać w myślach takiego obrazka. Nie potrafiła wyobrazić sobie Elżbiety Bluszcz, zawsze energicznej i roześmianej, jako ciężko chorej. Tym bardziej bała się tego, co znajdzie za drzwiami z jasnego drewna.

– Proszę?

Marząc o tym, by znaleźć się w Kołobrzegu albo w Warszawie, a może nawet na przednim siedzeniu Staruszka zapadającego się w błoto, być gdziekolwiek, byle nie tu, pociągnęła za klamkę.

Wystrój saloniku również zmienił się w przeciągu roku, bo ostatni raz Anna odwiedziła Zgubę na początku poprzednich wakacji. Ściany pomalowano na bardzo jasną zieleń, ukochany kolor Elżbiety, wstawiono do środka fotele w tej samej barwie, a w oknach zawisły tylko trochę ciemniejsze zasłony. Meble również były zielone, ale tym głębokim kolorem wiosennej trawy.

– Ciociu? – spytała niepewnie, przestępując próg. Elżbieta siedziała w fotelu, ubrana w domową, tęczową sukienkę, jasne włosy poprządkane siwizną miała zaczesane w króciutki warkocz. Nie wyglądała na chorą i w sercu Anny znów obudziła się nadzieja. Może chłopcy próbowali z niej zakpić? Może sytuacja nie była aż tak zła?

– Kochanie. – Elżbieta rozpromieniła się na jej widok, odłożyła trzymaną książkę na szafkę i wyciągnęła ramiona. – Moja złota, przyjechałaś. Chodź tutaj do mnie, Motylku.

Dziewczyna z trudem przełknęła ślinę, czując, że w gardle ma ogromną gulę. Wykonała trzy chwiejne kroki, zanim uklękła, czy może wręcz przewróciła się, padając na kolana przy nogach kobiety, która ją wychowywała. Dopiero z tej pozycji dostrzegła, ile siwych pasm przybyło w jasnym warkocz, rzadszym i dużo krótszym, niż zapamiętała, jak wiele nowych zmarszczek pojawiło się wokół ust i przy kącikach niebieskich oczu. Ujęła dłonie Elżbiety, tak blade, że sieć niebieskich żyłek wyraźnie odznaczała się pod skórą. Anna wpatrywała się w szczupłe (zbyt szczupłe!) nadgarstki ciotki, niezdolna do spojrzenia jej w twarz. Bała się, że nie wytrzyma i wybuchnie płaczem.

– Oczywiście – przytaknęła. Odchrząknęła, próbując przywrócić głosowi normalne brzmienie. – Bardzo się cieszę, że cię widzę. Tęskniłam.

Jak głupio i banalnie brzmiały te słowa. Tylko co miała powiedzieć?

Wspaniale wyglądasz? Jak się miewasz? Ile życia ci zostało? Przepraszam, przepraszam, przepraszam, wybacz mi, byłam głupia i niewdzięczna? Powinnam zauważyć, jak szybko się męczysz? Powinnam tu być?

– Pewnie kompletnie zrujnowałam ci plany wakacyjne. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale tak bardzo chciałam cię zobaczyć. Julianko, jesteś zupełnie mokra, szłaś tutaj na piechotę?

Anna wtuliła twarz w kolorową suknię Elżbiety, ukrywając zdradzieckie łzy cisnące się do oczu. Milczała przez chwilę, niepewna czy może ufać własnemu głosowi.

– Mój gruchot odmówił posłuszeństwa, ale musiałam iść tylko kawałek – powiedziała w końcu, prostując się. – Ciociu, wakacje są dość długie, żeby wystarczyły na wyjazdy ze znajomymi i odwiedzenie was. Nie widziałyśmy się od marca, kiedy wpadliście do Warszawy.

– Jak sobie radzisz na studiach, kochanie? – spytała Elżbieta, pieszczotliwie gładząc policzek dziewczyny. Radość, doskonale widoczna na jej twarzy, sprawiała, że Annie rozdzierało się serce. Powinna była częściej przyjeżdżać do Zguby. Wyczuć, że coś jest nie tak, kiedy rozmawiała przez telefon z Elżbietą, Markiem albo Emilem. Domyślić się w marcu. Dlaczego dowiadywała się dopiero teraz?

– Nie mam żadnej poprawki. Może załapię się na stypendium – relacjonowała, usadawiając się wygodniej na podłodze. Odsunęła się kawałek, usiadła po turecku, zdołała nawet znów się uśmiechnąć. – Pracowałam w call center, ale od października będę zatrudniona w nowym hotelu. Wujek Kasi go prowadzi, obu nam załatwił pracę.

– Dajesz radę łączyć studia i pracę? – zaniepokoiła się Elżbieta. Wielokrotnie podkreślała, że Anna nie musi zarabiać, powinna przede wszystkim się uczyć, a oni już zadbają o jej utrzymanie. Była im za to wdzięczna, nie odmawiała przyjmowania niewielkiej pomocy, ale już dość zawdzięczała małżeństwu Bluszczów.

– Pewnie. Ja sobie w końcu ze wszystkim dam radę – zapewniła. – Spotkałam na dole Emila i Kama. Kiedy wróci wujek?

– Powinni być wieczorem. Kochanie, trzeba było dać znać, że przyjeżdżasz, zabraliby cię ze sobą. Ten twój samochód! To cud, że jeszcze nie rozleciał się na środku autostrady.

Nikomiu innemu nie wybaczyłaby tak łatwo kpin ze Staruszka, ale Elżbiecie należały się specjalne względy. Anna nie skomentowała nawet tego, że na kilkugodzinną podróż w jednym aucie z Kariną zdecydowałaby się tylko wtedy, gdyby piekło zamarzło.

– Mój Staruszek jest bardzo dzielny! Jak wujek przyjedzie, poproszę, żeby poszedł go ze mną ratować. Jeśli jeszcze coś zostało do ratowania i o ile

kiedykolwiek przestanie padać.

– Kamil na pewno chętnie ci pomoże – odparła Elżbieta. Anna uśmiechnęła się uprzejmie, choć w duszy nie mogła nadziwić się naiwności kobiety. Wiedziała, że matki często idealizują swoje dzieci, ale jak ktoś mógł upatrywać się u Kamaela jakichś dobrych chęci? – Widujecie się czasem z Michałkiem?

– Michał ma dużo pracy i rodzinę, a ja studiuje. Poza tym mieszkamy na dwóch krańcach miasta, czasem łatwiej przejechać sto kilometrów w dowolnym kierunku niż przebijać się przez Warszawę...

Elżbieta przypatrywała się jej uważnie, zapewne nie wierząc w ani jedno słowo. Zwykle umiała rozpoznać, kiedy kłamali i Anna zaczerwieniła się lekko ze wstydu, wiedząc, że pani Bluszcz zapewne przejrzała oszustwo.

Kochała Michała, oczywiście. Uważała go za starszego brata, ale rodzeństwo przecież też często miesiącami nie utrzymuje ze sobą kontaktów. Kocha się je, choć nie bardzo lubi. Ten warszawski Michał nie był Michałem ze Zguby w tym samym stopniu, w jakim ona nie była dawną Julią. Stał się kimś obcym wtedy, kiedy pierwszy raz przywiózł do domu Karinę, a potem z każdym kolejnym spotkaniem Anna odkrywała, że zna przybranego brata coraz mniej. Królowa Śniegu o zimnych oczach i pięknym uśmiech zagarnęła go dla siebie bez reszty. Stał po jej stronie w każdej sytuacji, nie widząc świata poza nią, gotów całować ziemię, po której stąpa. Nie było już Michała, byli Michał-i-Karina, absolutnie nierozłączni, dwa elementy całości. Michał, wpadający w złość niemal równie łatwo jak Kam, Michał nierozstający się z garniturem, Michał, który uważa wędrówki po lesie i górach za stratę czasu, Michał w skórzanych butach, Michał z aktówką pod pachą.

– Wyszus włosy – zakomenderowała Elżbieta, przerywając milczenie. – Weź sobie jakieś ubrania Jowitki, inaczej się przeziębisz. Pewnie cały dzień nie jadłaś, odgrzej coś sobie. Julio, kochanie, witaj w domu. Jak długo możesz zostać?

Gdzieś w dalekim Kołobrzegu Kasia wylegiwała się na kocu, a Drozd, Wiolka, Adrian i Tomek grali zapewne w wodzie dmuchaną piłką. Niedługo zejda z plaży, ale wrócą na zachód słońca. Mieli zostać w domku dziadków Tomasza półtora miesiąca, a wedle poczynionych ustaleń Anna dołączyłaby do nich pod koniec tygodnia.

– Mam czas, ciociu – zapewniła, podnosząc się z podłogi. – Niczego nie planowałam. Zostanę... przynajmniej do twoich urodzin. Przyjdę do ciebie niedługo.

Wyszła z pokoju. Gdy zamykała drzwi, zerknęła jeszcze przez ramię na Elżbietę. Kobieta znów sięgnęła po książkę, ale nie otworzyła jej, trzymała tomik wierszy Blake'a w tych szczupłych, przezroczystych dłoniach, wpatrując się w szybę. Za oknem robiło się coraz ciemniej, gdzieś w oddali huknęło. Anna zamarła na moment, bo Elżbieta wydała się jej nagle bardzo krucha i samotna. Czy

powinna zostawiać ją samą, gdy nadchodziła burza? Przez ułamek sekundy zapragnęła wbiec do pokoju, usiąść na kolanach przybranej matki, otoczyć jej szyję ramionami, jakby była małą dziewczynką.

Zamiast tego zamknęła drzwi, ostrożnie, aby nie wydały żadnego dźwięku.

*

Anna chętniej udalaby się okradać jaskinię czterdziestu rozbójników albo zrobiła hełm z garczka i poszła walczyć o skarb ze smokiem za pomocą noża kuchennego, niż pożyczyła ubranie od Jowity. Jowita zresztą była od niej dużo wyższa i pulchniejsza, więc równie dobrze Anna mogłaby wziąć coś z szafy Kamila albo Marka. Zamiast tego narzuciła na siebie bluzę Emila wiszącą w przedpokoju, w łazience znalazła suszarkę i zabrała się za suszenie – choć nie włosów, a spodni.

W ogromnej łazience Bluszczów, gdzie stała i wanna, i prysznic, i rząd trzech zlewów, pralka, suszarka, a wielkie lustro zajmowało jedną ścianę, zmieściłoby się prawie całe warszawskie mieszkanie, które Anna od początku drugiego roku dzieliła z Kasią i Wiolą. Miało dwa pokoje, malutką kuchnię i równie niewielką łazienkę oraz całkiem spory balkon. Było wiecznie zabałaganione i zagracone, żadne dwa sprzęty nie pasowały do siebie, a każda ściana w większym pokoju, dzielonym przez Annę i Kasię, została pomalowana zupełnie inaczej. Na tę, widoczną niemal w całości, pod którą stało łóżko Anny, biurko i śmieszna, stara lampka, najpierw nałożyli warstwę kremowej farby, a potem wymalowali na niej różnobarwne motyle. Niektóre były trochę krzywe albo przypominały plamy, bo Wiola miała mizerne umiejętności artystyczne, a Drozd nie miał ich wcale, nie uznali jednak tego za powód wystarczający do pozbawiania tej dwójki zabawy.

Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie cierpi na agorafobię. Po ciasnych warszawskich pokoikach i zatłoczonych korytarzach uczelni nadmiar przestrzeni w Bluszczowym Dworze – paradoksalnie – przytłaczał ją.

Okna łazienki wychodziły na brzozy zagajnik. Gdyby drzewa nie przysłaniały widoku, Anna dostrzegłaby w oddali inne zabudowania, w większości niewielkie domki, niektóre jeszcze drewniane, stojące tu chyba od czasów potopu. Zamiast tego mogła obserwować tylko gałęzie targane wiatrem i ciemne chmury. Znów rozległ się grzmot, światło zamrugało dwa razy i zgasło, suszarka przestała działać.

– Brakuje jeszcze szaleńca z siekierą – burknęła, mimowolnie spoglądając ku

drzwiom, jakby w oczekiwaniu, że faktycznie pojawi się w nich postać w ciemnej pelerynie z zakrwawionym toporem w ręku. Anna była obecnie w takim nastroju, że właściwie nie miałyby nic przeciwko. Zgotowałyby wariatowi biegającemu po okolicy z siekierami gorące powitanie, które obejmowałyby walenie po głowie bezużyteczną obecnie suszarką. Przynajmniej wreszcie wyładowałyby złość, gorycz i poczucie winy.

Wzrok Anny znów powędrował ku oknu. Czy to tylko wyobraźnia, czy przy brzożach naprawdę przemknął jakiś ciemny kształt? Pochyliła się ku szybie, podpierając dłonie o parapet. Tak, nie oszalała jeszcze ostatecznie, ktoś siedział pod drzewami. Wprawdzie nie widziała żadnej siekiery, topora, miecza czy choćby noża rzeźnickiego, ale pierwsze kryterium, czyli bycie szalonym, osobnik spełniał z całą pewnością. Kto zostaje na zewnątrz w taką pogodę? Co za wariat, szaleniec, obłąkaniec jeden siedzi pod smukłymi, wysokimi brzożami, kiedy błyskawice raz za razem przecinają niebo? W świetle kolejnego pioruna dojrzała brązowe włosy i rozpoznała w mężczyźnie Kamila. Wszystko jasne! Któż by inny w okolicy pozwalał sobie na takie szaleństwo? A niech go szlag jasny trafi, świat na tym skorzysta. Albo nie, po co dodatkowo martwić Elżbietę? To Kamaela kochała najbardziej ze wszystkich swoich dzieci. Ten samolub, egoista, mógłby o niej pomyśleć i schować się pod dachem, nie siedzieć na zewnątrz, narażając się na zapalenie płuc.

Pomyśleć o niej...

Umiera. Nie zostało jej wiele czasu.

Poczuła się tak, jakby ktoś zagłębił lodowe ostrze w jej brzuchu i ciął w górę, zostawiając w całym ciele nieprzyjemne uczucie chłodu. Może myślał. Może właśnie dlatego wypadł wtedy z salonu, dlatego siedział na deszczu. Jego matka umierała.

Zwalczyła impuls każący natychmiast wybiec z domu, schwycić tego upartego osła za kołnierz i wciągnąć do środka. Nie posłuchałby, wyładowałby tylko na niej swój gniew, a nie miała zamiaru pozwolić na to, żeby poczuł się lepiej jej kosztem. Oparła czoło o zimną, wilgotną szybę, przymknęła oczy. Jaka szkoda, pomyślała nagle, że ludzie muszą dorastać. Jako dzieci byli niemal nierozłączni. Znów przypomniała sobie tamten wieczór, gdy siedzieli razem na ganku, a potem nieskończenie wiele innych dni, wspólne wędrówki po lesie, budowanie domku na drzewie, wyprawy nad rzekę. A teraz? Siedzieli po ciemku, każde osobno, wszyscy szalejący z rozpacz, niezdolni do normalnej rozmowy. Elżbieta w wiklinowym fotelu z tomikiem wierszy w ręku, Emil na sofie w salonie, Emil, któremu nie mógł przeszkadzać brak światła, Kamael moknący pod brzożami. I zmarznięta Anna, nieumiejąca pójść do żadnego z nich, bo nie wiedziałyby, co im powiedzieć.

Chcę do domu, pomyślała, pociągając nosem, choć nie tak dawno od dwóch osób usłyszała: „Witaj w domu”. Tyle że te osoby witały Julię, a Julia była

zaledwie cieniem.

Na dole rozległo się trzaśnięcie drzwi, czyjś głos, radosne popiskiwanie Saszy i wreszcie dziecięcy śmiech. Anna odłożyła suszarkę, sięgnęła po szczotkę, rozczesała wciąż wilgotne włosy, starannie umyła twarz. Sama nie była pewna, dlaczego to robi, przecież nie zdobyłaby uznania Kariny nawet tuż po wyjściu od kosmetyczki, fryzjera i stylistki.

– Uszy do góry – powiedziała do swojego odbicia. – Przygotować się na podmuchy zimy wprost z krainy wiecznego śniegu!

Odwróciła się i ruszyła ku schodom szybkim krokiem, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, z dłońmi ukrytymi w kieszeniach już suchych, ale wciąż brudnych dżinsów, tak mało „Juliowa”, jak tylko się dało.

[1] W. Szekspir, *Romeo i Julia*, Warszawa 1956.

II

Karina

Karina nienawidziła jedynej drogi dojazdowej do Zguby. Van Marka podskakiwał na wybojach, a ona podskakiwała na swoim fotelu i zastanawiała się, czy za chwilę nie wybije sobie zębów o deskę rozdzielczą. Albo nie uderzy głową o dach z taką siłą, że przebije go na wylot. Asia i Jula nie miały takich problemów, utrudnienia w jeździe stały się atrakcją podczas nużącej do tej pory podróży. Nie mogła ich nawet winić za to, że marudziły, sama także czuła się zmęczona.

Chciałaby już być na miejscu.

Chciałaby też, żeby ten okropny deszcz przestał padać. Nienawidziła ulew jeszcze bardziej niż tej drogi, głównie dlatego, że z tymi pierwszymi miała częściej do czynienia. Pod wpływem wilgoci jej starannie wyprostowane włosy zaczynały się kręcić i wymykać z misternego koka, musiała uważać, żeby nie rozmazać makijażu, a żadna parasolka nie chroniła ubrania przed przemoknięciem dość skutecznie. W dodatku Jula wskakiwała w każdą kałużę, rozchlapując wodę na wszystkie strony, niszcząc buty i brudząc sukienkę. Potem Michał patrzył na poplamioną spódniczkę, przenosił wzrok na żonę i unosił brwi, jakby chciał powiedzieć: „dlaczego pozwalasz dziecku taplać się w błocie?”.

Nienawidziła, kiedy to robił.

Karina nienawidziła naprawdę wielu rzeczy.

– Maaaama – zaczęła Jula, wsuwając swoją jasną, rozczochraną główkę między przednie fotele. – Kiedy będziemy?

– Jesteśmy prawie na miejscu. Usiądź spokojnie – nakazała Karina. Marek zwolnił, ostrożnie objeżdżając opła porzuconego niemal na środku drogi. Jeszcze parę centymetrów w lewo i nie dałoby się go ominąć. Nic dziwnego, że samochód odmówił posłuszeństwa, wyglądał, jakby miał jakieś sto pięćdziesiąt lat.

Nienawidziła zdezelowanych aut, wymagających ciągłych napraw, gotowych rozkraczyć się w każdej chwili.

– Pamiętajcie, że babcia nie czuje się najlepiej – przypomniała, kątem oka obserwując Marka. Nie dał po sobie poznać, że cokolwiek usłyszał, milczał tak, jak przez większość drogi. Ostatni raz widziała swojego teścia w marcu i gdy tego ranka stanął na progu ich mieszkania, ledwo go rozpoznała. Posiwiął prawie do

reszty, oczy miał zapadnięte i podkrążone, niewiele mówił, nie uśmiechał się. Zdawał się nawet nie dostrzegać istnienia dziewczynek, które zawsze uwielbiał. – Musicie być grzeczne. Nie przeszkadzajcie jej, rozumiecie? Jeśli chcecie dostać komputer, macie zachowywać się nienagannie.

Tak naprawdę mogłaby mówić: „musisz być grzeczna, Julu. Nie przeszkadzaj babci, Julu. Masz zachowywać się nienagannie, Julu”. Asia przenigdy nie postąpiła niewłaściwie, w przeciwieństwie do swojej starszej o dziewięć minut siostry. Asia nie wskakiwała w kałuże, nie zapominała nakarmić rybek, umiała sznurować buty, lubiła czytać książeczki z bajkami i grzecznie chodziła spać po dobranocce. Julu знаła tylko litery składające się na jej imię i nie umiała pięciu minut usiedzieć spokojnie. Choć obie córki Kariny wyglądały niemal identycznie, ich charaktery były zupełnie odmienne.

Wjechali na podjazd pod Bluszczowym Dworem. Ledwo samochód stanął, Julu już otwierała drzwi i chwilę później gnała ku domowi przecinając na skos trawnik. Przemoknie, westchnęła Karina w duchu, rozkładając parasolkę. Przemoknie i zniszczy białe buciki.

Podawała torebkę Asi, sięgnęła po mniejszą walizkę. Marek wyciągnął z auta resztę bagaży, nie przejmując się deszczem. Zombie, przyszło nagle Karinie do głowy i wzdrygnęła się na tę myśl. Żywe ciało, bez niczego w środku.

– Kiedy mężczyźni z naszej rodziny się zakochują, to na zabój – śmiała się Jowita parę lat temu. – Cieszę się, że jestem dziewczyną, więc to szaleństwo mi nie grozi.

Karina zadrżała z zimna, kuląc się pod parasolką, ruszyła ku wejściu. Asia szła grzecznie przy jej boku. Z domu dobiegał radosny śmiech Juli i głośne szczekanie psa. No tak, Sasza. Właściwie nie miała nic przeciwko psom, ale niepohamowane ataki radości Saszy trochę ją irytowały. Nie mogła zliczyć, ile razy ich ofiarą padły jej rajstopy i spódnice.

– Dzień dobry! – krzyknęła od progu, stawiając walizkę pod ścianą. Ktoś porzucił w przedpokoju mokry plecak, więc odruchowo przesunęła go na bok. Kolejną rzeczą, której nienawidziła, był bałagan. Na szczęście większość członków rodziny Bluszczów utrzymywała wokół siebie porządek.

– Mamo, mamo, piesek! – odkrzyknęła Julu z salonu.

Karina zastała ją leżącą na podłodze z uszczęśliwionym owczarkiem niemieckim w objęciach. Asia, przestraszona rozmiarami psa, schowała się za matką.

– Dzień dobry – dobiegło gdzieś od strony schodów.

Karina odwróciła się gwałtownie, oczekując, że zobaczy Jowitę, ale nie, w wejściu stała jakaś obca, drobna dziewczyna. Krótkie, rude włosy sterczały na wszystkie strony, miała na sobie męską bluzę. Dopiero kiedy Karina dojrzała piegi na lekko zadartym nosie i siwe, ogromne oczy, zrozumiała, że ma przed sobą małą

Julię, przybraną córkę Bluszczów. Nie spodziewała się, że ją tutaj zastanie.

Julii nienawidziła znacznie bardziej niż drogi do Zguby, deszczu, a nawet brwi Michała uniesionych z niezadowolenia. Nienawidziła jej uśmiechu i piegów, nienawidziła pięknych oczu i długich rzęs, nienawidziła sposobu, w jaki chodziła i mówiła. Ta nienawiść obejmowała nawet czerwoną bluzę, tylko dlatego, że założyła ją na siebie właśnie Julia. Karina nienawidziła też imienia Julii i tego, że jej własna córka właśnie po niej dostała to imię. Nienawidziła absolutnie wszystkiego, co wiązało się z tą dziewczyną.

– Jak Elżbieta? – spytała chłodno. Asia wreszcie przemogła nieśmiałość i teraz siedziała na dywanie razem z siostrą, a Sasza nie mogła się zdecydować, którą z dziewczynek trącać nosem. Julia wbiła wzrok w podłogę, Karina mocno zacisnęła usta. Czyżby Motylska uważała, że ona nie ma prawa pytać o takie rzeczy? Że choć nosi nazwisko Bluszcz, nazwisko, którego Julia nigdy nie posiadała, wciąż nie należy do rodziny?

– Wygląda dość dobrze – wykrztusiła w końcu Julia. – Ale Kam twierdzi, że... jest bardzo źle.

Mnie Kamil urwałby głowę, gdybym nazwała go Kamem, pomyślała Karina.

– Na pewno się ucieszy, że przyjechaliście.

Do tej pory nie zauważyła Emila, musiał siedzieć gdzieś w ciemnościach. Minał Karinę, wiedziony jakimś szóstym zmysłem, nieomylnie odnalazł drogę do Julii. Ich palce splotły się i Karina poczuła, jak coś w niej skręca się z zazdrości.

– Dlaczego pogasiliście wszystkie światła? – zapytała, sama dziwiąc się, że jej głos zabrzmiał aż tak ostro, jakby miała do nich pretensje o mrok panujący w domu.

– Nie ma prądu – odparła Julia, a Karina mogłaby przysiąc, że powiedziała to z pobłażaniem.

– Postaraj się, żeby małe nie zmęczyły mamy za bardzo – zastrzegł Emil. – Chciała je zobaczyć, ale... nie ma za wiele sił.

Przykro mi, pomyślała Karina. Podparła się o ścianę, zdjęła ze stóp eleganckie buciki, ustawiła je równiutko pod ścianą. Przykro mi, chciała powiedzieć, ale milczała, bo wiedziała, że jej wyrazy współczucia nie będą znaczyć nic dla tych dwojga. Przykro mi, ja przecież też ją pokochałam, miała ochotę krzyknąć.

Odsunęli się, robiąc przejście. Nie potrzebowali pocieszenia Kariny, jej obecności; nawet Elżbieta chciała tylko zobaczyć wnuczki.

– Asia, Jula, chodźcie, pójdziemy przywitać babcię! – zawołała, odwracając się plecami do Julii i Marka, który właśnie wniósł do domu walizki. Nie chciała, żeby odczytali coś z jej twarzy.

*

Karina Bluszcz czasem miała wrażenie, że nienawiść zdominowała całe jej życie. Zastanawiała się nawet, czy nie powinna iść z tym do terapeuty, ale przyznanie się głośno do nienawiści wobec tak wielu rzeczy zdawało się niewłaściwe. Poza tym Michał uznałby, że ożenił się z wariatką. Julia na pewno nie potrzebowała pomocy żadnych terapeutów, psychiatrów, psychologów. Sama kiedyś zostanie psychologiem (lub psycholożką, jak mawiała jedyna koleżanka Kariny, zdeklarowana feministka) i będzie pomagać ludziom z Problemami. Takim ludziom jak Karina.

Parę razy Karina śniła o tym, że wpełze na fotelu w gabinecie lekarskim, a obok siedzi Julia w białym kitlu, z okularami na nosie, zapisując coś w notatniku. Obawiam się, że nie mogę ci pomóc, mówiła w końcu ze smutkiem, spoglądając na Karinę znad szkieł. Jesteś przypadkiem beznadziejnym. Nie nadajesz się absolutnie do niczego.

Nieprawda, odpowiadała Julii ze snu, kiedy się budziła. Julii i wszystkim innym, którzy tak uważali. Zrywała się z łóżka i próbowała być supermamą, superżoną, superpanią domu, superkobietą, superkucharką, superkochanką, superpiękną, super dobrze ubraną. Nie zadowalało jej bycie dobrą ani nawet bardzo dobrą, wszystko musiało być super przez duże S, jak to na kostiumie Supermana, który był superbohaterem. Przygotowywała najlepsze obiady pod słońcem, dbając przy tym, żeby były zdrowe, zawoziła i przywoziła córeczki ze szkoły, pilnowała, żeby odrabiały lekcje, a mąż nigdy, przenigdy nie oglądał jej w starych, powyciąganych swetrach. W tej całej pogoni za byciem super nie starczało już czasu na bycie po prostu Kariną. Powoli zapominała, co tamta dawna Karina Sprzed Małżeństwa lubiła robić, dokąd chodzić, z kim rozmawiać, jakie książki czytywała i za jakimi serialami przepadała, bo supermama wybierała się tylko z dziećmi na plac zabaw albo zabierała je na basen, a wieczorami czytała głośno bajeczki. Superżona urządzała obiady dla klientów Michała, zabawiając ich uprzejmą konwersacją o pogodzie i czasami (rzadko, rzadko, coraz rzadziej) oglądała razem z mężem filmy wojenne, ponieważ takie lubił najbardziej. A najgorsze, że bycie super nie wystarczało i często spędzała bezsenne noce samotnie.

Karina nienawidziła filmów o wojnie i nienawidziła bajki o Kopciuszku, ukochanej opowieści Asi. Mimo to siadała obok Michała na kanapie, w te dwa, trzy dni w miesiącu, gdy wracał do domu przed dwudziestą, udając, że *Czas honoru* to najwspanialszy serial na świecie. Albo otwierała książeczkę i po raz setny czytała o Kopciuszku gubiącym swój pantofelek. Umiała naprawdę dobrze maskować

nienawiść, przez całe lata nabrała w końcu wprawy.

*

Dziewczynki zostały umieszczone w pokoju gościnnym na parterze, a walizkę Kariny zanesiono do dawnej sypialni Michała. Gdyby mogła, Karina chętnie zamieniłaby się z córkami, ale na górze przeszkadzałyby Elżbiecie, poza tym jak wyjaśniłaby tę prośbę? Miałaby tłumaczyć Markowi, że czuje się w tym pomieszczeniu źle, obco, że nie umie rozpoznać w jego dawnym właścicielu własnego męża? Wyobrażała sobie drwiące spojrzenie siwych oczu Julii, dobrze znającej tego chłopca, który wieszał na ścianach plakaty rockowych zespołów, zostawił na półkach kolekcję płyt i książek o lotnictwie, wyciął na blacie inicjały M.B + D.K. Ilekroć Karina siadała przy biurku, zastanawiała się, kim była D.K. Jak miała na imię? Danuta, Daniela, Daria? Odwzajemniała uczucie Michała czy może tylko wzdychał do niej skrycie? Polubił ją w podstawówce, a teraz nie pamiętał nawet, jak wyglądała, czy też zakochał się na zabój w czasach liceum, ona złamała mu serce i wciąż czasem śnił o tej D. nocą, leżąc przy boku żony?

Michał, którego poślubiła Karina, nigdy nie zawiesiłby koło drzwi plakatu przedstawiającego długowłosych mężczyzn w czerni. Ten Michał uważał, że każdy młody człowiek z długimi włosami i w ciemnym stroju jest potencjalnym mordercą, złodziejem albo przybyszem z obcej planety. Nie miał dość czasu na czytanie książek i nigdy nie wyciął inicjałów Kariny na żadnym biurku, drzewie, nie zapisałby ich nawet na kartce papieru.

Podskoczyła, gdy ktoś zapukał do drzwi, omal nie upadła, zrywając się z krzesła. Na szczęście nikt nie wszedł do środka, nie została przyłapana na wpatrywaniu się w inicjały wyryte na biurku. Nienawidziła, kiedy ktoś przyłapywał ją na czymś, czego w swojej opinii robić nie powinna. Tych inicjałów też nienawidziła.

– Proszę?

– Kolacja gotowa – powiedział Emil z korytarza. Nic dziwnego, że nie usłyszała, jak nadchodził. Emil poruszał się niemal bezszelestnie.

– Już schodzę.

Zaczęła szukać w torebce lusterka. Karina, jak na prawdziwą, elegancką kobietę przystało, miała śliczną torebeczkę z ciemnej skóry, w której trzymała znacznie więcej rzeczy, niż wskazywałyby jej rozmiary, oraz w której nigdy nic nie dało się znaleźć. Lusterko znikło gdzieś pośród kosmetyków, kabli do komórki, tamponów, tabletek i stu tysięcy innych drobiazgów. W końcu musiała zadowolić

się spojrzeniem na odbicie w szybie. Wciąż nie włączyli światła i w ciemnościach nie widziała zbyt wiele, ale zarejestrowała, że kilka kosmyków umknęło z ciasnego koka, a szminka się rozmazała. Szczotkę i nawilżone chusteczki na szczęście zdołała wyłowić gdzieś z dna torebki.

Kiedy po dziesięciu minutach zeszła do kuchni, przy stole siedziały już bliźniaczki, Emil, Kamil i Julia. Bluszczowie zajęli miejsca po obu stronach dziewczyny, ona i Emil niemal stykali się ramionami. Na blacie ustawiono kilka fioletowych świec, rozświetlających pomieszczenie.

– Nie bujaj się na krzesła – powiedziała Karina do Juli, siadając obok córeczki.

Odkąd pamiętała, Julia Motylska zawsze miała przy boku jednego z braci Bluszcz. Najczęściej Emila, obejmującego dziewczynę, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Kiedy Karina po raz pierwszy weszła do Bluszczowego Dworu, Emil trzymał Julię na kolanach i z początku wzięła ich za parę. Szybko odkryła jednak, że nie są razem, a kiedy w pobliżu znajdowali się jednocześnie Kamil i panna Motylska, ten także towarzyszył jej niemal na każdym kroku. Na samym początku zdarzało się, że miejsce u boku Julii zajmował Michał, ale Karina szybko się postarała, aby ten stan rzeczy uległ zmianie.

Michał nigdy nie złapał ręki Kariny w taki sposób, w jaki Emil splatał palce z palcami Julii. Nikt nigdy nie chwycił tak jej dłoni.

– Mamo, czy Sasa może spać z nami? – poprosiła Julia z pełnymi ustami, przekręcając imię psa. Bliźniaczki jadły, ale talerze reszty pozostały puste, z czego Karina zdała sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy sięgnęła po tosty. Zamarła z tostem w palcach, niepewna, czy powinna go odłożyć, czy ugryźć.

– To niehigieniczne – oznajmiła. Tymczasem w drzwiach stanęła Elżbieta, prowadzona przez męża, blada i wyraźnie zmęczona, mocno wsparta na ramieniu Marka, ale uśmiechnięta. Na ponurych do tej pory twarzach braci i Julii także pojawiły się uśmiechy, jakby sama obecność pani Bluszcz poprawiała im humory. A może nie chcieli jej martwić?

– Ciociu. – Julia poderwała się, odsunęła krzesło u szczytu stołu. Elżbieta usiadła, pieszczotliwie poklepała dziewczynę po policzku. Karina w tym momencie nienawidziła Julii jeszcze bardziej, nienawidziła ze wszystkich sił, nienawidziła całą duszą i sercem. Światło świec odbijało się w siwych oczach, dodawało blasku rudym, nastroszonym włosom, a Karina czuła, że staje się mniejsza, coraz mniejsza, aż znika zupełnie. Przy przybranej córce Bluszczów przestawała istnieć, choć ta nie była przecież piękna, nie umalowała rzęs ani ust, miała na sobie brudne dżinsy i zbyt dużą koszulkę któregoś z chłopców. Mimo to Karina w swojej ołówkowej spódnicy, białej bluzce, ze szminką na wargach, znikała bez śladu.

– Sasza zapewne będzie spała u mnie – powiedziała Julia, wracając na miejsce między Kamilem i Emilem. – Jeśli jej nie wpuszczę, zacznie drapać

w drzwi, a w końcu wyć do księżycyca. W tej roli sufit, oczywiście.

Jeśli spędzę w twoim towarzystwie jeszcze trochę czasu, też zacznę wyć do księżycyca, pomyślała Karina.

– To nie jest... nehihenczne? – spytała mała Jula, a duża Julia zmrużyła oczy, uśmiechając się kątem ust.

– Studiuję, dziecino. Każda inspektorka sanepidu uciekłaby z naszego mieszkania z krzykiem. Jestem absolutnie pewna, że ostatnio ze zlewu machała do mnie jakaś zielona macka. Wiolka, nie myjąc naczyń, wyhodowała wreszcie nową formę życia.

Karinie wystarczyło jedno spojrzenie na córkę, by odgadnąć, że w tym momencie ta dziwna ciotka o czerwonych włosach kupiła ją sobie na zawsze. Ironicznym uśmiechem, gotowością do dzielenia łóżka z ogromnym owczarkiem niemieckim, plamami błota na spodniach, mówieniem do niej jak do dorosłej, opowieścią o nowych formach życia w zlewie. Zmieniła się, stwierdziła Karina niechętnie. Stała się śmielsza. W ciągu ostatnich czterech lat widziała Julię tylko parę razy i nie zauważyła tego wcześniej, wciąż przechowując w pamięci obraz cichej nastolatki w okularach.

– Wasze mieszkanie nie wyglądało tak źle, kiedy ostatnio w nim byłam – zdziwiła się Elżbieta. Wraz z przybyciem pani Bluszcz wszyscy zabrali się za jedzenie. Karina obserwowała, jak Emil nakłada tosty na talerze swoje i Julii, jak Julia rozlewa sok pomarańczowy do trzech szklanek, a Kamil podsuwa jej dżem. Czy zdawali sobie sprawę z tego milczącego porozumienia?

– Ciociu kochana, twoją wizytę poprzedził tydzień szaleńczych porządków. Wynosiliśmy butelki, ścieraliśmy kurze, myliśmy okna, pastowaliśmy podłogi, malowaliśmy ściany...

– ...trupa z szafy zakopaliście przed blokiem, a demony z łazienki przenieśliście do piwnicy – dokończył Kamil z głośnym parsknięciem.

– Widziałeś nas?! – przeraziła się Julia teatralnie. – Przeciwno rodzinie chyba nie będziesz świadczyć w sądzie?

– Zaczynam się czuć tak, jakby ktoś cofnął czas – oznajmiła Elżbieta, która w jakiś magiczny sposób wyglądała na mniej zmęczoną. Może to ciemności, rozpraszane jedynie przez blade płomyki świec, litościwie ukryły ślady choroby dręczącej jej ciało? Marek nakrył szczupłą rączkę żony swoją własną, ogromną dłonią, delikatnie ścisnął palce. Julia przechyliła się przez stół, żeby położyć na jego talerzu tost i Karina dopiero w tym momencie zauważyła, że teść nie tknął jedzenia.

– Nie macie pojęcia, jak się cieszę, mając was tutaj – dodała Elżbieta, spoglądając z miłością na wnuczki, synów i przybraną córkę. Tylko po Karinie prześlizgnęła się obojętnym wzrokiem, ale dlaczego miałoby być inaczej? Była w końcu obca, choć nosiły to samo nazwisko.

– Przepraszam – powiedziała Karina, gwałtownie podrywając się z miejsca.
– Strasznie boli mnie głowa, pójdę się położyć. Dziewczynki, proszę, bądźcie grzeczne. Później przyjdę pomóc wam się przygotować do snu.

Zignorowała zdziwione spojrzenia rodziny Bluszczów, szybko ruszyła ku schodom, czując się jak kompletna idiotka. Nie umiała wyjaśnić impulsu, który kazał jej wstać od stołu i po raz pierwszy ucieszyła się, że Michał nie znalazł czasu na pojechanie razem z nimi. Co by sobie pomyślał, gdyby postąpiła tak przy nim? Co inni sobie pomyśleli? A może nic, bo przecież nie obchodziła żadnego z nich ani trochę. Nie, nieprawda, jest niesprawiedliwa. Elżbieta zawsze miała dla niej uśmiech, dobre słowo. Kiedy Karina była w zagrożonej ciąży i musiała trzy miesiące przeleżeć w łóżku, Elżbieta przyjechała do Warszawy, gotowała, sprzątała, a przede wszystkim rozmawiała z synową, zabawiała ją i pocieszała. Przynosiła z kwiaciarni kwiaty, wypożyczała głupie komedie romantyczne, kupowała książki. Karina lubiła wyobrażać sobie, że to ona jest dzieckiem Bluszczów, nie Michał, że to jej matka kręci się w kuchni, układa róże w wazonie, podaje talerz z obranym jabłkiem. Po raz pierwszy i ostatni ktoś troszczył się o nią do tego stopnia.

A Elżbieta umrze. Białaczka siała spustoszenie w jej organizmie, odporna na wszystkie próby leczenia. Późno ją zdiagnozowano. Ilość krwinek we krwi była o wiele za duża. Z tą chorobą dało się żyć przez lata, czasem nawet nie wymagała leczenia, lecz w tym przypadku nie pomogła nawet chemioterapia, kolejny nawrót połączył się z innymi dolegliwościami.

Na myśl o tym, że niedługo Elżbieta zostanie zatrzaśnięta w trumnie, Karinie zrobiło się niedobrze. Roześmiana Ela o jasnych warkoczach trafi do zimnego grobu, będzie leżeć sama na pobliskim cmentarzu. Karinę zapiekły oczy, potknęła się na schodach. Głowa naprawdę zaczynała ją boleć, może to była kara za kłamstwo. Dziś teściowa wyglądała dobrze, jakby przyjazd dwójki dzieci i wnuczek dodał jej sił, ale nie należało wierzyć w cuda, robić sobie nadziei. Elżbieta umrze, powtórzyła w myślach Karina, nienawidząc tej świadomości dużo, dużo bardziej niż Julii.

*

Julia miała Elżbietę, Marka, trzech braci i siostrę, a Karina – wiecznie pijaną matkę i wielu wujaszków.

Nie chodziło o to, że matka nie kochała córki. W tych rzadkich chwilach, kiedy była trzeźwa, sprawdzała jej pracę domową, robiła obiady, kupowała lizaki

i nawet chodziła do szkoły na wywiadówki. Po prostu wódkę kochała bardziej, a ta miłość narastała z każdym rokiem. W liceum Karina musiała zacząć chować podręczniki, nagrody za wyniki w nauce i nieliczne prezenty od wujków, próbujących się wkupić w jej łaski, żeby nie znikły, zamienione na butelki. Pieniądze z dorywczych prac zawsze nosiła przy sobie. Matka czasem próbowała ją obejmować, ale Karina uciekała przed wyciągniętymi ramionami i gdy tylko skończyła liceum, uciekła ostatecznie, przenosząc się do warszawskiego akademika. Przyznano jej stypendium socjalne, po drugim roku drugie, za wyniki w nauce, a w weekendy dorabiała jako kelnerka. Nie musiała więcej odwiedzać nieposprzątanego mieszkania, cuchnącego alkoholem. I nie odwiedzała. Pierwsze święta na studiach spędziła samotnie, ucząc się do styczniowych egzaminów.

Na następną Wigilię Michał zaprosił ją do Zguby. Karina patrzyła, jak Elżbieta długo tuli do siebie Julię po złożeniu życzeń, jak Marek głaszcze dziewczynę po włosach, jak roześmiany Michał (przy niej nigdy tak się nie śmiał!) unosi przybraną siostrę w powietrze, jak ta tarza się w śniegu z Kamilem i przysypia w wigilijny wieczór z głową opartą na ramieniu Emila.

To wtedy zaczęła nienawidzić Julii, która miała wszystko, czego Karinie zawsze brakowało. Wszyscy kochali Julię, Kariny nie kochał nikt. Julia mieszkała w pięknym domu, gdy Karina wychowała się w M2 na siódmym piętrze bloku z wiecznie popsutą windą. Julia wyłowiła spod choinki sukienkę i modne dżinsy, a Karina często ubierała się w lumpeksach. Julia dostała od Kamila pięknie wydaną serię powieści jakiegoś amerykańskiego pisarza, tymczasem na półkach Kariny stały wyłącznie książki pożyczone z bibliotek. Julia dała Elżbiecie portret, który sama namalowała, bo całe lata chodziła na lekcje rysunku – Kariny nigdy nie było stać na żadne zajęcia dodatkowe, poza tym nie miałyby na nie czasu, próbując zarobić choć parę groszy dla siebie. Julia wzięła trzeci kawałek ciasta i zjadła na spółkę z chłopcami opakowanie ptasiego mleczka, zaś Karina odmówiła dokładki pysznych pierogów z grzybami, bo miała skłonności do tycia, a walka o szczupłą sylwetkę nie była łatwa.

Trzpiotowata, wesola Jowita, choć rodzona córka Bluszczów, irytowała Karinę mniej. Może dlatego właśnie, że przysługiwało jej prawo do całej tej miłości i bogactwa, podczas gdy Julii to wszystko spadło jak z nieba. A może dlatego, że ważyła jakieś pięć kilo za dużo, nie wiedziała, kim był Józef Chłopicki, przejęła się odprysniętym lakierem z paznokcia i z nikim nie wymieniała porozumiewawczych spojrzeń.

Przy Jowicie Karina nie czuła się niewidzialna.

III

Anna

Karina dawno już znikła na górze, wkrótce potem Marek odprowadził żonę do sypialni. Anna wbiła wtedy wzrok w stół, żeby nie widzieć, jak ciężko Elżbieta opiera się na ramieniu męża. Choć zmęczona, wyszła z jadalni o własnych siłach, ale po schodach musiał chyba ją wnosić. Dziewczynki, korzystając z nieobecności matki, zaczęły tarzać się po dywanie z Saszą, nie zwracając uwagi na dorosłych.

Anna posmarowała kawałek chleba masłem, zaczęła bezmyślnie układać na nim fantazyjną kompozycję. Twarz z sera, rzodkiewki zamiast oczu, nos z ogórka, włosy z musztardy i imitujący usta keczup. Dopiero gdy skończyła, zrozumiała, co właśnie zrobiła i zła odsunęła talerz. Julia ze Zguby często przygotowywała takie kanapki lub dekorowała ciasta za pomocą bitej śmietany i owoców. Wystarczyło raz ponownie usiąść przy tym stole, by powrócił dawny nawyk.

– Nie jesz? – spytał Kamil i nie czekając na odpowiedź, zabrał jej dzieło. Gdy Elżbieta wróciła do siebie, nie musieli udawać wesołości, podtrzymywać rozmowy, zamilkli więc i w pokoju słychać było tylko śmiech dziewczynek, karmiących Saszę resztą swojej kolacji. Mimo ich radości atmosfera zdawała się tak ciężka, że można by ją kroić nożem. Emil prawie nie tknął zawartości swojego talerza, ledwo jego matka wyszła, nie tylko przestał się uśmiechać, ale nawet ruszać. Zatopiony we własnych myślach zapomniał chyba o wszystkim, co go otaczało. Od dzieciństwa miał skłonności do pogrążania się w swoim prywatnym świecie i w takich chwilach nie docierały do niego żadne bodźce zewnętrzne, jakby oprócz wzroku stracił słuch, zmysł węchu i dotyku. Teraz ten wewnętrzny świat Emila musiał być bardzo mrocznym miejscem, a Anna już nie umiała dodać mu barw. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, wykonać właściwego gestu. Choć ich krzesła niemal się stykały, równie dobrze mogłaby wciąż być w Warszawie, setki kilometrów stąd.

– Sądzę, że pora, żebyście się położyły – powiedziała Anna, zerkając na zegarek. Jedna z bliźniaczek wymruczała coś pod nosem, ale obie wstały z podłogi.

– Zaprowadzę was – oznajmił nieoczekiwanie Emil. Dla niego w końcu brak światła nie stanowił żadnej przeszkody. Podniósł się zza stołu, wyciągnął ręce do bliźniaczek i ruszył z nimi ku pokojowi gościnnemu.

Pozostanie sam na sam z Kamilem było jedną z ostatnich rzeczy, na jaką Anna miała ochotę. Zerwała się z miejsca, z zamiarem natychmiastowego opuszczenia pokoju, gdy napotkała drwiące spojrzenie ciemnych oczu Kamaela.

– Uciekasz przede mną? Nie pogryzę cię przecież.

Nie, najwyżej wyssiesz życie albo je zrujnujesz, burknęła w myślach.

– Nigdzie nie uciekam. Mam za sobą długą podróż, jestem zmęczona, chcę się położyć.

Roześmiał się swoim charakterystycznym, ochrypłym śmiechem, niezbyt wesołym i niezbyt przyjemnym. Niech pękną nogi jego krzesła, błagała Anna dowolne siły, jakie zechciałyby słuchać. Niech poleci do tyłu, niech niechący ugryzie się w język albo dostanie zapalenia wyrostka robaczkowego. Cokolwiek, byle wreszcie się zamknął!

– Jesteś taka przewidywalna, Julio.

Niestety, nie nastąpiła żadna nadprzyrodzona interwencja, anioł stróż Motylskiej zapewne gościł właśnie na jakiejś imprezie suto zakrapianej alkoholem. A ona znów w milczeniu znosiła to, jak ją wyśmiewał, niezdolna do reakcji. W końcu odwróciła się i wyszła, świadoma, że rzeczywiście ucieka, po raz kolejny umyka z pola walka, nie będąc w stanie podjąć wyzwania. Nienawidzę twojego śmiechu, Kam, wyliczała cichutko. Nienawidzę tonu głosu i ironicznym spojrzeń. Egoizmu, zapatrzenia w siebie, dążenia do celu po trupach i nieliczenia się z innymi. Nienawidzę tego, że wciąż kogoś ranisz i tego, że nie umiemy być rodziną. Nienawidzę wszystkich razów, kiedy musiałam cię kryć, kłamać i udawać. Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę, kontynuowała tę niemającą końca litanię, stając przy oknie w swoim pokoju.

Deszcz padał nieprzerwanie i zaczynała dopuszczać do siebie możliwość, że samochód popłynie gdzieś z nurtem rzeki, w którą pomału zamieniała się droga. Nie będzie mogła nawet urządzić mu godnego pogrzebu na złomowisku z wygłaszaniem mów, kwiatami i masą zużytych chusteczek.

– O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny – wymamrotała pod nosem wers z wiersza Staffa. – Jasna cholera, przecież jeszcze nie mamy jesieni...

Jako jedyna z rodziny sypiała na parterze, w pokoju z oknami wychodzącymi na ogród za domem, a dalej na las, odgradzony murem od podwórka. Kiedyś pokoił zajmowała babka Marka, ale zmarła niedługo przed tym, jak Bluszczowie przyjęli Annę pod swój dach. Został po niej bujany fotel, reprodukcja Mona Lisy na ścianie i kilka książek o pożółkłych kartkach. Meble rozdano, a większość rzeczy osobistych ukryto w pudłach na strychu, gdy pomieszczenie przygotowywano na przybycie nowej lokatorki.

Nie zmieniło się tu wiele od dnia, w którym Anna wyjechała na studia. Opuszczając Bluszczowy Dwór, wiedziała, że nigdy nie zechce wrócić, zabrała więc właściwie wszystkie ubrania, książki i najważniejsze pamiątki. Jednak

nieliczne pozostawione rzeczy wciąż stały na swoich miejscach, jakby pokój pozostał jej własnością. Pluszowy, biały miś, porzucony na bujanym fotelu, porcelanowa lalka o kasztanowych lokach, srebrna bransoletka, *Przygody Alicji w Krainie Czarów*, zapomniany podręcznik francuskiego i zeszyt od matematyki z liceum. Dwa zdjęcia w ramkach, plakat, storczyk w doniczce, dzwonki zawieszane przy oknie, rysunek na ścianie. Dlaczego to wszystko jeszcze nie trafiło na strych, dzieląc los drutów, szali i porcelany babci Bluszcz?

Zrzuciła na podłogę ogromnego miśka, którego dostała od Kamaela na urodziny, skuliła się w wolnym teraz fotelu. Zakołysał się parę razy i Anna pomyślała, że Elżbieta miała trochę racji mówiąc o wracającej przeszłości. Pomimo wychudzonej twarzy ukochanej opiekunki, głębokich bruzd wokół ust Marka, pomimo tego, że Emil zdawał się dalszy niż kiedykolwiek wcześniej, a każde zdanie skierowane do Kamila wiele ją kosztowało. Czy Elżbieta dała się nabrać na tę ich sztuczną wesołość podczas kolacji?

Deszcz bębnił o parapet. Słońce zdążyło całkiem zejść; pewnie mogła być już dwudziesta pierwsza. Wciąż nie włączono światła i w ciemności Annie wydało się, że miś poruszył łebkiem, spojrzał na nią z wyrzutem. Sięgał jej niemal do pasa, był miękki, kudłaty, na szyi zawiązano mu czerwoną kokardę, a oczy miał czarne, dziwnie smutne. Nie, stop, zabawki nie bywają smutne; obejrzała *Toy Story*, ulubiony film animowany Kaśki, zdecydowanie zbyt wiele razy, namieszało jej to w głowie.

Dopiero *Garbi – Super bryka* skrzywił ci psychikę dokumentnie, odezwał się jakiś cichy głosik w głębi umysłu Anny. Przyznaj się, sądzisz, że twój Staruszek czuje miętę do tej ciemnej Alfy Romeo waszego sąsiada z góry, co? Za wysokie progi na Staruszka... koła. A progi Bluszczowego Dworu nie są za wysokie na Motylskiej nogi?

Pluszowy niedźwiadek podparł się przednimi łapkami, niepewnie stanął na tylnych, zamrugał kilka razy.

– Jesteś – oznajmił – kompletnie szalona, Julio Motylska.

Chwiejnym krokiem ruszył ku biurku, jakimś tajemniczym sposobem otworzył szufladę, zaczął wyrzucać na podłogę jej zawartość. Opakowanie od dawna zaschniętych farb, szkicownik, kredki, notatki z historii, fotografie. Anna chciała krzyknąć, żeby natychmiast przestał, kazać mu się wynosić i dodać jeszcze, że absolutnie nie jest szalona. Zamiast tego, milcząc, kołysała się na bujanym fotelu.

– Zostawiłaś mnie – powiedział oskarżycielsko pluszak, kopiąc przy tym szkicownik. Nie utrzymał równowagi, stojąc na jednej łapce, upadł, a rysunki rozsypały się po pokoju. Miś wybuchł głośnym płaczem, po białej, kudłatej mordce spływały łzy. – Dlaczego odeszłaś?

– Nie mogłam tu zostać na zawsze – odparła. – Chciałam się uczyć.

Pracować. I żyć, do licha, chodzić do kina, do pizzerii, na zakupy, mieć przyjaciół, nie siedzieć w tym, choćby najpiękniejszym, domu w środku lasu i powoli wariować!

– I tak zwariowałaś – upierał się miś. Anna spojrzała na rysunek, który leżał tuż pod jej nogami, nie do końca udany szkic węglem, przedstawiający Kamaela. Pomimo pewnych niedociągnięć technicznych dobrze oddawał naturę Bluszcza. Skrzywione ze złości usta, zmarszczone brwi, zagniewane oczy. Rysunkowy Kam poruszył się, spojrzał wprost na nią, wyraźnie rozwścieczony.

– Wszyscy tutaj jesteśmy szaleni – odparowała, uświadamiając sobie, że niechcący cytuje *Przygody Alicji w Krainie Czarów*. Miś musiał mieć podobne skojarzenie, bo uśmiechnął się uśmiechem Kota z Cheshire.

– Mogłaś częściej wracać.

– Po co? Nie jestem prawdziwą córką Eli i Marka. Nie mogłam polegać na nich wiecznie. Nie miałam tu żadnych przyjaciół. Michał założył własną rodzinę i nie chciałam dłużej znosić nieźrównoważenia emocjonalnego Kama!

– A może nie chciałaś znosić siebie? – spytał miś przebiegle; jego głos przez chwilę był głosem Kamaela. Anna zacisnęła pięści, przypatrując się rozsypanym na podłodze rysunkom. Na jednym z nich była ona sama, zgarbiona Julia z warkoczykami i nieśmiałym uśmiechem. Tak, siebie też miała dość, a wszelkie próby dokonania zmian tutaj, w Zgubie, były skazane na niepowodzenie.

– Trzeba było zabrać mnie ze sobą – dodał pluszak i znów zaczął łkać.

Anna poruszyła się, uniosła powieki. Zabawka leżała tam, gdzie ją rzuciła, farby i rysunki zapewne znajdowały się bezpiecznie zamknięte w szufladzie. Deszcz przestał wreszcie padać, wiał za to wiatr, cienie poruszających się gałęzi tańczyły na szybie. Płacz jednak nie umilkł, dobiegał gdzieś zza ściany. Do wciąż zaspanego umysłu Anny dotarło, że to musi płakać któraś z córeczek Kariny. W tej części domu nikt oprócz niej nie miał szans usłyszeć szlochu. Ale co, jeśli mała postanowi iść szukać matki i przez przypadek obudzi Elżbietę? Na tę myśl dziewczyna gwałtownie poderwała się z miejsca. Nogi zdrętwiałe od długiego siedzenia w jednej pozycji zgłosiły protest, musiała podeprzeć się o biurko, żeby nie upaść. Kiedy wyszła na korytarz, odkryła, że pod drzwiami spała Sasza. Pies podniósł łeb i spojrzał na Annę z nadzieją, że zostanie zaproszony do środka.

– Chodź, potworo, mamy do uspokojenia małą dziewczynkę, sztuk jeden. Albo dwie – powiedziała Anna, uchylając drzwi do pomieszczenia, w którym ulokowano bliźniaczki. Saszy nie trzeba było dwa razy powtarzać, natychmiast ruszyła za nią.

Powitał je pełen przerażenia pisk. Zapewne dzieci sądziły, że z wizytą wpadła jakaś strzyga złakniona krwi albo Wróżka Zębuszka, gotowa samodzielnie wyrwać parę zębów, jeśli niczego nie znajdzie pod poduszką. Anna spróbowała włączyć światło, ale wciąż nie działało i w ataku pesymizmu zaczęła się

zastanawiać, czy nie stracili dostępu do elektryczności na wieki wieków.

– Dziecino, jeśli będziesz tak wrzeszczeć, dostaniesz chrypy – poinformowała, podchodząc do łóżka. Spod kołdry wyłoniły się dwie jasnowłose głowy. Która była która? Nigdy nie umiała powiedzieć, która nosi jej imię. Właściwie do tej pory nie zdołała zrozumieć, jak się stało, że Michał nazwał córkę po niej. – Odwiedziły was jakieś straszne potwory, co?

– Ciocia Julia? – upewniła się dziewczynka leżąca z lewej. Sasza, nie czekając na zaproszenie, wskoczyła na łóżko i radośnie polizała po nosie jedną z bliźniaczek, a potem, żeby było sprawiedliwie, przejechała językiem po uchu drugiej. Znowu rozległ się pisk, tym razem raczej radosny niż przestraszony.

– Z dużym prawdopodobieństwem – przyznała Anna. – Przedstawić mi się zaraz, nie mam soczewek, jest ciemno, ledwo was widzę, która jest która, hm?

– Julia, ja jestem Julia! A to Asia. Asia płakała, bo miała koszmar – oznajmiła natychmiast ta z prawej, siadając i przygarniając do siebie psa.

– Julia też płakała – burknęła Asia z wyraźną urazą.

– Złe sny? Jakaś epidemia... – wymamrotała Anna pod nosem, przypominając sobie wyrzuty, czynione przez białą zabawkę. – No dobrze, widzę, że jeśli były tu jakieś wstrętne stwory, to zdążyły wrócić do Potworolandii. Zapaliłabym wam lampkę, ale nie ma światła. Nie będziecie się już chyba bały, prawda? Jakby co, śpię tuż za ścianą.

– Ciocia nie mogłaby zostać? – spytała nieśmiało Julia.

Anna się zawahała. Nie miała na to najmniejszej ochoty, ale przypomniała sobie swoje pierwsze dni w Bluszczowym Dworze. Na początku dom zdawał się wielki, ponury, wciąż oczekiwała, że coś wyjdzie z lasu, wejdzie do środka i pożre ją, a inni, śpiący na górze, nawet nie usłyszą krzyków. Śmiertelnie bała się otwierać okna. Emil, poruszający się kompletnie bezszelestnie, parę razy omal nie przyprawił jej o zawał.

– Możesz wreszcie przestać ryczeć po nocy? – spytał po dwóch tygodniach Kamil, wchodząc do pokoju Anny-Julii przed północą. – Słychać cię aż u mnie!

Mała Julia oczywiście zaczęła płakać jeszcze bardziej, a Kamael speszył się chyba po raz pierwszy i ostatni w życiu. Usiadł na bujanym fotelu babki Bluszcz, próbując nieporadnie pocieszać nową siostrę, której pojawienie się wcale go nie cieszyło. Posunął się nawet do tego, że wziął ją za rękę, choć wcześniej uciekał przed dziewczynką, jakby cierpiała na trąd. W końcu usnęła i po raz pierwszy nie śniły się jej żadne koszmary. A od tej pory nigdy już nie mogła być pewna, czy Kam zachowa się okropnie, czy też wręcz przeciwnie, zrobi coś miłego.

– Niech będzie – westchnęła Anna. – Robić miejsce, moje panie, powinnyśmy się tu zmieścić wszystkie. Bo Saszy, oczywiście, już stąd nawet na powrozie nie wyciągniemy. Może wasza matka daruje nam rano życie.

Wgramoliła się na łóżko pomiędzy bliźniaczki, dziewczynki natychmiast do

niej przyłgnęły. Uszczęśliwiona Sasza położyła się w nogach, choć Anna miała przykre przeczucie, że pies, w miarę upływu czasu, będzie zdobywać coraz więcej przestrzeni i rano któraś z nich obudzi się na brzegu posłania bądź na podłodze.

*

Anna była budzona na różne, nie zawsze przyjemne sposoby. W każdy lany poniedziałek, jeśli nie wstała odpowiednio wcześniej, chłopcy wylewali jej na głowę wiadro wody, za nic mając późniejszą złość matki. Kiedyś Jowita, wracając późno z nieudanej randki, rzuciła się w ramiona (śpiącej!) Anny z głośnym szlochem, prawie łamiąc dziewczynie zębra. Gdy Kamil wracał do domu w środku nocy, zwykle dostawał się do środka przez jej pokój. Nie wspominając już o różnego rodzaju pobudkach zaserwowanych przez Wiołkę, Kasię i Drozda, wśród których wszelkie rekordy bił zimowy dzień, gdy Kasia, nie zapaliwszy wcześniej światła, zaczęła potrząsać ramieniem Anny, by spytać, jak się prezentuje w kostiumie zombie na bal przebierańców.

Wolałaby po przebudzeniu zobaczyć jednak nad sobą prawdziwego zombie, z którym konwersacja ograniczałaby się do słowa *mózg*, wymawianego z naciskiem na samogłoskę, niż Karinę.

– Co się tu wyprawia? – spytała Karina słodkim głosem. Anna z trudem powstrzymała jęknięcie. „Móóóóózg” brzmiałoby zdecydowanie lepiej. Rozespana, nie potrafiła zmusić swojego umysłu do szybszych obrotów; myśli bawiły się z nią w berka i nie dawały się złapać. Nie umiała wyksztusić z siebie nic sensownego. W tym momencie Sasza, cudowna, wspaniała, kochana Sasza, do tej pory wtulająca nos w szyję Asi, usłyszała, że w pokoju jest ktoś jeszcze i poderwała się, gotowa do powitań. Podskoczyła, opierając łapy na ramionach Kariny stojącej tuż przy łóżku, entuzjastycznie polizała ją po twarzy. Kobieta pisnęła, a obudzone bliźniaczki, widząc matkę próbującą odepchnąć psa, wybuchły śmiechem. Karina cofnęła się, straciła równowagę i upadła na dywan, a Sasza natychmiast skorzystała z okazji, wskakując jej na brzuch. Anna z trudem powstrzymała chichot. Ten obrazek był wprawdzie wart przyjechania do Zguby, ale przeczuwała, że za chwilę nikomu w pokoju nie będzie do śmiechu.

– Sasza, siad! – krzyknęła, próbując brzmieć zdecydowanie. Suczka niechętnie uwolniła swoją ofiarę i usiadła. Anna wygramoliła się z łóżka, przechodząc ponad Asią. – Dziewczynki miały koszmary, poprosiły, żebym z nimi została. Sądziłaś, że je torturowałam w nocy czy co?

Karina odtrąciła usłużnie wyciągniętą rękę i podniosła się o własnych siłach.

Anna z ponurą satysfakcją zauważyła, że z rozczochranymi włosami, szminką rozmazaną przez psią ślinę i lekkimi rumieńcami na policzkach już nie wygląda tak imponująco jak zwykle. Nie mogłaby już z miejsca zagrać Królowej Śniegu, potrzebowałaby odrobiny charakteryzacji.

– Dlaczego nie przyszyście do mnie?

Bliźniaczki skuliły się pod wpływem groźnego tonu matki. Anna poczuła, że w jej duszy wzbiera bunt. Zawsze była uprzejma dla Kariny, milcząco znosiła złośliwe uwagi, spojrzenia pełne wyższości. Nie, nie, to Julia ze Zguby wykazywała się taką cierpliwością czy też raczej brakiem charakteru.

– O co ci właściwie chodzi? – spytała, ze wszystkich sił próbując mówić spokojnie. Wrzeszczenie przy dziewczynkach nie było wskazane. – Światło wysiadło, miały koszmary, dziwisz się, że nie chciały spacerować po domu w ciemnościach? Jeszcze obudziłyby Elżbietę. Nie rozumiem, o co się złościysz.

– Chodźcie się umyć. Zaraz śniadanie – powiedziała Karina do córek po dłuższej chwili milczenia, ignorując Annę.

A niech cię szlag trafi, zażyczyła sobie Anna, przechodząc obok kobiety. Nie miała zamiaru jeść śniadania w towarzystwie żony Michała. Przez okno dostrzegła błękitne, bezchmurne niebo, więc nic nie stało na przeszkodzie, by rozpocząć akcję ratowania Staruszka. Poza tym potrzebowała swoich rzeczy. W plecaku przyniosła do Bluszczowego Dworu tylko laptopa, szczoteczkę do zębów, szorty, dwie książki, piżamę i parę drobiazgów.

Trampki i bluza nie zdążyły wyschnąć. Na dnie szafki z butami znalazła jednak swoje stare adidas, z plecaka wyłowila podkoszulek Kaśki, który nie wiadomo, jakim cudem zaplątał się do jej bagażu. Wisiał na Annie jak na wieszaku, a na zewnątrz było jeszcze dość chłodno, mimo to nie miała lepszego pomysłu na ubranie.

Promienie słoneczne odbijały się w licznych kałużach, gdy zawiąło, z gałęzi spadały krople wody. Ziemia, grząska od nocnego deszczu, zapadała się pod podszwami. Dom tego ranka wyglądał zupełnie inaczej niż wczoraj, podczas ulewy, stał się mniej ponury, mniej obcy. Mokre liście bluszczu porastającego jedną ze ścian błyszcząły w słońcu, w uchylonym oknie salonu firanka lekko falowała, wprawiana w ruch przez wiatr. Ukochane róże Elżbiety rozłożyły płatki, główki tulipanów kołysały się delikatnie, niepozorna maciejka czekała na wieczór, by roztoczyć dookoła oszałamiający zapach. Anna stanęła przy bramie, wpatrzona w Bluszczowy Dwór i otaczający go ogród, sama już nie wiedząc, czy bardziej kocha to miejsce, czy nienawidzi.

Drzwi się otworzyły, po schodach, z ganku zszedł Kamael. Kiedy ruszył w jej stronę, musiała zwalczyć w sobie irracjonalny odruch każący natychmiast uciekać. Nie wyciągnie przecież nagle z kieszeni rewolweru. Sasza wybiegła za nim, urządziła sobie szaleńczy rajd wokół kawałka nieskoszonego trawnika, na

którym nigdy nie sadzono kwiatów i krzewów, „żeby dzieci mogły się wybiegać”. To się nie zmieniło, choć w Bluszczowym Dworze od dawna nie było żadnych dzieci.

– Tata mówił, że mijali wczoraj wrak, w którym rozpoznał twój samochód. Idziemy po niego czy od razu dzwonić, żeby odwieziono go na złomowisko?

Gdzieś w jakimś podrzędnym barze jej anioł stróż musiał właśnie stoczyć się z krzesła i paść na podłogę – zapewne wciąż z butelką w ręku.

– Sam zamieszkaj na złomowisku! – zezłościła się Anna. – Nie prosiłam, żebyś szedł ze mną.

Z początku miała zamiar zwrócić się do Marka, ale widząc, że po ponad dobie rozstania nie odstępuje żony choćby na krok, zmieniła zdanie. Nie powinna odbierać im ani jednej minuty wspólnego czasu, który wkrótce dobiegnie końca.

– Bo sama wypchniesz go z tego błota – parsknął Kamil, otwierając bramę. Ukłonił się teatralnie, ustępując jej pierwszeństwa. – Panie przodem. Chyba że znów życzysz sobie skakać przez ogrodzenie.

W poprzednim wcieleniu byłęś pewnie kapłanem Voodoo, pomyślała Anna ponuro, wychodząc na drogę. Wyobraziła sobie Kamila w ciemnych szatach, trzymającego laleczkę i wbijającego w poszczególne części ciała szpilki. W obecnym życiu rodzice zaniedbali rozwijanie mrocznych mocy syna, więc kłut ludzi słowami. Celnie i całkiem boleśnie.

Wolała nie wiedzieć, jak skomentowałyby jej rozmowy ze Staruszką. Drozd się śmiał, zazwyczaj rozbawiony, czasem symulując zazdrość. Kamil nie oszczędziłby sobie jakiejś złośliwej uwagi, po której zapragnęłaby zapaść się pod ziemię.

Śpiew ptaków i chrzęst żwiru, którym wysypano zjazd do Bluszczowego Dworu były jedynymi słyszalnymi dźwiękami. Kamael wyprzedził Annę, szedł kilka metrów przed nią, stawiając tak długie kroki, że musiała prawie biec, aby za nim nadążyć. Właściwie nawet ją to cieszyło. Źle się czuła w towarzystwie Kama, nie sądziła, że będzie w stanie z nim rozmawiać.

W cieniu drzew wciąż było chłodno, Anna szybko dostała gęziej skórki i pożałowała, że znów nie pożyczyła bluzy Emila. Zanim zdążyła zmienić zdanie, rzuciła się biegiem ku Kamilowi. Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Na co? – spytała. Uniósł brwi, najwyraźniej nie rozumiejąc pytania. – Na co choruje ciocia – wyjaśniła. Kogo innego mogła zapytać? Przecież nie samą Elżbietę i na pewno nie Karinę. Nie chciała rozmawiać o tym z Markiem, a Emil nie zdołał nawet jej powiedzieć, jak zły jest stan jego matki.

Kamael zwinął kroku, zacisnął mocno szczękę. Odpowiedz, do cholery, chciała krzyknąć Anna. Mam prawo wiedzieć.

– Białaczka – rzucił w końcu. Skręcili na prawo, trafiając na drogę przypominającą jedno, wielkie bagno. Mogli teraz brnąć w wodzie i błocie po

kostki bądź próbować iść tuż pod drzewami, narażając się dla odmiany na skaleczenia i kontakt z kroplami pozostałymi na liściach.

– I nic... nie da się zrobić?

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy! – warknął Kamil rozzłoszczony. – Myślisz, że ojciec nie poruszyłby nieba i ziemi, gdyby to mogło pomóc?

Gwałtowny podmuch wiatru strącił im na głowy chyba wiadro wody, ale Kamael zdawał się nawet tego nie zauważać.

– Od jak dawna wie...

– Od dawna.

– Nie powinna być w...

– Nic więcej nie można dla niej zrobić. Jeździła do szpitala co parę tygodni. Przetaczano jej krew. Dostawała tabletki, potem chemię. Ale organizm źle reaguje. Nie radzi sobie. Nie chciała spędzić reszty życia w szpitalu, a ojciec niczego nie umie jej odmówić. Jeszcze jakieś głupie pytania?

Tak, jedno. To, które dręczyło ją od chwili, kiedy usłyszała, że Elżbieta umiera. Że choruje od dawna.

– Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

Odpowiedział dopiero po długim milczeniu i była to odpowiedź okrutna, nawet jak na Kamaela.

– Nie wydawało się, że mogłoby cię to obchodzić.

Stała jak wmurowana. Chłopak ruszył dalej, zostawiając ją z tyłu. Krew uderzyła jej do głowy, policzki zaczerwieniły się z gniewu. Niemożliwe, żeby Marek i Elżbieta tak myśleli, a on też nie miał prawa mówić czegoś takiego. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, kucnęła, zgarnęła kulkę z mokrej ziemi i cisnęła nią prosto w głowę Kamila. Krzyknął z zaskoczenia, odwracając się tylko po to, by dostać kolejną porcją błota w twarz.

– Niech cię szlag, Kam! – wrzasnęła, znów rzucając i trafiając w brzuch.

– Przestań, ty wariatko! – Kamil uskoczył na bok, unikając następnego pocisku. Anna poślizgnęła się, wylądowała kolanami w płytkiej kałuży, co nie przeszkodziło jej w wykonaniu kolejnego rzutu. Błoto rozprysło się na rękawie chłopaka.

– Nienawidzę cię! Tuman! Egoista! Samolub! Skrzywiony emocjonalnie narcyz! Popapraniec! Dureń skończony!

Każdemu wyzwisku towarzyszył kolejny rzut. Po chwili ręce miała ubłocone do samych łokci, ale, ogarnięta szalem, ledwo zdawała sobie z tego sprawę. Wściekłość, nagromadzona przez całe lata, eksplodowała, szukając zemsty za wszystkie drobne złościwości, każde podłe słowo, głupoty, jakie robił, wredne postęпки, których się dopuszczał. Kamael cofał się, zaskoczony tym wybuchem, bo dawna Julia nigdy nie miała dość odwagi, aby się postawić. Była spokojną dziewczyną, ponadto na początku bała się wdawać w konflikty z prawdziwymi

dziećmi Bluszczów, a później wołała unikać złości i ostrych słów Kamila.

Schował się wreszcie między drzewami, zmuszając ją do zaprzestania ostrzału. Anna wciąż klęczała na środku kałuży, trzęsąc się ze złości, próbując opanować łzy napływające do oczu. Kamil wyjrzał niepewnie spomiędzy gałęzi i dopiero, gdy nie nadleciała następna gruda błota, znów wyszedł na ścieżkę, brudny i mokry.

– Co cię opętało? – spytał, podchodząc do niej ostrożnie. Wołał nie ryzykować, że tym razem, dla odmiany, skoczy na niego osobiście i spróbuje udusić gołymi rękami.

– Może, do licha, wreszcie wzięłam z ciebie przykład i zaczęłam się wyładowywać na innych – warknęła Anna, podnosząc się z klęczek. Wyglądała jeszcze gorzej niż wczoraj. – Przecież ty to wprost uwieeeeeebiasz!

Przedrzeźniała go, przeciągając samogłoski w podobny sposób. Kamael już miał zamiar się odgryźć, gdy kątem oka dostrzegł w kałuży ich odbicia. On, w mokrej, ubłoconej bluzie, z błotem na twarzy i we włosach oraz dziewczyna z ciemnymi plamami na spodniach, z rękami uwalanymi ziemią.

– Powinnaś zrobić sobie zdjęcie i jeśli kiedyś założysz gabinet, powiesić na ścianie – oznajmił, chichocząc. – Pacjenci poczują z tobą duchową wspólnotę.

W pierwszej chwili Anna nabrała gwałtownej ochoty, żeby wytargać Kamila za włosy. Zaraz jednak zrozumiała, że to niewykonalne, ponieważ był za wysoki – a poza tym odkryła ze zdumieniem, że jego śmiech nie jest złośliwy. Uświadomiła sobie, jak teraz wyglądali i nieoczekiwanie dla samej siebie też zaczęła się śmiać. Wychodząc z założenia, że jest już zbyt brudna, żeby odrobina więcej mogła zrobić różnicę, usiadła pod krzakami, nie przestając chichotać. Kamael podparł się o najbliższe drzewo, niezdolny do zachowania równowagi.

– To było niesamowite – oznajmił, kiedy się opanował. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się tak śmiałem. Julio, czy w Warszawie często obrzucasz ludzi błotem? To jakieś ćwiczenie zawodowe?

– Mam być psychologiem, nie psychiatrą. A obrzucanie ludzi błotem, tyle że bez prawdziwego błota, to twoja domena – odburknęła, teraz trochę zawstydzona swoim wybuchem. Co powiedzą Karinie albo Markowi, jeśli ci zobaczą ich w takim stanie? Uwierzą, że utyliłali się tak, odpalając Staruszka?

– Pozwolę sobie zauważyć, że jeśli chodzi o rzucanie prawdziwym, to nie masz sobie równych. Chyba powinniśmy iść zobaczyć, jak się ma twój samochód? Kradzież mu raczej nie grozi, nawet najbiedniejsi ludzie ze Zguby nie są aż tak zdesperowani...

– Spadaj na drzewo, Kam. Mój Staruszek jest najwspanialszym autem pod słońcem. Ma duszę!

– Nie wyciekła mu razem z olejem napędowym? – upewnił się Kamil.

– Jesteś... jesteś... – urwała, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia.

Kamael uśmiechnął się ironicznie.

– Tuman? Egoista? Czekaj, jak to szło, niestabilny emocjonalnie popapraniec?

– To też – przytaknęła, wycierając dłonie o spodnie. Towarzystwo Kamila wydawało się trochę bardziej znośne niż przed paroma minutami. Jakby przypomniawszy sobie, że w gruncie rzeczy z Kamem wiązało się równie wiele dobrych wspomnień, nie tylko tych złych. Bez oporów chwyciła jego wyciągniętą rękę i pozwoliła, żeby pomógł jej wstać.

– Mój skarbie! – Ucieszyła się na widok Staruszka i nie zważając na obecność Kamaela, podbiegła do samochodu. Nie zapadł się w błoto w całości, nigdzie nie popłynął, nie został ukradziony i świat od razu był piękniejszy. – Tęskniłeś za mną, kochany?

– Nigdy nie widziałem, żebyś tak entuzjastycznie witała jakiegoś człowieka – mruknął Kamil.

Zerknęła na niego podejrzliwie, ale nie padła żadna złośliwa uwaga. Widać, ilość błota dookoła wzbudziła w chłopaku nieodkryte do tej pory pokłady taktu.

– Kami, kogo normalnego ucieszyłoby spotkanie z tobą? Staruszek jest znacznie miłszy niż większość ludzi – powiedziała, wyciągając z kieszeni kluczyki.

– Nie bądź wredna, bo jeśli nie dasz rady ruszyć, ja siądę za kierownicą, a ty będziesz pchać – warknął. Anna wsiadła do samochodu, zatrzasnęła drzwi i pokazała Bluszczowi język. Widok miny Kamila wynagradzał nieprzyjemności ostatniej pół godziny. Uznała, że ten obraz, wraz z wyrazem twarzy Kariny przewróconej przez Saszę, dołączy do kolekcji jej najpiękniejszych wspomnień.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, przycisnęła pedał gazu. Koła zabuksowały, ale auto nie poruszyło się choćby o centymetr. Anna zaklęła. Kamil najwyraźniej uznał, że nadeszła pora zdecydowanych działań, bo wszedł w błoto, oparł dłonie na tylnej masce i pchnął. Staruszek zarzęził i przesunął się kawałek do przodu. Anna dodała gazu i krzyknęła z radości, kiedy samochód wyjechał z dołu. Zerknięcie w lusterko sprawiło, że zrewidowała swoje wcześniejsze poglądy na temat najpiękniejszych wspomnień, ponieważ gdy ruszyła, Kamael padł w błoto.

– Kam! – Wyszła z samochodu, krztusząc się ze śmiechu. – Żyjesz?

Brak odpowiedzi. Chłopak leżał bez ruchu. Anna przestała chichotać, ślizgając się na rozmięklej ziemi ruszyła ku Bluszczowi.

– Kam! – Kucnęła, zaniepokojona spróbowała przewrócić go na wznak. Ręka Kamila nieoczekiwanie wystrzeliła do przodu, chwyciła ją za łokieć i pociągnęła w błoto. Zaczęli się szarpać, potoczyli po rozmokłym gruncie. Wcześniej na ich ubraniach było kilka plam, teraz nie dałoby się znaleźć ani jednego czystego miejsca. Anna miała błoto wszędzie, we włosach, na szyi, na bluzce, za kołnierzem.

– Ty podstępny draniu! – jęknęła, nie mogąc się zdecydować, czy powinna

się śmiać, czy wściekać. – Jak my teraz mamy wsiąść do tego samochodu?

– Drzwiami, Julio, drzwiami. Wchodzenie przez bagażnik byłoby trochę niewygodne – odparł Kamael, siadając i ścierając brud z policzków. Anna uśmiechnęła się mimowolnie, przypominając sobie wreszcie, że siedział przy niej nie tylko chłopak, który miał problemy z kontrolowaniem agresji, sięgał po narkotyki i wyżywał się na innych, ale też ten, z którym lepiła bałwany i kradła jabłka z sadu sąsiadów.

Czy ty nie cierpisz przypadkiem na rozdwojenie jaźni? – zastanowiła się, gdy Kamil, ten sam Kamil, kilkanaście minut wcześniej mówiący, że choroba Elżbiety nie dotyczy Anny, ściągnął jej z włosów trochę ziemi. Jeśli on, to i ty, szepnęła jakiś cichy głosik. Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że jest w tym stwierdzeniu sporo prawdy.

*

Staruszek został kilka metrów przed bramą, a oni, zamiast wejść przez furtkę i drzwi, okrążyli Bluszczowy Dwór, przeszli przez ogrodzenie i podkradli się pod dom jak para złodziei. Gdyby gdzieś w okolicy kręcono horror, zostaliby z miejsca zatrudnieni do roli potworów z bagien, nie potrzebując nawet do tego charakteryzacji. Jednogłośnie zdecydowali, że w tym stanie lepiej nie pokazywać się małżeństwu Bluszczów, nie wspominając już o Karinie i dziewczynkach. Na szczęście okno pokoju Anny było uchylone, zdołali więc dostać się do środka bez zwracania na siebie czyjejś uwagi.

Kamael, jako nastolatek przechodził przez to okno dziesiątki razy, wracając z wypraw, na które nie otrzymał zgody rodziców lub wymykając się z domu, kiedy miał szlaban. Czasem w środku nocy budził Julię, wpadając na krzesło bądź jej łóżko, przemarznięty, otoczony zapachem dymu, papierosów i piwa, nierzadko posiniaczony, z opuchniętymi kostkami rąk, krwią na koszulce. Bywało, że sama zaprowadzała go po schodach na górę, prała pobrudzone rzeczy, opatrywała pokrwawiony nos i pokaleczone ręce. Marek w tamtym okresie spędzał większą część tygodnia, nocując w mieście, inaczej podstęp z omijaniem drzwi wejściowych szybko zostałyby wykryty. Elżbieta zaś nie widziała bądź nie chciała widzieć wybryków syna.

– Idę do łazienki na górze, ty na dole – zakomenderował Kamil, wystawiając głowę na korytarz i upewniając się, że nikogo nie ma. Anna wyciągnęła z odzyskanej wreszcie torby zapasowe ubrania, czując się tak, jakby znów była dzieckiem robiącym coś zakazanego przez opiekunów. I w tym momencie

zrozumiała, że choć wolałaby być na drugim krańcu Polski w towarzystwie przyjaciół, niechęć do pobytu w Zgubie ustąpiła. Gdyby nie powód, dla którego Elżbieta chciała mieć ją przy sobie, mogłaby spędzić tu parę całkiem przyjemnych dni.

Zmyła z siebie brud, wreszcie założyła czyste rzeczy. Gdy wróciła do pokoju, komórka brzęknęła, sygnalizując przyjście wiadomości. Trzy nieodebrane połączenia, jedno od Drozda, dwa od Kaśki i dwa smsy. *Mam cholernego kaca*, napisała Kasia w pierwszym, *a ci dranie ciągną nas już na plażę. Jest dopiero za kwadrans dziewiąta, to srodek nocy! Kiedy przyjeżdżasz?!!!*. Druga wiadomość sprzed kilkunastu minut była znacznie krótsza: *Daj znak życia, poczwaro!*

Zyję, wystukała szybko, muszę tu zostać jakiś czas. Zadzwoń później. Pozdrow reszcie, nie potopcie się po pijanemu.

Przez ułamek sekundy Annę kusiło, żeby oddzwonić od razu, opowiedzieć Kaśce o wszystkim, co się tutaj działo, usłyszeć parę słów pocieszenia, ale szybko przegoniła to pragnienie. Nie mówiła przyjaciółce wiele o swojej zastępczej rodzinie, teraz nie wiedziałaby nawet, od czego zacząć, a to nie była przecież rozmowa na telefon. Poza tym po co psuć Kasi zabawę? Zacznie się zamartwiać, pewnie nie utrzyma języka za zębami i powtórzy reszcie.

Z zamyślenia wyrwał ją warkot silnika. Ktoś właśnie podjechał pod dom. Czyżby Michał jednak znalazł czas albo nie mógł wytrzymać z dala od swojej Królowej Śniegu? Zaintrygowana wyszła na korytarz, zderzając się z Emilem, który jako pierwszy musiał usłyszeć podjeżdżające auto. Anna podtrzymała go, ratując przed upadkiem.

– Przepraszam – mruknął. Serce Anny ścisnęło się, gdy popatrzyła mu w twarz. Nie mógł zdawać sobie sprawy z tego, jak się prezentuje, a wyglądał, jakby to on był ciężko chory. Błady, z zaczerwienionymi i podkrążonymi oczyma, sprawiał wrażenie ledwo przytomnego. Nie spał pewnie przez całą noc.

– Ciocia... Coś nie tak? – spytała zaniepokojona. Emil przeczesał palcami czuprynę, jak zawsze, gdy odczuwał zakłopotanie. Odruchowo złapała go za rękaw, szarpnęła. – Emil! Coś się stało?

– Mama pewnie teraz śpi – odparł w końcu, próbując się uśmiechnąć. – Nie powinna była wczoraj schodzić, ale chciała zjeść z nami. Nie jest gorzej, niż było, po prostu jestem... niewyspany.

Oprócz tego samotny, zmęczony, zrozpaczony, dokończyła Anna, lecz nie odważyła się powiedzieć tego na głos. Ze smutkiem musiała przyznać, że już nie umie szczerze rozmawiać z Emilem. A nawet gdyby spróbowała, nie wystarczyłoby na to czasu, bo drzwi rozwarły się bez pukania i do domu wpadła młoda kobieta. Jeszcze zanim Anna zdążyła się zorientować, z kim mają do czynienia, nowo przybyła przygarnęła do siebie ją i Emila.

– Witajcie! – krzyknęła radośnie. – Jest już Kamil? A Karina i dziewczynki?

– Jowita? – spytał Emil niepewnie i dopiero w tym momencie Anna rozpoznała w ciemnowłosej pannie jedyną rodzoną córkę Bluszczów.

Wyprostowała i ufarbowała niegdyś jasne, krótkie loczki, którym zawdzięczała przezwisko Owcy. Postarzała się; pomimo makijażu i modnych ubrań wyglądała na swoje dwadzieścia sześć lat, a może nawet na trochę więcej. Na ekranie prezentowała się znacznie lepiej, jednak stylistki i retusz czyniły cuda. Najpierw Anna zauważyła to, a dopiero potem zdała sobie sprawę, że Jowita, choć zawsze była pulchna, teraz przytyła trochę za bardzo.

– Co to jest? – spytała słabo. Jowita wybuchła śmiechem, głośnym i trochę piskliwym.

– Brzuch, Julie, brzuch! Gdzie mama? Muszę się z nią przywitać. Emilu, bądź tak miły i weź moją walizkę. Kochani, oboje wyglądacie strasznie blado, niczym para wampirów po prostu, boicie się, że jeśli wyjdziecie na zewnątrz, spłoniecie na słońcu?

– Skąd to się wzięło? – powiedziała Anna i jęknęła, uświadamiając sobie, jak głupio zabrzmiało jej pytanie. Jowita spojrzała na nią z udawaną troską, położyła jej na ramieniu rękę i zaczęła poważnym głosem:

– Słoneczko, najwyższa pora, żebyś poznała prawdę. Dzieci nie przynoszą bociany ani nie znajduje się ich w kapuście... Jakby ci to wyłożyć... Kiedy pan ślimak spotyka panią ślimakową...

– Ślimaki to obojnaki – wtrącił skołowany Emil, który najwyraźniej nie rozumiał, o co im chodzi. Odruchowo przyjął od siostry walizkę, ale nie ruszył się z miejsca. W końcu wyraz jego twarzy się zmienił, gdy połączył ze sobą wypowiedzi dziewcząt. – Zaraz... Jowita, ty...?

– Ty nigdzie nie pójdziesz! – krzyknęła Anna, chwytając kobietę za łokieć, gdy ta próbowała ich minąć. – Ciocia odpoczywa. Nie pozwolę jej obudzić. I nie możesz zwyczajnie wpaść tam z tym brzuchem...

– Mam wpaść bez niego? – zdziwiła się Jowita. – Nie da rady, to nie jest zdejmowalne.

– Przestań! Wiesz, o co mi chodzi! Ciocia nie czuje się dobrze! Przynajmniej spróbuj... nie zachowywać się, jakbyś była jakimś ludzkim tajfunem.

Z salonu wyszedł Kamael, także już przebrany i umyty, spojrzał na zgromadzone przy wejściu towarzystwo, a gdy jego wzrok padł na siostrę, otworzył usta ze zdumienia. Wydawało się, że szczęka mu za chwilę wypadnie, by potoczyć się po podłodze.

– Skąd to się wzięło? – spytał niczym echo głosu Anny. Jowita westchnęła cierpiętniczo, rozłożyła szeroko ręce.

– Ty też nie wiesz? Powinniście się razem z Julią zapisać na jakieś zajęcia praktyczne. Kiedy pan ślimak spotyka panią ślimakową... a nie, fakt, ślimaki to obojnaki. A właściwie, odłóżmy te pogadanki uświadamiające na później, ja

koniecznie muszę do toalety!

Pognała do łazienki. Emil stał, bezradnie przyciskając do piersi ciężką, markową torbę. Anna walczyła z ochotą uderzenia kilka razy czołem o ścianę. Ostatni raz widziała się z Jowitą jakiś rok temu i niemal zapomniała, jak ta bardzo jest energiczna i beztroska.

– Wiedzieliście o tym? – spytała niepewnie. Kamil wzruszył ramionami.

– Skąd. Podejrzewam, że sama nie zauważyła, póki ludzie nie zaczęli pytać, który to miesiąc. I kompletnie zapomniała nas o tym poinformować.

Zrezygnowana Anna opadła na najniższy stopień schodów. Zapomnieć poinformować rodzeństwo i rodziców, że jest się w ciąży – to pasowało do Jowity. Jak to się mogło stać, zastanowiła się, że Elżbieta i Marek, najmiłsze, najnormalniejsze i najcudowniejsze małżeństwo pod słońcem, wychowało taką bandę dysfunkcyjnych popaprańców?

IV

Karina

– Nie ciągnij siostry za włosy. – Karina uniosła wzrok znad *Wichrowych Wzgórz*, spoglądając na córeczki biegające między krzewami. Wciąż było jeszcze mokro i zdążyły pobrudzić sobie buty, skarpetki, a nawet spódniczki, ale nie byłaby w stanie utrzymać ich w domu. Wychowane na strzeżonym, warszawskim osiedlu, oszalały z radości, mając dla siebie cały ogród. Wzięła więc książkę z półki w salonie, usiadła na huśtawce za domem i pilnowała, żeby bliźniaczkom nie wpadło do główek coś głupiego.

Zaczął dzwonić telefon, Karina rzuciła się ku torebce, wypuszczając z ręki książkę. To mógł być tylko mąż i rzeczywiście, na wyświetlaczu dojrzała napis: „Michał dzwoni”.

– Słucham? – powiedziała, przyciskając cudownie odnalezioną komórkę do ucha i niemal spadając z huśtawki.

– Dzień dobry. Dojechałyście szczęśliwie? – spytał Michał. Karina przekręciła się na plecy, próbując znów wygodnie usiąść. Czy dojechały? Były w Bluszczowym Dworze prawie dobie, gdyby stało się coś złego, przecież już by o tym wiedział.

– Tak, wszystko dobrze. Podpisaliście umowę? – Zerknęła ku dziewczynkom. Tarzały się po trawniku z Saszą, Karina jęknęła w duchu, mając nadzieję, że zdoła jakoś doprać sukienki.

– Udało się. Jak się czuje mama?

– Ona... – urwała. Co powinna powiedzieć? Nie martw się, kochanie, czuje się wspaniale, zajmij się sobą? Nagle Karina poczuła napływ złości. Nie miał czasu dla niej i dziewczynek, ale dla Elżbiety? – Jest źle. Prawie nie wstaje. Szybko się męczy. Lekarz nie daje jej więcej niż dwa miesiące. Przyjechali nawet Kamil i Julia. Elżbieta udaje, że wszystko jest w porządku, ale...

– Przestań – poprosił Michał, jego głos zabrzmiał jakoś słabo i bezradnie, jednak w Karinę jakby złe wstąpiło. Udała, że nie słyszy.

– ...ale cierpi. Chce spędzić ostatnie chwile z rodziną. Tata wygląda, jakby to jego niedługo mieli chować. Emil snuje się po domu i udaje zombie.

– Przestań! – krzyknął gdzieś po drugiej stronie Polski Michał. Karina

mocniej zacisnęła palce, nieomal miażdżąc telefon. Nigdy, ani razu nie podniósł na nią głosu. Paradoksalnie, ten wybuch ją ucieszył. Wreszcie zdołała wzbudzić w nim jakieś emocje.

– Ona cię potrzebuje. Jesteś jej najstarszym dzieckiem – powiedziała. Ja cię potrzebuję, dokończyła w myślach, twoje córki cię potrzebują, jesteś nasz, proszę, proszę, przyjedź tutaj.

– Muszę pracować – niezdarnie usprawiedliwił się Michał. Karina zacisnęła powieki. Kłamiesz, miała ochotę zawołać. Łgarz z ciebie. Może dnie spędzasz w pracy, ale nie noce. Draniu, jak możesz nam to robić, mnie to robić?

– Rozumiem – odparła zimno. Tata uwielbia mamę, świata poza nią nie widzi. Mężczyźni z tej rodziny kochają do szaleństwa, mówiła kiedyś Jowita ze śmiechem, a Karina sądziła, że to przesada, bo w jej związku z Michałem nie było żadnej pasji, żadnych wzlotów i upadków. – Przepraszam, muszę kończyć. Do zobaczenia.

Zakończyła połączenie, nie czekając na odpowiedź, na ślepo wrzuciła telefon do torebki.

– Jula! Asia! Do domu, umyćcie się! – krzyknęła tonem nieznoszącym sprzeciwu. Obie dziewczynki wiedziały, że gdy matka mówi w ten szczególny sposób, żadne dyskusje nie mają sensu, biegiem okrążyły budynek. Dopiero gdy znikły jej z oczu, Karina ukryła twarz w dłoniach i wybuchła rozpaczliwym płaczem.

*

Romans Kariny i Michała, o ile można było w ogóle mówić o jakimś romansie, nie przypominał tych, o jakich czyta się w cienkich książeczkach, z charakterystycznym serduszkim na okładce. Przeznaczenie nie pchało ich ku sobie, ale też los nie rzucał im kłód pod nogi, nie pojawiały się wredne rywalki, nieślubne rodzeństwo pragnące ukarać brata ani nieuważni kierowcy, którzy mogliby spowodować wypadek wywołujący amnezję. Poznali się u znajomych, zaprosił ją na kawę, a po trzech tygodniach Karina była już zakochana na śmierć i życie, niezdolna do myślenia o czymkolwiek i kimkolwiek innym oprócz studenta piątego roku zarządzania. Kiedy więc parę miesięcy później zaproponował, żeby zamieszkali razem, nie zastanawiała się nad odpowiedzią. Wygrała przecież szczęśliwy los na loterii – inteligentnego, odpowiedzialnego, przystojnego chłopaka z dobrej rodziny. W dniu ślubu czuła się jak księżniczka, jak Kopciuszek wychodzący za Księcia z bajki. Ona, córka alkoholiczki, szła do ołtarza w sukni

kosztującej więcej, niż zdołałaby zarobić przez dwa miesiące. Podróż poślubną spędziła na Krecie, a po powrocie czekało na nich mieszkanie, prezent od teściów.

Była zachłanna, musiała przyznać to przed samą sobą. Tak długo nie mając niczego, gdy nagle dostała wszystko, nie umiała zachować umiaru. Chciała Michała dla siebie na wyłączność, nie potrafiła znieść świadomości, że powinna się nim dzielić z takim ogromem ludzi. Rodzice, bracia, siostra, Julia, przyjaciele ze studiów, chrześnica, wuj, znajomi z pracy, wszyscy oczekujący, że znajdzie dla nich czas, będzie pamiętać o urodzinach, dzwonić, interesować się, spotykać. Ona miała w końcu tylko jego jednego do kochania i nienawidziła faktu, że nie dostała monopolu na mężowskie uczucia. Kasowała z automatycznej sekretarki wiadomości od kolegów, sama kupowała prezenty dla chrześnicy Michała, piękne i drogie, a potem wysyłała je pocztą, żeby nie musiał tracić czasu na wizyty, zachowywała się wobec Julii tak, że ta szybko przestała być gościem w ich domu. Elżbietę i Marka sama nauczyła się kochać, choć wciąż pozostawała zazdrosna, trochę o to, że zyskała wprawdzie prawo do nazywania tych dwojga matką i ojcem, ale nie była przecież biologiczną córką. A trochę o to, że Michałowi na nich zależało.

A potem pojawiła się Dziewczyna w Czerwonej Sukience i Michał nagle przestał dzwonić trzy razy w tygodniu do rodziców, chodzić do baru z przyjaciółmi, zapraszać wujostwo na niedzielne obiady. Nie znajdował już czasu na zabieranie córek do cukierni i nie przynosił żonie kwiatów. Bluszczowie kochają do szaleństwa, dźwięczało wciąż i wciąż w głowie, i Michał faktycznie tak kochał, szkoda tylko, że nie ją.

*

– Ciocia ma piłkę – oznajmiła poważnie Julia, gdy Karina wreszcie weszła do domu. Na wzięcie się w garść potrzebowała prawie pół godziny i dziękowała wszystkim bóstwom opiekuńczym, że nikt z rodziny nie urządził sobie w tym czasie spaceru po ogrodzie.

– Piłkę? – zdziwiła się. Co tym razem wymyśliła Julia? Próbowwała zdobyć sympatię dzieci Kariny, pozwalając im grać w piłkę w domu?

– Schowała ją pod bluzką – uzupełniła dziewczynka konspiracyjnym szeptem. – Pytałam, czy pozwoli się nam nią pobawić, ale powiedziała, że jeszcze nie. Mamo, mamo, kupisz mi piłkę?

– Ciocia Julia? – upewniła się Karina, szybko zrzucając buty. Nawet tutaj nie zrezygnowała ze swojego ukochanego, eleganckiego obuwia, kupowanego

w najlepszych warszawskich butikach. Zawsze chciała wyglądać doskonale, mieć pewność, że mąż nie będzie się jej wstydził przed bogatymi krewnymi czy zagranicznymi klientami w garniturach od Hugo Bossa. By nie odgadli, że kiedyś nosiła zupełnie inne ubrania.

– Nie, nie, ta druga... Jo... Jo coś! Zamknęli się w pokoju cioci Julii i kazali nam bawić się w salonie... mówią tak cicho, że nic nie słyhać nawet przy dziurce od klucza!

– Julio Kamilo Bluszcz, jeśli przyłapię cię na przykładaniu ucha do dziurki od klucza, wyszoruję ci je szorstką szczotką – warknęła Karina, a dziewczynka skuliła ramiona. Matka nazywała ją Julią wyłącznie wtedy, gdy naprawdę była zirytowana. – Idź do siostry, przyjdę do was, gdy przywitam Jowitę.

Nie spodziewała się, że Jowita przyjedzie, a przynajmniej nie prędzej niż pod koniec sierpnia. Panna Bluszcz ukończyła szkołę aktorską, grała najpierw w Krakowie, a potem na deskach jednego z poznańskich teatrów. Miała też za sobą dość znaczącą rolę w jednej z najpopularniejszych komedii romantycznych ostatniego sezonu i przez parę miesięcy występowała w serialu, póki nie rzuciła go, uznając, że jej bohaterka jest (jak wspomniała w wywiadzie) „nudną mimozą”. Ponoć wakacje miała spędzić w Grecji. Karinę ciekawiło, czy Jowita wiedziała, jak zły jest stan Elżbiety. Znając panią Bluszcz, mogła ukrywać stan zaawansowania choroby przed córką.

– Przepraszam – powiedziała, otwierając drzwi prowadzące do pokoju Julii.
– Podobno przyjechała... Jowita, witaj.

Jowita faktycznie siedziała w bujanym fotelu, z ogromnym, białym misiem na kolanach. Julia zajęła miejsce na parapecie, Kamil podpierał się obok o ścianę. Na łóżku usadowili się Marek i Emil.

– Cześć, Kari – ucieszyła się Jowita. – Fajnie, że przyszłaś. Właśnie odprawiają nade mną sąd polowy, zechcesz pełnić rolę mojego obrońcy, zanim zapadnie decyzja rozstrzelania? Kam jest oczywiście oskarżycielem, tata sędzią, Emilowi i Julce przypisałabym funkcje ławy przysięgłych, gdyby nie to, że w naszym kraju...

– Jo – westchnęła Julia błagalnie. – Proszę cię. Siedzimy tu pół godziny, zdążyłaś streścić nam fabułę nowego hitu Disneya, opisać, co robiłaś na planie filmowym, podzielić się świetnym przepisem na gęś, opowiedzieć historię rozwodu swojej koleżanki, a nie odpowiedziałaś na ani jedno pytanie...

– Jestem dorosła – burknęła Jowita naburmuszona, przesuwając ogromną zabawkę trochę na bok. – Mogę sobie zmajstrować dziecko, jeśli chcę. Mogę sobie zmajstrować tuzin dzieci! Nie możecie mieć do mnie pretensji!

W tym momencie skołowana Karina dojrzała wreszcie, że to, co jej córeczka wzięła za piłkę schowaną pod bluzką, jest całkiem okazałym, ciężowym brzuchem.

– Kochanie, nikt nie ma do ciebie pretensji – zapewnił Marek łagodnie. Wyglądał na straszliwie zmęczonego, jakby nie spał przynajmniej od tygodnia. – Wręcz przeciwnie, cieszę się i jestem pewny, że twoja matka także będzie szczęśliwa. Mimo to mogłabyś nam powiedzieć, który to miesiąc, kto jest ojcem i czy wszystko przebiega prawidłowo.

Jowita schowała buzię w szyi pluszowego misia. Kamil westchnął głośno, kręcąc głową.

– Nie, nie wierzę. Tato, przecież ona po prostu nie wie!

– Nie denerwuj mnie! – wrzasnęła Jowita, podskakując i wprawiając tym samym fotel w ruch. Podskoczyła tak gwałtownie, że gdyby Julia nie poderwała się z parapetu, by złapać oparcie, prawdopodobnie fotel poleciałby do tyłu razem z Jowitą. Ta jednak nie zwróciła na to uwagi. – Kobiet w ciąży nie wolno denerwować!

– Zaraz... – mruknęła Julia niepewnie. – Jo, której z tych rzeczy nie wiesz: kto jest ojcem, który to miesiąc czy z dzieckiem nic się nie dzieje?

Odpowiedź nie nadchodziła. Julia z jękiem osunęła się na podłogę, Kamael dwa razy uderzył głową o ścianę. Karina przycupnęła na krześle przy biurku, niepewna, czy nie powinna wyjść. Nie rozumiała zachowania tej dwójki, o co im chodziło? Z każdą kolejną sekundą coraz bardziej czuła się intruzem w tym rodzinnym zgromadzeniu.

– Nie byłaś u lekarza? – spytał Marek słabo. Ach tak, zrozumiała Karina. Nie wie niczego.

– Nie miałam czasu – powiedziała kobieta, wyłamując sobie palce. – No bo sam wiesz, tatku, dopiero w lutym skończyliśmy zdjęcia do filmu. Na szczęście nie było jeszcze nic widać. Wchodzi na ekrany za miesiąc. W ogóle mówię wam, to będzie absolutny hit i wreszcie dostałam główną rolę, no, jedną z głównych ról, bo są trzy bohaterki, ale moja najciekawsza, kogo w końcu interesuje następna nudziara zdradzana przez męża, niepotrafiąca od niego odejść...

Gdy padło ostatnie zdanie, Karina zapragnęła zapaść się pod ziemię. Zdradziecka czerwień pojawiła się na jej policzkach. Po raz pierwszy ucieszyło ją, że dla tych ludzi pozostaje niewidzialna, że widzą tylko siebie nawzajem, póki ona nie zmusi ich, by dostrzegli i jej istnienie. Teraz byli zbyt skupieni na słowach Jowity, jak zwykle mówiącej bardzo szybko, niemal jednym tchem, by ktoś zauważył rumieńce.

– A potem? – Emil przerwał ten monolog, godny Hamleta, po raz pierwszy zabierając głos. Karina mimowolnie zarejestrowała, że gdy Jowita mówiła, wszyscy trzej męscy przedstawiciele rodu Bluszczów zaczęli dręczyć własne fryzury. Marek raz za razem przeczesywał czuprynę, Emil miętosił w dłoni garść jasnych loków, a Kamil chyba nagle uznał, że lepiej będzie wyglądał łysy i próbował powyrywać sobie włosy. Ręka Michała, w chwilach napięcia bądź

zakłopotania, też wędrowała ku głowie.

– No... dwa razy nawet się umówiłam na wizytę, ale raz zapomniałam pójść, a drugi raz to poprosiłam tylko, żeby mi wypisał zaświadczenie, bo ja wtedy się spieszyłam do fryzjerki...

– Zadzwoń do znajomego lekarza – westchnął Marek. – Zawiozę cię do miasta jeszcze w tym tygodniu. Proszę cię tylko, żebyś nie przyznawała się matce, że nie zrobiłaś żadnych badań. Nie chcę jej martwić.

– Jak się miewa mama? – spytała Jowita. Gdy zdawało się, że nikt już nie udzieli odpowiedzi, zrobił to Kamil, jak zwykle nie przebierając w słowach.

– Źle – burknął. – I nie potrzebuje wiedzieć, że ma za córkę nieodpowiedzialną idiotkę.

– Kam! – skarcił go Marek. Chłopak spojrzał na ojca buntowniczo.

– Mylę się, tato? Współczuję temu dziecku! Przecież ona zgubi je najwyżej po tygodniu!

– Zaraz, jak to źle? W lutym wyglądała dobrze – zaniepokoiła się Jowita, nie reagując na zaczepki brata.

– Jej stan gwałtownie pogorszył się w zeszłym miesiącu – powiedział Marek bardzo cicho. Karina utkwiała wzrok w podłodze. – Elżbieta powinna teraz być w szpitalu, jakimś niepojętym sposobem zdołała jednak doprowadzić do tego, że zabrano ją do domu. Skoro nic nie można zrobić, nie chce spędzić reszty życia w szpitalu, woli stracić parę dni niż leżeć tam tygodniami, uparła się i postawiła na swoim.

– Mogę wreszcie do niej iść? Jeśli koniecznie chcecie, założę prześcieradło!

– Pójdiesz ze mną – zdecydował Marek, podnosząc się. Jowita odłożyła misia na podłogę, wzięła ojca pod rękę.

– Muszę iść do dziewczynek – mruknęła Karina, również wstając. W pokoju zostali dwaj bracia i Julia, a przy tej trójce dla niej już nie było miejsca.

*

Dziewczyna w Czerwonej Sukience miała czarne, kręcone włosy, ciemne oczy i śniadą cerę, świadczące o tym, że gdzieś do jej drzewa genealogicznego zaplątało się paru Cyganów. Karina zobaczyła ją po raz pierwszy podczas przyjęcia noworocznego i od razu odgadła, z kim ma do czynienia. Już wcześniej wiedziała, że traci Michała, traci go z każdym dniem na rzecz tej Cecylii, której imieniem czasem ją nazywał, której perfumami pachniał. Traciła go po kawałeczku, powoli, ale nieubłaganie. Wyobrażała sobie tę drugą jako *femme fatale*, drapieżną,

uwodzicielską, noszącą skąpe stroje i buty na wysokich obcasach. To przygoda, łudziła się do sylwestra, kryzys wieku średniego, szukanie odmiany. Znudzi się, wróci do mnie i do dziewczynek. Nie odejdzie przecież. Ona leci na pieniądze i stanowisko, wmawiała sobie.

I wtedy spotkała Cecylię. Cecylię o egzotycznej, ale wcale nie tak uderzającej urodzie, ubraną w czerwoną, prostą sukienkę, niemal bez dekoltu, z niezbyt głębokim wycięciem z lewej strony. Nie było w niej nic drapieżnego ani ordynarnego. Uśmiechała się do każdego, z każdym zamieniła kilka słów, opowiadała żarty, niemal nie schodziła z parkietu, choć kompletnie nie miała wycucia rytmu. Była młodsza, zabawniejsza, bardziej energiczna, bardziej radosna i bardziej wyluzowana od Kariny. A Michał z trudem odrywał od niej wzrok.

Nie odejdzie, powtarzała sobie Karina. Nie odejdzie, nie zostawi żony i córek, nie zniszczy sobie opinii, ale nie zostawi też tej drugiej, nigdy z niej nie zrezygnuje. Kocha ją.

Jedna rzecz dziwiła Karinę. Nienawidziła w życiu tak wielu rzeczy, najpierw ojca, który je zostawił, koleżanek wyśmiewających zniszczone ubrania, nauczyciela od matematyki, przychodzących i odchodzących wujków, brudu w mieszkaniu, butelek po wódce. Później zapachu frytek w barach, w których pracowała, podrywających ją klientów, wiecznego hałasu w akademiku, gdzie nie mogła nigdy dobrze się wyspać. Wreszcie Julii, uniesionych brwi Michała, tego, że nie ma go na własność. Ale nie umiała znienawidzić Dziewczyny w Czerwonej Sukience. Czasem, leżąc samotnie w łóżku, zastanawiała się, czy kiedy Michał wstaje i wraca do niej, do bliźniaczek, tamta, Cecylia, czuje dokładnie to samo. I czy wie, że to ona jest najważniejszą osobą w życiu Michała, ważniejszą od żony, od córek, od rodzeństwa, od rodziców.

Karina udawała, że o niczym nie wie. Przygotowywała mężowi śniadania, prała, prasowała, całowała na pożegnanie i nigdy nie pytała, dlaczego tak mało czasu spędza w domu. Bała się, wiedziała, że jeśli da po sobie coś poznać, jeśli postawi mu ultimatum, wybierze tę drugą. A gdy Michał odejdzie, jej nic nie zostanie, bo oprócz córek miała tylko jego i nic więcej, żadnej rodziny, żadnych przyjaciół, pracy, mieszkania, zainteresowań, nawet porządnych kwalifikacji.

*

– Michał dzwonił?

Tego dnia Elżbieta nie wstała z łóżka, leżała podparta o poduszki,

z porzuconą książką na kołdrze. Co jakiś czas do pokoju wpadali kolejni członkowie rodziny, pod pretekstem dotrzymania jej towarzystwa. W rzeczywistości, po nocy, gdy czuła się źle i gorączkowała, a Marek nie zmrużył oka, bali się zostawić ją samą. Karina w drzwiach wyminęła się z Julią, wyglądającą jak chmura gradowa.

– Tak, mamo, pytał o ciebie. Żałuje, że nie może przyjechać, będzie tu, jak tylko zdoła się wyrwać – odpowiedziała, kłamiąc jak z nut. Elżbieta opuściła powieki i Karina poczuła, że zlewa ją zimny pot. Pochyliła się nad teściową, zastanawiając się, czy krew w żyłach naprawdę może zamienić się w lód, czy tylko się jej tak zdaje. Na szczęście pierś Elżbiety unosiła się w oddechu. Zmęczona rozmową po prostu zasnęła.

Karina odetchnęła z ulgą, ostrożnie zabrała z kołdry cienką książeczkę. Choć Bluszczowie zwykle dbali o swoje książki, ta nosiła wyraźne ślady zużycia, czytana zbyt wiele razy, by mogła pozostać w idealnym stanie. Przerzuciła kilka kartek, odkrywając, że ma do czynienia z wierszami. No tak, Elżbieta uwielbiała poezję, sama kupiła jej na Boże Narodzenie piękne wydanie dzieł zebranych Norwida. Zakładka, wykonana na Dzień Babci przez jedną z bliźniaczek, spoczywała mniej więcej w połowie książki.

– „Miłość nie szuka nigdy siebie ani o siebie ma staranie” – przeczytała cicho Karina. – „Miłowanemu tworzy niebo i tam, gdzie piekiel są otchłanie. Tę pieśń śpiewała gruda gliny deptana bydła racicami, lecz ze strumienia kamyk mały tymi zaćwierkał jej słowami. Jedynie siebie miłość szuka, dla swego szczęścia i rozkoszy miłowanego spętać pragnie...”[2]

Urwała, nie odczytując ostatniego wersu. Elżbieta jednak uniosła powieki i dokończyła z pamięci:

– Wbrew niebu – mury piekieł wznosi. Zgadzasz się z grudą czy kamykiem?

Z kamieniem, oczywiście, chętnie odparłaby Karina. Drżącymi palcami przerzucała kolejne kartki, udając, że przegląda wiersze, by nie musieć patrzeć na teściową, unikając odpowiedzi na pytanie.

– Nie przeszkadzam?

Nadejście Marka oszczędziło jej kolejnego kłamstwa. Wszedł do środka, trzymając tacę, na której stał talerz z zupą, wysoka szklanka pełna soku pomarańczowego i kolekcja lekarstw. Karina wstała, robiąc mu miejsce.

– Skąd, tato. Pójdę zobaczyć, czy dziewczynki nie planują właśnie wysadzenia wam domu. Smacznego, mamus.

Pochyliła się, ucałowała czoło Elżbiety. Lubiała zwracać się do niej *mamo*, nazywać Marka *tatą*. Byli jedyną rodziną, jaką znała i umierała ze strachu na myśl o tym, co będzie, gdy ta rodzina wkrótce się rozpadnie.

Patrzyła, jak Marek siada, sięga po łyżkę i zaczyna karmić żonę. Michał nigdy nie spoglądał na Karinę z taką czułością i troską. Miłość nie szuka nigdy

siebie ani o siebie ma staranie, dźwięczało jej w głowie, gdy wychodziła, zostawiając ich samych. Miłowanemu tworzy niebo i tam, gdzie piekiel są otchłanie. Elżbieta na pewno wierzyła grudzie i w jej przypadku nie była to wiara pozbawiona podstaw.

Nie znalazła bliźniaczek w salonie, kuchni ani w pokoju gościnnym. Zapukała do drzwi Julii, nikt jednak nie odpowiedział. Czując narastający niepokój, wbiegła na górę zajrzeć do siebie, ale i tam nie było dziewczynek. Już miała ruszać na dalsze poszukiwania, gdy dojrzała córki przez okno. Co zdumiewające, nie same. Karina zamrugła, niepewna, czy wyobraźnia nie płata jej figła lub może oczy nie pracują tak, jak powinny. Kamil? Wiecznie pochmurny, ironiczny Kamil biegał po trawniku, ganiając Julę? Kamil, nieznoszący wszystkich istot ludzkich, z wyjątkiem najbliższej rodziny, chwycił Asię pod pachy i podrzucił? Kamil, jeżdżący na motorze i nigdy nieumawiający się z jedną kobietą dłużej niż przez miesiąc, pozwolił powalić się na ziemię? Zszokowana Karina patrzyła, jak szwagier tarza się po trawie w przedziwnej płataninie nóg, rąk i sierści, bo do tej zabawy chętnie dołączyła też rozentuzjasmowana Sasza.

Nigdy wcześniej nie widziała, żeby bawił się z dziećmi. Właściwie rzadko widywała choćby jego uśmiech. Z drugiej strony, w przeciągu ostatnich czterech lat spotkała Kamila nie więcej niż sześć, siedem razy, zwykle przed świętami bądź w okolicach urodzin dziewczynek, gdy jako chrzestny wpadał jak po ogień, żeby uściskać rękę brata i zostawić prezent. Podczas tych krótkich spotkań wydawał się znacznie bardziej ponury i nieprzyjemny, niż Karina pamiętała z czasów narzeczeństwa czy pierwszego roku małżeństwa.

– Co za rodzina – wyszeptwała z niedowierzaniem, uśmiechając się mimowolnie, bo przecież w pewnym sensie też była jej częścią, nawet jeśli nie w takim stopniu jak ta dziwaczna zbieranina, która razem dorastała.

[2] W. Blake, *Gruda i kamyk*, w: *Poezje wybrane*, przeł. i oprac. Z. Kubiak.

V

Anna

– Motylku, skarbie ty mój, powiedz proszę, że się przesłyszałam. Wcale nie stwierdziłaś, że nie przyjeżdżasz w sobotę, prawda?

Annę po raz pierwszy cieszyło, że od Kaśki dzieli ją setki kilometrów. Z łatwością mogła wyobrazić sobie minę przyjaciółki. Kiedy Kasia mówiła tym tonem, oczekiwało się, że zaraz gdzieś za jej pleców wyskoczą czarne aniołki rozsiewające wokół mroczną aurę, niczym w *anime*.

– Nie przyjeżdżam w sobotę – powtórzyła. – Kaś, nie wrzeszcz tylko. Muszę zostać dłużej, niż myślałam, to naprawdę nie moja wina, okej? Sprawy trochę się... pokomplikowały.

– Pokomplikowały! – zawyła Kaśka. – Słuchaj, Wiolka to szalenie miła dziewczyna, ale bez charakteru. Pokłócić się z nią porządnie nie można, bo zaraz płaczem wybuchnie, gadałaby wyłącznie o *Prosto w serce* albo *Brzyduli*, czy coś tam! Zlituj się nade mną, nieszczęsną, i przyjeźdź tu wreszcie.

Anna z westchnieniem opadła na fotel, przygarnęła białego misia. Gdy zdała sobie sprawę z tego, co robi, zrzuciła zabawkę na podłogę. Powoli zaczynała wracać do starych nawyków i było to coraz bardziej irytujące. Kiedyś przytulała tego misia ilekroć czuła się źle.

– Lubiłaś *Brzydulę* – przypomniała. – Spróbuj nie doprowadzać Wioli do płaczu, obiecuję, że jak się spotkamy, urządzę ci porządną awanturę z wrzaskami, wymyślnymi wyzwiskami, rzucaniem przedmiotami i rękoczynami.

– I łamaniem mebli? – podchwyciła Kasia.

– Nie przesadzajmy, co? Chyba że zarobisz dość na nowe. Wtedy możemy łamać.

– Bez łamania mebli to żadna zabawa! – zamarudziła Kaśka. Westchnęła cierpiętniczo, a gdy znów się odezwała, brzmiała już znacznie poważniej. – Co się dzieje, Motylu? Jeździsz do domu może raz, dwa do roku. Nawet w święta szłaś tylko na kolację do tego twojego brata, co ponoć do niego się wszyscy zjeżdżali. Skąd nagle ten przyływ uczuć rodzinnych? Wszystko dobrze?

Moja zastępcza matka umiera. Ojciec przypomina trupa chodzącego tylko dzięki sile woli. Przybrana siostra jest w ciąży, na oko co najmniej siódmym

miesiącu, nie wie, czyje to dziecko ani nie zrobiła żadnych badań. Nie umiem dogadać się z braćmi. Chciałabym znaleźć się na drugim krańcu świata. Tak, poza tym wszystko cudownie, a jak u ciebie? – aż ją korciło.

– Radzę sobie – mruknęła w rozpaczliwej próbie nieokłamywania najlepszej przyjaciółki. – Przepraszam, Kaś. Przydałaby mi się umiejętność bilokacji.

– W porządku, w porządku, tym razem jeszcze ci wybaczę – powiedziała Kasia łaskawie. – Jakby co, pamiętaj, że możesz na mnie liczyć, jasne? Dobra, kochana, spadam, wołają mnie. Na razie.

Anna rzuciła komórkę na łóżko, oparła nogę o podłogę, wprawiając fotel w ruch. Poprawa nastroju pod wpływem rozmowy z koleżanką okazała się chwilowa. Co właściwie teraz miała ze sobą zrobić? Przy Elżbiecie dyżurowała Karina. Jowita i Emil poszli razem do sklepu po lody. W Zgubie brakowało rozrywek, mogła właściwie jedynie zaszyć się w kącie z laptopem albo jakąś książką. Ze złością kopnęła pluszaka, wstała i podeszła do okna, żeby je uchylić. Z zewnątrz dobiegło szczekanie, piski i krzyki. Mordują kogoś? – zastanowiła się Anna, przechylając przez parapet. Rzeczywiście, mordowali. Konkretnie Kamila, i to z wielkim poświęceniem. Któraś z bliźniaczek podskakiwała mu na brzuchu, druga ciągnęła za włosy, a rozradowana Sasza raz po raz przegalopowała mu po nogach. Nagłe uczucie *déjà vu* było tak silne, że Anna omal nie wypadła przez okno z wrażenia. Wczesna jesień, gdy większość kwiatów już uschła, ale wciąż kwitły jeszcze jesienne róże, a liście, choć poczerwieniałe, pozostały na drzewach. Marek tarzał się po trawie, przygnieciony przez Emila, Kamael targał go za włosy, wokół skakały dwa szczeniaki. Anna zgubiła czapkę, a gdy została pociągnięta przez chłopców na ziemię, któryś z psów porwał jej szalik, zaczął biegać ze zdobyczą w zębach. Michał, uzbrojony w powagę swych czternastu lat, nie kotłował się z rodzeństwem i ojcem na trawie, zamiast tego ganiał dookoła z obłąkańczym błyskiem w oku i z nowym aparatem w rękach. W pewnym momencie Elżbieta stanęła w oknie pokoju przybranej córki, wołając ich na obiad. Marek poderwał się, po chwili wyciągnął żonę ponad parapetem. Chwilę później padła na ziemię pod ciężarem gromady dzieci.

Anna poczuła, że ma mokre oczy, ale nim zdążyła się wycofać, aby wreszcie porządnie wypłakać się w zaciszu własnego pokoju, za łokcie chwyciły ją czyjeś ręce i pociągnęły do przodu. Krzyknęła, pewna, że polecą na głowę, jednak ramię Kamaela owinęło się wokół jej talii, została wyciągnięta na zewnątrz przez okno. Widocznie musiał przypomnieć sobie dokładnie ten sam moment, co ona.

– Chcesz mnie zabić?! – krzyknęła, gdy została bezpieczna postawiona koło rabatki kwiatków zasadzonych przy ścianie. Z czasów dzieciństwa pamiętała, że kwiaty rosnące w tym miejscu były wiecznie zdeптane.

– Kuszące, ale mama by się na mnie pogniewała. Dziewczynki, może oszczędzicie mi matczynego gniewu i same zajmiecie się ciocią?

Dziewczynki, wspomagane przez Saszę, entuzjastycznie zabrały się do „zajmowania ciocią”. Anna z trudem powstrzymała przekleństwa i groźby karalne wobec Kamaela, które cisnęły się jej na usta. Pewnych słów nie należało używać w obecności dzieci. Zamiast tego uciekła się do diabelskiej sztuczki: skierowała palce ku żebrom bliźniaczek i zaczęła je bezlitośnie łaskotać. Jedna z nich wydała z siebie tak głośny pisk, że Anna niemal straciła słuch w prawym uchu. Przestraszony pies uskoczył, a kobieta, korzystając z okazji, przekręciła się, dla odmiany przygniatając do ziemi dziewczynki, nie przestając ich łaskotać. Chichotały i piszczały, próbując się uwolnić.

– Wuuuuju! – zawyła Julia. Lub Asia. – Raaaatuj!

Kamael, widząc, odkrył w sobie pokłady rycerskości, do tej pory nigdy niewykorzystywane, i rzeczywiście ruszył na ratunek bratanicom. Pomimo protestów i głośnego oburzenia, Anna została uniesiona i bezczelnie przerzucona przez ramię. Świadoma, że okładaniem pięściami po plecach niewiele zyska, wbiła mu kolano w brzuch. Kamil jęknął, zachwiał się, a ona, korzystając z okazji, zaczęła się wyrywać. Padli na trawę. Bliźniaczki tymczasem poczuły napływ kobiecej solidarności i postanowiły zmienić front. Dzielnie rzuciły się na pomoc ciotce, sprytnie wykorzystując jej wcześniejszy pomysł z łaskotkami. Wszyscy zaczęli tarzać się po trawie w plątaniu nóg i rąk, wydając z siebie piski, śmiechy i bojowe okrzyki. Kamael mógł udawać twardziela, niemniej łaskotki były jego wielką (i głęboko skrywaną) słabością, z której sprawę zdawała sobie tylko najbliższa rodzina. W przeszłości wykorzystywali to zresztą bezlitośnie, dopóki nie skończył trzynastu lat i nie zaczął coraz bardziej przypominać (przynajmniej zdaniem Anny) kompletnego psychopatę.

– Mordują kogoś?

Znieruchomieli. Kamil, leżący bezpośrednio brzuchem na ziemi, Asia, siedząca mu na plecach i dwie Julie, starsza – próbująca utrzymać jego rękę, młodsza – z przewieszoną jedną nogą przez jej talię i rękoma trzymająca szyję wuja. Musieli razem tworzyć groteskowy obrazek, ale Emil, który stanął nad nimi, oczywiście słyszał jedynie ich krzyki.

– Nic, nic, Julka gwałci Kama, nie przejmuj się – rzuciła wesoło Jowita, jedząca lody prosto z dużego kubelka. Oblizwała wargi z roztopionego mleka i uniosła siatkę pełną rożków. – Dla was też kupiliśmy, chcecie?

– Co Julka robi? – spytał Emil zdezorientowany. Stał obok siostry, trzymając torbę pełną zakupów.

– Julka nic nie robi! – warknęła Anna, spelzając na trawę, z Julą, która uwiesiła się jej pleców. Asia poderwała się i skoczyła ku ciotce, aby odebrać swoją porcję lodów. – Cięża rzuciła ci się na mózg, Jo?

– Ja tutaj przynoszę bogate dary, a ty mnie obrażasz – naburmuszyła się Jowita. Tymczasem Julia zdążyła wreszcie uwolnić Annę i również zabrała się do

przeoglądania zawartości siatki. W końcu wybrała sobie czekoladowego rożka. Sasza usiadła obok, unosząc łapę i patrząc na nich z nadzieją.

– Dla ciebie też mam, mało przebrzydła. Asia, odwiń jej z papierka – burknęła Jowita, podając bratanicy kolejne lody. Ledwo dziewczynka wypełniła polecenie, pies triumfalnie porwał smakołyk i uniósł go pod huśtawkę, jakby w obawie, że ktoś zmieni zdanie.

Tak normalnie, pomyślała Anna, otrzepując szorty z trawy. Taki zwykły obrazek. Jakby między nimi nie było żadnego żalu i niechęci. Jakby na pierwszym piętrze w łóżku nie leżała chora Elżbieta. Na tę ostatnią myśl serce Anny ścisnęło się, poczuła nagły napływ wyrzutów sumienia. Wyszła z pokoju przybranej matki, bladej i zmęczonej, zaledwie godzinę temu. Beztroskie tarzanie po trawie, śmiech i niepamięć o ciężkim stanie Elżbiety wydały się jej niemalże zdradą.

Ciepła łapka, lepka od roztopionej czekolady, wsunęła się w dłoń Anny. Ze zdumieniem napotkała spojrzenie niebieskich oczu jednej z bliźniaczek. Chyba swojej imienniczki, bo drugą z dziewczynek przed chwilą Jowita nazwała Asią.

– Jesteś smutna, ciociu? – spytała Julia konspiracyjnym szeptem. Anna, nieoczekiwanie dla samej siebie, pociągnęła ją na swoje kolana, ukryła twarz w jasnych, prawie białych włosach, które miała odziedziczyła po Karinie. Nie umiałaby powiedzieć, co nią kierowało, przecież nigdy nie przepadała za dziećmi, ale obecność bliźniaczek wydała się jej dziwnie pocieszająca.

– Trochę – szepnęła dziewczynce do ucha.

– Przytul misia – poradziła Julia poważnie. – Jak nie masz, pożyczę ci swojego.

– Mam, ale wolę przytulić ciebie – parsknęła Anna, otaczając talię dziewczynki ramieniem. W przeciwieństwie do rodziców Julia była pulchna, ale istniała szansa, że dziecięcy tłuszcz ustąpi za parę lat. W każdym razie z rysami i oczyma swojej matki nie powinna mieć kompleksów, nawet jeśli będzie mieć parę nadprogramowych kilogramów.

– O czym tak szepczecie?

Głos Kama znów był prawie nieprzyjemny, chłopak na powrót przybrał swój zwykły, drwiący wyraz twarzy. Stał kilka kroków dalej i trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który jeszcze chwilę temu bawił się z bratanicami. Rozdwojenie jaźni, zaśpiewało coś w głowie Anny. Albo schizofrenia. Może nawet paranoidalna. Zresztą, wybierz, co chcesz, u niego można by zdiagnozować pewnie przynajmniej z pół tuzina chorób psychicznych. Możesz nawet napisać pracę magisterską na jego temat. Piątka murowana, tyle że pod koniec badań sama będziesz musiała pójść do zakładu dla psychicznie chorych i poprosić o zawinięcie w kaftan...

– Babskie sprawy – oznajmiła, wstając. – Dobra, lody lodami, ale wypadałoby wreszcie zająć się obiadem, nie uważacie?

Jula przylgnęła do jej nogi, znacznie śmielsza niż poprzedniego dnia. Anna w roztargnieniu zmierzwiła jasne włosy małej. Gdy przypatrywała się obu bliźniaczkom, zaczęła dostrzegać między nimi drobne różnice. Asia była trochę szczuplejsza. Włosy Juli ścięto odrobinę krócej. Jula miała całe kolana podrapane i pokryte siniakami, jakby często biegała zbyt szybko, narażając się na upadki.

– Świetny pomysł. Umieram z głodu. Macie ogórki? – spytała Jowita wesoło i pociągnęła Emila za rękaw ku domowi. Jula, potwierdzając domysły Anny, rzuciła się za nimi biegiem, Sasza, która zdążyła pożreć swoją porcję lodów, uznając to za zaproszenie do zabawy, pognała ku niej z głośnym szczekaniem.

– Nie tęsknisz za tym? – zapytał nieoczekiwanie Kamael, gdy wlekli się we dwoje za resztą towarzystwa. Oboje szli wolnym krokiem, zgarbieni, z rękoma w kieszeniach. Anna przygryzła wargę, spuściła głowę, wbijając wzrok we własne bose stopy. Nie musiała zastanawiać się, co miał na myśli. Dzieciństwo. Czasy, gdy Elżbieta była zdrowa, a to oni ganiłi po trawniku ze szczeniakami.

– Nie – odparła, sama niepewna, czy mówi prawdę.

*

Odrobinę skośne, ciemne oczy, lekko zadarty nos, długa grzywka przysłaniająca brwi, dwa długie, śmieszne kucyki jak u małej dziewczynki. Linie na kartce pomалу tworzyły twarz Kaśki, niezbyt ładną, ale na pewno niepospolitą, o ustach, podbródku i spojrzeniu zdradzającymi zdecydowanie oraz pewność siebie. Kasia należała do tych ludzi, u których aparycja schodziła na dalszy plan, zepchnięta tam przez charyzmę i energiczność. Zabawne fryzury, szalone połączenia kolorystyczne ubrań, zwariowane dodatki i odważny makijaż nadawały jej interesujący wygląd i człowiekowi nie przyszłoby do głowy zastanawiać się nad tym, czy jest piękna. Anna dopiero po miesiącu znajomości, gdy szykowały się do wyjścia w miasto, ze zdumieniem odkryła, że Kasina uroda pozostawia wiele do życzenia. Sama prezentowała się znacznie lepiej od przyjaciółki, a mimo to przez większość zabawy Kasia miała większe powodzenie. Nawet Wiola, ślicznotka o kasztanowych lokach i ogromnych, orzechowych oczach, w jej towarzystwie równie dobrze mogłaby nie istnieć.

Anna sięgnęła po kolejną kartkę, niemal nieświadomie zaczęła szkicować podłużną twarz Drozda. Wąskie usta, kwadratowy podbródek, włosy nierówno ścięte (znając go, zapewne za pomocą tępych nożyczek), odstające uszy i oczy o długich rzęsach, o których Kasia mawiała z zazdrością, że marnują się u mężczyzny.

Przerwała rysowanie, odsunęła szkicownik ze złością. Kiedyś uwielbiała malować, miała zamiar nawet zdawać na ASP w Krakowie, ale Kraków był zbyt blisko, a taki kierunek nierozsądny. Wszyscy Bluszczowie zachęcali ją właśnie do tego wyboru, lecz w duszy dziewiętnastoletniej Julii, wcześniej zawsze gotowej zrobić dokładnie to, czego oczekiwali (lub uważała, że oczekiwali) przybrani krewni, po raz pierwszy narastał bunt. Uciekła do Warszawy, na psychologię. Chciała być niezależna. Zaczęła zarabiać na utrzymanie, wakacje spędzać w pracy za granicą, szlifując przy tym język, chwytając się praktyk i starać o stypendia naukowe. Znalazła przyjaciół. I gdy musiała zajmować się nauką, pracować, spotykać ze znajomymi, sama sobie gotować, robić zakupy, dbać o sto innych drobiazgów, nie miała już czasu na malowanie. Skąd się jej nagle wzięła chęć do rysowania?

Po prostu za nimi tęsknisz, głupia, mruknęło coś, gdy patrzyła na szkice. Nie masz co robić. Nudzisz się, a oni na pewno świetnie się bawią. Tu jest za cicho, za porządnie, pomimo obecności dzieci. Julia była milczącą, spokojną dziewczyną, ale w ostatnich latach Anna przywykła do czegoś innego. Do szaleństw. „Dlatego zdobyłaś się na obrzucenie Kama błotem. Swoją drogą, szacunek, siostrzo, to było świetne. Niemniej siedzisz tutaj i możesz tylko zastanawiać się nad tym, co ci obłąkańcy wyprawiają w Kołobrzegu... W każdym razie na pewno się nie nudzą jak ty”.

Tego mogła być pewna. Ich gromadka nie była stworzona do nudy. Niejednokrotnie zachowywali się w sposób, który przechodniom pozwalał mniemać, że uciekli z wariatkowa.

– Gorąco mi – oświadczyła na przykład Kaśka przed tygodniem, gdy Warszawę nawiedziła fala upałów. Szczęśliwie sesja dobiegła końca, zebrały ostatnie wpisy do indeksów i nie musiały już tkwić w dusznym mieszkaniu nad stosami notatek, marząc o schowaniu się w zamrażarce. – Chodźmy na lody.

Lody nie pomogły, a stanie w supermarkecie między lodówkami w dziale z produktami mlecznymi znudziło im się po godzinie. Wreszcie, zdesperowane, wskoczyły do fontanny, za nic mając tabliczkę informującą o zakazie kąpieli. Siedziały później na ławce boso, z wilgotnymi włosami, w przemoczonych sukienkach, chichocząc, ilekroć złowiły czyjeś zaskoczone spojrzenie.

Julia by się na to nie odważyła, a nawet gdyby, później umarłaby chyba ze wstydu.

Sięgnęła po telefon, słysząc dźwięk przychodzącej wiadomości. Tym razem dostała MMS od Wioli, przedstawiający Tomka zakopanego w piachu po szyję, z ręcznikiem naciągniętym na głowę. *Wiesz, że zapomnieliśmy o nim i poszliśmy na godzinę do wody? Przymyjędź, bo Kasia nie ma z kim się kłócić i mnie wykańcza!* – głosił podpis pod zdjęciem. Jakby w potwierdzeniu, że rzeczywiście świetnie się bawią. Bez niej.

Jak tylko będę mogła, wystukała w odpowiedzi. Jeśli będzie bardzo jęczowata, utop ją i upozoruj wypadek, co za problem?

Szkoda, że kałuże wokół Bluszczowego Dworu zdążyły wyschnąć. W razie czego mogłaby skorzystać z własnej rady i utopić Kama. Albo Jowitę. Albo Karinę. Albo siebie. Zawsze oczywiście pozostawała wanna lub, w chwili najwyższej desperacji, szklanka zimnej wody.

*

Obiad przygotowała jedyna osoba w domu, która się do tego naprawdę nadawała, czyli Karina. Nikt o zdrowych zmysłach nie wpuściłby do kuchni Kamila, Marek nie miał głowy do myślenia o takich rzeczach jak sen czy posiłki, jedząc tylko, kiedy ktoś postawił przed nim talerz. Emil gotować nie umiał, Jowita była absolutnym beztalenciem w dziedzinie kulinariów i powierzenie jej misji przyrządzenia obiadu wiązałoby się z otruciem połowy rodziny, a umiejętności Anny ograniczały się do naleśników, rosołu, spaghetti i paru ciast. Karina tymczasem przygotowała doskonałego, w dodatku zdrowego, niskokalorycznego kurczaka w ziołach i sałatkę. Anna, która powędrowała nakarmić Elżbietę, stanowczo każąc Markowi spokojnie zjeść, wróciła z pustym talerzem, choć przez dwa ostatnie dni chora nie miała apetytu.

Kiedy przysłała do stołu, pozostali już kończyli. Karina siedziała naprzeciwko niej, pomiędzy córkami, Anna mogła więc oddać się dyskretnej obserwacji, co jakiś czas dorzucając zdanie do prowadzonej konwersacji, której tematem przewodnim było wejście za trzy miesiące na ekrany kin filmu z Jowitą *Wszystko za miłość*. Przyszywana szwagierka jak zawsze wyglądała wspaniale. Jasne włosy wysoko upięła za pomocą spinek, miała na sobie błękitną bluzeczkę z krótkimi rękawami, podkreślającą kolor oczu i ciemnoniebieską spódnicę. Zapewne oba ciuchy zostały nabyte w lepszych sklepach którejs z warszawskich galerii handlowych, tych które Anna i jej koleżanki zazwyczaj omijały, zachodząc do nich tylko w chwilach największej desperacji, gdy nie mogły znaleźć czegoś konkretnego na wesele czy ważną randkę. Nie potrafiła wyobrazić sobie Kariny w sklepach z używaną odzieżą, tak bardzo uwielbianych przez Kasię, która, mimo dobrej sytuacji materialnej rodziców, kochała wyszukiwać rzeczy w lumpeksach, sklepach indyjskich i na targach.

Delikatny makijaż, podkład, szminka, tylko trochę tuszu. Srebrna bransoletka na przegubie, malutkie kolczyki. Wypielegnowane dłonie, paznokcie pomalowane na perłowy kolor.

– Przeszłaś samą siebie, Kari – westchnęła Jowita z rozmarzeniem, pochłaniając ostatni kawałek kurczaka ze swojego talerza.

– Dziękuję – odparła Karina, uśmiechając się z dumą.

Kiedyś Anna czuła się przy niej rozpaczliwie brzydka, niemodna, pozbawiona gustu, mało kobieca. Jak szara myszka o rzadkich włosach w jasnym, trudnym do określenia kolorze, z grubymi okularami na nosie, ubrana w zbyt luźne bluzy, mogła równać się z królową piękności? Jednak to, co wpędzało w kompleksy Julię ze Zguby, nie robiło wrażenia na Annie z Warszawy. Choć wiedziała, że nie wypada korzystnie na tle Kariny, nie odczuwała z tego powodu zazdrości. Po co? – pytał złośliwy chochlik siedzący na jej ramieniu. Po co ten makijaż i lakier do paznokci, skoro nigdzie dziś nie wychodzi, robiła po prostu obiad? Komu chce się podobać? Markowi? Jakby dostrzegął kogokolwiek oprócz Elżbiety! Emilowi? Pogratulować pomysłu, on dosłownie nikogo nie widzi... Kamowi? Jest zbyt zachwycony sobą, żeby docenić starania kogo innego.

Zdecydowanie wolała swoje stare szorty, znoszony podkoszulek i włosy związane w krótką kitkę niż wymyślne fryzury i modne ubrania Kariny. Utrzymywanie takiej fasady przez cały czas musiało być niesamowicie męczące i czasochłonne.

Napotkała spojrzenie niebieskich oczu i po raz kolejny się zastanowiła, skąd w nich tyle niechęci. To prawda, nie była równie piękna czy elegancka jak ona, nie umiała dobrze gotować, nawet chodziła w inny sposób, stawiając długie, szybkie kroki, podczas gdy żona Michała poruszała się jak modelka. Czy to wystarczające powody do pogardy?

Nie, głupia, mruknął chochlik. To nie wystarczy. Tylko dlaczego miałyby mieć do ciebie szacunek, skoro sama sobą pogardzałaś? Pozwalałaś się wykorzystywać Jowicie, nie protestowałaś, kiedy Kamael tobą pomiatał. Umiałaś jedynie ryczeć w poduszkę. Słaba, słaba, za słaba, żeby cokolwiek zrobić.

Spadaj, odburknęła Anna, wyobrażając sobie, jak zgniata glaniem zielonego potworka podsuwającego jej takie myśli. I zamiast, jak w przeszłości, uciec przed wzrokiem Kariny, spuścić głowę albo popatrzeć w bok, uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. Zaskoczona kobieta wypuściła widelec, który z głośnym brzękiem uderzył o talerz. Tym samym młoda pani Bluszcz skupiła na sobie uwagę wszystkich obecnych przy stole. Anna niemal wybuchła śmiechem, widząc, jak policzki przyszywanej szwagierki pokrywa czerwień.

– Pyszne – pochwaliła, wkładając sobie do ust kolejny kęs. Z jakichś niezrozumiałych przyczyn uznała, że chwając Karinę, kompletnie ją dobije. Rzeczywiście, choć wcześniej szwagierka promieniała, z dumą przyjmując zachwyty nad swoimi talentami kulinarnymi, teraz wyraźnie straciła humor.

– No dobrze, chyba pójde się położyć – zdecydowała Jowita, splatając ręce na brzuchu. – Albo nie. Julie, skarbie, chodź ze mną, pogadamy troszkę, wieki się

nie widziałyśmy, musisz mi wszystko, wszyściutko opowiedzieć!

Jakby interesowało cię coś poza czubkiem własnego nosa, samolubna owco, pomyślała Anna złośliwie, kończąc swoją porcję sałatki. Pewnie chcesz ponarzekać, że przez ciążę nie możesz grać i potwornie przytyłaś. Albo coś w tym rodzaju. Jasna cholera, przecież Kam miał rację, ty to dziecko zgubisz podczas pierwszego spaceru...

Mimo to przełknęła ostatni kawałek kurczaka, wrzuciła talerz do zmywarki i pozwoliła, aby Jowita wzięła ją pod ramię i poprowadziła ku schodom. Anna zarejestrowała mimowolnie, że znikły gdzieś pierścionki, które Jo zawsze nosiła z wielkim upodobaniem. Wtedy się zorientowała, że palce przybranej siostry są lekko podpuchnięte. Pełniejsze rysy twarzy, na które zwróciła uwagę od razu, jak się zobaczyły, też pewnie zostały wywołane przez ciążę. Anna ukradkiem zerknęła na brzuch Jowity, jeszcze niezbyt ogromny, ale już duży. Który to mógł być miesiąc? Co, jeśli na przykład dziewiąty i ona im tutaj zacznie rodzić? Na samą myśl dziewczynę oblał zimny pot. Kto niby miałby przyjmować poród? Przecież nie Emil, Kam czy Elżbieta!

– Jo... – zaczęła ostrożnie, otwierając drzwi od jej pokoju. – Naprawdę nawet w przybliżeniu nie umiesz określić, kiedy...

– Ależ wy wszyscy jesteście nudni – burknęła Jowita. – Nic, tylko kiedy, kto, jak! Nie mam głowy do prowadzenia kalendarzyka.

– I zupełnie nie interesuje cię, kim jest ojciec twojego dziecka? – spytała zirytowana Anna. Jowita powoli weszła do pokoju utrzymanego w tonacji różu i bieli, opadła na ogromne łóżko z baldachimem. Chcę łóżko księżniczki, zakaprysiła, mając jedenaście lat, i oczywiście takie właśnie dostała.

– Mojego dziecka – powtórzyła, gdy Anna przycupnęła na parapecie. Na twarzy Jowity nieoczekiwanie pojawił się wyraz paniki. – Julie, ja będę mieć dziecko!

– Nie nazywaj mnie Julie, złotko. I tak, Jo, z faktu, że jesteś w ciąży, niezbiecnie wynika to, że będziesz mieć dziecko. Czy to nie ty chciałaś przedwczoraj wygłaszać pogawędkę uświadamiającą? Myśl czasem.

Jowita spojrzała na nią wzrokiem zranionej łani, pociągnęła nosem, ale Anna nie dała się nabrać na tę starą sztuczkę. Jedyne dziecko talent aktorski miała we krwi i chętnie z niego korzystała. Tak źle się czuję, mówiła słabym głosem, kiedy chodziły do liceum. Nie napisałaś za mnie tego wypracowania, Julie? Przecież pamiętam, że czytałaś tę książkę. I „Julie” siadała nad esejem dla przybranej siostry, a potem własną pracę domową z matematyki robiła nad ranem. Julie, skarbie, zgubiłam portfel! – krzyczała pobladła Jowita, panicznie przeszukując torebkę. Wydałaś całe kieszonkowe? Błagam, pożycz mi pięć dych, jadę z koleżankami do miasta, nie będę miała na bilet. I „Julie” wyciągała zaoszczędzone pieniądze, wiedząc, że nigdy nie doczeka się ich zwrotu. Plama?

Sama musiałaś poplamić tę bluzkę, oznajmiała zdecydowanie Jowita, wcielenie niewinności. Julie, kochana, absolutnie nie brałam nic z twojej szafy! I „Julie” wyrzucała do kosza ulubione ubranie.

– Nie jesteśmy w teatrze, nie musisz grać – oświadczyła Anna zdecydowanie. Skrzyżowała ręce na piersiach, założyła nogę na nogę, przyjmując maksymalnie zamkniętą postawę. – Nie jesteśmy też dziećmi. Dorośnij wreszcie, Jo.

– Zmieniłaś się, Julie – powiedziała Jowita smutno, kładąc się na łóżku. – Jesteś taka niemila!

– Bo nie udaję, że świat kręci się wokół Jo Bluszcz?

Rzeczona Jo Bluszcz wybuchła płaczem, a Anna zapragnęła wyskoczyć przez okno. Pchnęła je nawet i wychyliła się, rozważając, czy upadek z dość niskiego pierwszego piętra groziłby czymś poważniejszym niż skręcenie kostki. Wyobraziła sobie, że rzeczywiście skacze, następnie zaś wchodzi w rolę swej przybranej siostry. Dzielnie znosi cierpienia, choć mówi nieco słabym głosem. Przepraszam. Po prostu czasem tak ciężko być siostrą Jo. Ale wiem, oczywiście, że nie chciała zrobić nic złego i wybaczam jej. W przeszłości usłyszała takie zdanie, nie miała jednak wtedy dość odwagi, żeby zapytać, co u licha źle zrobiła.

Anna nawinęła kosmyk włosów na palec, wciąż wychylona przez okno. Nie chciała patrzeć na płaczącą Jowitę. Może to nie była gra? W końcu u kobiety w ciąży hormony szaleją i ma prawo być trochę niestabilna emocjonalnie. Przecież na razie Jo niczego od niej nie chciała, nie była nawet nieprzyjemna, a odgrywanie się za wydarzenia sprzed kilku lat nie miało żadnego sensu. Jesteś normalnie jak kłusująca osa, nigdy nie wiadomo, kiedy ugryziesz, śmiała się z niej Kaśka, Anna zaś uważała te słowa za komplement. Teraz jednak mogła sobie darować gryzienie, nawet osy nie kłusają, jeśli ich nie rozdrażnić.

– No już – westchnęła, znów siadając na parapecie przodem do pokoju. – Nie chciałam przecież...

– Będę mieć dzieckooo – wyjęczała Jowita. Tusz do rzęs spływał jej po policzkach, na twarzy wystąpiły czerwone plamy. – Zostaną mi rozstępy po porodzie! A ono będzie ciągle wrzeeeszczęć! I będę musiała zmieniać mu pieluchy! Jak będę pracować?! Moja karieera legnie... legnie... w gruzach po prostu! A to ponoć tak boli! Juuuuuuulieeee, ja nie chcę!

Dostała czkawki, nakryła sobie głowę poduszką. Anna, bezradna wobec tego wybuchu, poczuła napływ migreny. Czy właśnie w jej towarzystwie ta narwana panna musiała sobie uświadomić wreszcie, z czym się wiąże posiadanie dziecka? Z drugiej strony – lepiej przy niej niż przy Elżbiecie.

– Baczność, szeregowo! – huknęła, zeskakując na podłogę. Ściągnęła z Jowity poduszkę, podała jej butelkę wody mineralnej. – Istnieją niańki. Żłobki. Stać cię chyba na to, co? Przestaniesz wszystko przepuszczać na ciuchy

i kosmetyki, tyle. Nawet najzdolniejszy niemowlak nie ryczy cały czas, a o powrót do dawnej figury możesz się zatroszczyć, więc przestań mi tu histeryzować.

Jowita otarła łzy, zostawiając czarne smugi na policzkach i nosie. Z rozczochranymi włosami, zaczerwienionymi oczyma, z opuchniętą twarzą, wyglądała tak okropnie, że Annie zrobiło się jej szkoda. Do tej pory nie żałowała Jo, uważając, że wszystkie problemy sprowadziła na siebie na własne życzenie. Kłopot w tym, że mieć do niej o to pretensje to tak, jakby karać dziecko za zjedzenie zbyt dużej ilości ciasta. Jowita, jak Piotruś Pan, po prostu nigdy nie dorosła.

Pora opuścić Nibylandię, Zagubiona Dziewczynko, miała ochotę rzucić Anna, ale się powstrzymała. Nie będzie przecież znowu denerwować kobiety w ciąży. Nie chciała zrobić nic złego i wybaczam jej. Wybaczam to, że Julie nie chce ze mną rozmawiać, bo umówiłam się z chłopcem, którego lubi. Wybaczam, że chodzi wściekła, ponieważ wymyśliłam jakąś idiotyczną historyjkę i rozpowiedziałam po całej szkole. Wybaczam, wybaczam, wybaczam, myślała.

Anna zgięła się w pół pod wpływem trudnego do opanowania ataku śmiechu. Jak mogła przez całe lata chować urazę do przybranej siostry, przejmować się odbiciem chłopca, którego imienia już nie pamiętała, czy głupimi plotkami? Nie przez Jo umknęła do Warszawy, nie przez nią próbowała zapomnieć o dawnej Julii, lecz niechęć wobec niej i wstyd, wywołany niektórymi zdarzeniami, stanowiły kolejne kamyczki lawiny.

– Co się dzieje? – spytała Jowita zdezorientowana.

– Nic, Jo – wykrztusiła Anna, siadając na ciemnoróżowym dywanie. – Kompletnie nic.

Zwyczajnie dorosłam, dziewczynko z Nibylandii, właśnie to pojęłam. Szkoda, że tobie się nie udało.

Zachowanie Jowity Bluszcz, wcześniej piastujące dumne, ósme miejsce na Liście Najbardziej Znienawidzonych Rzeczy A. Motylskiej, właśnie zostało z niej wykreślone.

VI

Karina

Raz w tygodniu do Bluszczowego Dworu przychodziła pani Ilona, kobiet licząca sobie trochę ponad czterdzieści lat, a wyglądająca na jakieś pięćdziesiąt. Miała zniszczoną twarz, cienkie, ufarbowane na czarno włosy z licznymi, siwymi odrostami; nosiła ubrania czyste, ale zniszczone. Karina omal się o nią nie potknęła, gdy weszła do kuchni.

– Sprząta tutaj – odparł Emil, kiedy szeptem spytała go, dlaczego u licha ktoś obcy szoruje podłogę. – Wcześniej robiła nam zakupy, przynosiła coś do odgrzania, jakieś pierogi i tak dalej... Teraz, jak przyjechaliście, to już niekonieczne, ale zanim...

Karina się zawstydzila. Elżbieta była zbyt chora, żeby zajmować się domem, Marek niechętnie odchodził od niej na krok, a niewidomy Emil nie ze wszystkim radził sobie sam. Powinna była wcześniej o tym pomyśleć, przyjechać, nie czekać na prośbę teściowej. Elżbieta pojawiła się, gdy Karina jej potrzebowała.

– Mogę się tym zająć – zapewniła. – Sprzątaniem. Nie musicie jej zatrudniać.

– Gotujesz obiady, Kam łaskawie zajął się zakupami, a Anna przygotowuje śniadania i kolacje. Nie zapraszaliśmy was, żebyście prowadzili dom – powiedział Emil łagodnie, nie odrywając palców od wypukłych znaków na stronie książki. – Stać nas na pomoc, a dla Ilony to główne źródło dochodów. Ma na utrzymaniu dwójkę dzieci. Zwolnienie oznacza dodatkowe kłopoty dla nas, a katastrofę dla niej.

– Tak, ale... – zaczęła Karina i umilkła. Tak, ale nie chcę jej tu widzieć, to chciała powiedzieć? Nie znosiła, kiedy ktoś się jej kręcił po mieszkaniu, ale przecież Bluszczowy Dwór nie był domem Kariny. Nie jej podłogę szorowała Ilona, nie jej stół ścierała, nie jej okna myła. – W porządku. Gdzie dziewczynki? Wcześniej bawiły się za domem.

– Julia i Jo zabrały je na spacer.

Jakim prawem?! – miała ochotę krzyknąć, w ostatniej chwili ugryzła się w język. Zaraz przywołała uśmiech. Umiała udawać. Przez całe życie w końcu ukrywała swoją niechęć. Najpierw do wujków, nietrzeźwej matki i lepiej ubranych

koleżanek, litujących się nad nią nauczycieli czy pań z pomocy społecznej. Potem do znajomych z roku, tych z bogatych rodzin, balujących całe dnie, którym wszystko w życiu przychodziło łatwo. Uśmiechała się do nich, kiedy wymieniała swoje starannie przygotowane notatki na kawę, szalik lub czekoladę. Mogła uśmiechać się i teraz.

– Małe hałasowały, a mama zasypia w hamaku – stwierdził Emil, jego twarz przybrała dziwny wyraz. – Dziewczyny nie zrobiły tego tobie na złość. Julia nie próbuje kupić twoich córek.

Karina wzdrygnęła się, nagle uświadamiając sobie z przerażeniem, że Emila nie zwiedzie przecież fałszywymi uśmiechami. On wie, pomyślała spanikowana. Co, jeśli powtórzy to Julii, Jowicie, a nade wszystko, Elżbiecie i Markowi? Kochali Julię znacznie bardziej niż Karinę. Poza tym jak ją ocenia?

– Nie rozumiem, o czym mówisz – oświadczyła zdecydowanie. Emil wybuchł śmiechem, który nieoczekiwanie przywiódł jej na myśl Michała. Po raz pierwszy dostrzegła, jak bardzo tych dwóch jest do siebie podobnych.

– Nie udawaj. Najchętniej ugotowałybyś Julię w gorącym oleju i to już dawno temu. Nie lubisz zresztą też mnie, Kama i Jo. Nie mam pojęcia, dlaczego. Gdyby nie to, że przepadasz za rodzicami, uznałbym, że ty po prostu nikogo nie jesteś w stanie polubić. Nie należysz do zbyt sympatycznych osób, choć grasz lepiej niż Jowita.

– Niczego o mnie nie wiesz! – zaprotestowała gwałtownie. – Nie masz prawa mnie oceniać!

– Pewnie nie – przyznał obojętnie, zwrócił głowę ku oknu, znów zaczął wodzić palcami po wypukłych liniach. Jakby nagle zapomniał o istnieniu Kariny. Rozwścieczył ją tym jeszcze bardziej, tak, że miała ochotę krzyknąć, podejść do niego, wyrwać mu książkę, uderzyć. Nie jest sympatyczna? Na wszystkie rodzinne spotkania przygotowywała wspaniałe obiady, była wesoła i uśmiechnięta, nigdy o nic nie miała pretensji, wiele uwagi poświęcała wyborowi prezentów na święta i urodziny. Pierwsza rwała się do pomocy, prawiała komplementy i ani razu nie zachowała się niewłaściwie.

Odwróciła się z zamiarem wymaszerowania z dumnie uniesioną głową i wtedy dostrzegła wreszcie Kamila podpartego o ścianę. Uśmiechał się ironicznie, ręce miał skrzyżowane na klatce piersiowej. Pod wpływem jego spojrzenia zapragnęła nagle uciec i schować się w mysiej dziurze. Z pewnością wszystko słyszał. W dodatku wcale nie wyglądał na zaskoczonego.

– Szacunek, bracie – rzucił, kompletnie ignorując Karinę. – Nie sądziłem, że jesteś zdolny do powiedzenia komuś paru słów prawdy... Jakby nad tobą popracować, może nawet pojąłbyś, czym jest złośliwość?

Odpowiedzi Emila nie usłyszała, jak burza wypadła z salonu, a potem z domu... *Nikogo nie jesteś w stanie polubić. Nie należysz do zbyt sympatycznych*

osób. Szacunek, bracie. Parę słów prawdy.

Nienawidzę was! Nienawidzę! – myślała. Potknęła się, zbiegając po schodkach z ganku. Upadła, boleśnie objając sobie kolano, kalecząc dłonie. W oczach zbierały się jej łzy złości i upokorzenia. Zawsze się starała. Zawsze próbowała robić wszystko, żeby ją polubili. Była miła. Uprzejma. Uczynna. I to wciąż mało, zbyt mało.

Nie nadajesz się kompletnie do niczego, mówiła Julia ze snu. Tak, jak kiedyś po pijanemu powiedziała matka, a Karina wtedy spakowała walizkę, wybiegła z domu i nie wróciła nigdy więcej.

Podniosła się, otarła łzy, otrzepała spódnice. Gdy okrążała dom, mimowolnie zajrzała w kuchenne okna. Przez firanki dostrzegła zarys kobiecej sylwetki czyszczącej szafki. Skrzywiła się, wspomniawszy twarz Ilony, ogromne, niebieskie oczy, małe usta, prosty nos, ślady świadczące o tym, że kiedyś była prawdopodobnie piękną dziewczyną, a dopiero ciężkie życie zrujnowało tę urodę. Karinę też przecież mógł czekać taki los: harówka całymi dniami, bezsenne noce, podczas których zastanawiała się, z czego opłacić rachunki. Gdyby pewnego dnia kilka lat temu nie zdecydowała, że ten jeden jedyny raz może pozwolić sobie na wyjście do klubu, gdyby Michał nie poprosił jej wtedy do tańca...

Zatrzymała się gwałtownie na widok Marka lawirującego między rabatkami. Niósł wysoką szklankę, wypełnioną sokiem, ku krańcowi posesji, gdzie rosły jabłonie, wiśnie, a w kącie parę brzoź. Tam też między dwoma drzewami zawieszono hamak, w którym leżała Elżbieta okryta cienkim pledem. Jasne włosy rozsypały się na ciemnoniebieskiej poduszce, głowę miała przechyloną na bok i Karina pomyślała, że śpi, ale gdy podszedł Marek, poruszyła się, podciągnęła wyżej. Mężczyzna podał żonie sok, poczekał, aż wypije i usiadł na trawie. Karina czym prędzej się wycofała, nim zdążyli ją zauważyć. Idąc tyłem, wpadła na skalniak, straciła równowagę i runęła między kłujące rośliny. Spódnica podwinęła się do góry, z zadrapań na łydce i kostce popłynęła krew, na łokciu powstał krwiak. Tego było za wiele dla Kariny, pewnie nie podniosłaby się nawet, a po prostu wybuchła głośnym płaczem, gdyby nie to, że dobiegł ją odgłos zatrzymującego się przed bramą samochodu.

Furtka, ostatnio wciąż otwarta ze względu na niespotykany ruch w domu, zazgrzytała. Karina wstała niezdarnie i zaczęła rozglądać się za drogą ucieczki, nie chcąc, by ktoś oglądał ją w takim stanie. Wtedy jednak rozpoznała osobę, która weszła na teren posesji. Serce zabiło jej mocniej i niewiele myśląc, rzuciła się ku niej pędem.

– Michał! Przyjechałeś! – krzyknęła, zarzucając mu ramiona na szyję. To rzeczywiście był on, mężczyzna średniego wzrostu, z krótko obciętymi, jasnymi włosami, starannie ogolony, niebieskooki, pachnący drogą wodą kolońską. Wyjątkowo nie miał na sobie garnitur, a koszulę z krótkim rękawem i płócienne

spodnie. Rzadko oglądała go w tak nieformalnym stroju.

– Karina. – Uściskał ją serdecznie, ale głos miał dziwny. – Dobrze cię widzieć. Co ci się stało?

Uświadomiła sobie, jak musi wyglądać: podrapana, ubrudzona, rozczochrana, i zapragnęła zapaść się pod ziemię. Czy nie mógł przyjechać wczoraj? Albo pół godziny później?

– Nic, nic, upadłam po prostu – odparła, siląc się na wesołość. – Na pewno jesteś padnięty. Odrzeję ci zupę, zanim zabiorę się za obiad... Będzie ryba. Chyba że najpierw chcesz wziąć prysznic? Gdybyś dał znać, że przyjeżdżasz...

– Spokojnie, zjadłem kanapkę na stacji benzynowej – powiedział, ściskając lekko jej rękę, a ona przez chwilę czuła się zupełnie, bezgranicznie szczęśliwa. – Jak mama? Gdzie Asia i Jula?

– Stan mamy jest... stabilny. Bliźniaczki poszły na spacer. Z... Jowitą i Julią.

– Są tutaj obie? Julka jeszcze nie uciekła? Jo przyjechała? – spytał, a jego twarz się rozjaśniła. Dobry humor Kariny prysł niczym bańka mydlana, ostrożnie wyzwoliła dłoń z uścisku. Na jej widok tak się nie uśmiechnął, jak na wieść o obecności sióstr.

– Są. Na długo przyjechałeś?

– Wyrwałem się na weekend – odparł. Z trudem skryła rozczarowanie, ale przecież nie powinna liczyć na więcej. – Rodzice są w domu?

– Znajdziesz ich z tyłu – powiedziała. Ucałował ją przelotnie w czoło, szybkim krokiem ruszył na tył domu. Karina powoli poszła za nim, wyciągając z włosów spinki; misterna fryzura i tak się przecież rozsypała. Zatrzymała się przy rogu, oparła o ścianę, obserwując, jak Michał podchodzi do rodziców. Elżbieta dostrzegła go z daleka, krzyknęła coś na powitanie, wyciągając ramiona. Długo ścisnęła swojego pierworodnego, chyba szeptała mu do ucha; Marek poklepał syna po plecach. Karina przygryzła wargę, zazdrosna, niemożliwie zazdrosna, choć nie wiedziała do końca, o co. O to, że jej Michał tak nie obejmował, nie pogładził czule po policzku jak matki, nie objął w pasie jak ojca? A może o to, że nie miała matki, która wyciągnęłaby ramiona na powitanie? Prędzej zatoczyłaby się i zwymiotowała mi na ubranie, pomyślała Karina w przyływie wisielczego poczucia humoru.

Odwróciła się i odeszła, tym razem uważnie patrząc pod nogi. Przeczesła włosy palcami, starannie starła krew z nogi, zerknęła w szybę, by zyskać pewność, że nie rozmazała makijażu. Nie chciała pokazać Emilowi i Kamaelowi, jakie wrażenie zrobiły na niej ich słowa. Chociaż zaraz, Emil i tak nic zobaczy, a Kamila raczej nie spotka w kuchni.

Michał tu jest. Jest tu, pomyślała zaraz, zapominając o wcześniejszym upokorzeniu. Tutaj, ze mną, z nami, nie z nią.

Przyspieszyła, wbiegła na ganek, z rozmachem otworzyła drzwi. Musiała się

przebrać i wziąć za obiad.

*

– ...przywiązane do budy trzyma się psy, nie ludzi! Nie dociera do ciebie, że...

Głos Julii znów ucichł tak, że do Kariny, która zatrzymała się, słysząc krzyki, docierały tylko pojedyncze słowa. Z trudem powstrzymała impuls nakazujący podejść do drzwi, przytknąć ucho do dziurki od klucza, jak zawsze robiła Jula, gdy odsyłano ją do pokoju, żeby dorośli „mogli spokojnie porozmawiać”.

Nie wiedziała, co odpowiedział Kamil, mówił zbyt cicho, ale jego wypowiedź musiała bardzo się nie spodobać Julii, bo coś trzasnęło, jakby rzucone o ścianę.

– Zejdź mi z oczu! – wrzasnęła na tyle głośno, że tym razem Karina nie musiała wysilać uszu. Szybko skoczyła ku sypialni zajętej przez bliźniaczki, wpadła do środka. Dziewczynki, zajęte zabawą nowymi lalkami przywiezionymi przez ojca, spojrzały na matkę, zdziwione jej nagłym wtargnięciem.

– Kolacja. Zapraszam.

– Tatusz zje z nami? – upewniła się Asia. Karina skinęła głową z uśmiechem. W Warszawie Michał rzadko jadał z nimi posiłki. Wychodził do pracy, zanim dziewczynki wstały, wracał, gdy już dawno były po obiedzie, a zwykle i po kolacji. Pomagając córkom zebrać zabawki, zdążyła zapomnieć o sprzeczce szwagra i Julii, zupełnie nieważnej w obliczu obecności męża przy tym samym stole podczas posiłku. Gdy jednak wyszły na korytarz, omal nie dostała w nos gwałtownie otworzonymi drzwiami sąsiedniego pomieszczenia. Kamil wypadł na zewnątrz, odsunął Karinę z drogi, szybko znikł za rogiem, a po chwili rozległ się głośny trzask świadczący o tym, że wyszedł z domu.

Przechodząc obok sypialni Julii, Karina dostrzegła ją kątem oka. Siedziała w fotelu, kolana podciągnęła pod brodę, twarz zwróciła ku oknu. Nie wydawała się zbyt szczęśliwa. Julia klóćca się z Kamilem. Karina zmarszczyła brwi. Zawsze miała ich za zupełnie zgodnych. W końcu jednak wzruszyła ramionami – jakie to miało znaczenie? Zanosilo się na to, że żadne z nich nie przyjdzie na kolację, co bardzo jej pasowało.

Jedli w piątkę: ona, dzieci, Michał i Emil, ten ostatni tak milczący, że łatwo było zapomnieć o jego obecności. Szybko zresztą znikł w swoim pokoju. Zostali sami i Karina mogła w spokoju obserwować, jak mąż układa na kanapkach

dziewczynek warzywa w kształt buź. Od dawna już tego nie robił. Później poszedł na górę do matki, ale wrócił po upływie pół godziny, z jakąś starą, zniszczoną książeczką z obrazkami, którą zaczął czytać córkom, kiedy Karina pomogła im się przebrać w piżamy.

Gdy później szli razem do starej sypialni Michała, rozmawiając i żartując jak za dawnych czasów, czuła się spokojna, zupełnie szczęśliwa. Ciągnąc męża do łóżka, gorączkowo rozpinając guziki koszuli, pomyślała jeszcze, że gdyby tak mogło być zawsze, gdyby codziennie jedli razem, gdyby każdego wieczora opowiadał bliźniaczkom bajki, gdyby każdej nocy mogła zasypiać przy jego boku, może przestałyby tak nienawidzić.

*

Było duszno, niemożliwie gorąco, tak że skrawek atłasu na wąskich ramiączkach, ledwo przysłaniający uda, to już zdawało się zbyt wiele. Karina zeszła do salonu bosą, starając się stąpać tak, by stopnie nie zaskrzypiały. Otworzyła wszystkie okna, wpuszczając do pomieszczenia nocne powietrze, cykanie świerszczy i pohukiwanie sów. Z kuchni przyniosła sobie mrożoną herbatę, lodową, prosto z lodówki, usiadła na stołeczku przy pianinie i wypija łyk, a potem przyłożyła zimną szklankę do rozpalonego policzka.

Ce, ce, ce, czy tylko się jej zdawało, czy tykanie zegara naprawdę brzmiało jak ce?

Cy, cy, cy, cykały świerszcze za oknem, a może to była tylko jej chora wyobraźnia, majaki wywołane gorączką.

Lia, lia, lia, zaśpiewał jakiś nocny ptak i Karina wreszcie wybuchła płaczem. Wypuściła szklankę, ta potłukła się, resztki napoju rozlały po drewnianym parkiecie. Ce – cy – lia, Ce – cy – lia, kobiecie wydawało się, że to imię, imię wyszeptane przez Michała, odbija się echem po całym domu. Ce – cy – lia. Ce. Cy. Lia. Co za niedorzeczne imię, zupełnie niemodne. Imię pasujące do starej ciotki, noszącej okulary w śmiesznych oprawkach, brzydkie szale, długie, kolorowe spódnice. *Idę do ciotki Cecylii na herbatę. Ciotka Cecylia poczęstowała mnie ciasteczkami. Kocham ciotkę Cecylię!*

Szloch na chwilę zamienił się w histeryczny śmiech, Karina uniosła głowę, jej wzrok padł prosto na ogromne zdjęcie powieszony na ścianie. Łzy rozmazywały obraz, ale świetnie wiedziała, że to ślubna fotografia Elżbiety i Marka. „Nie opuszczę cię aż do śmierci...” W salonie było wiele innych fotografii, każde z dzieci Bluszczów zostało uwiecznione przynajmniej na jednej, znalazła się też

podobizna małych bliźniaczek, siedzących w podwójnym wózku popychanym przez babcię. I tylko niebieskie oczy Kariny nie patrzyły z żadnego zdjęcia, jakby nie istniała, nie należała do rodziny, nie miała żadnego znaczenia.

– Karina?

Zastygła w bezruchu. Na progu stała Julia, ubrana w krótkie spodnie od pizamy i sprany podkoszulek, który kiedyś pewnie był czerwony. Głupia, wyrzuciła sobie Karina. Głupia! Nie wpadła na to, że Julia lub, co gorsza, córki mogą ją usłyszeć na dole? Powinna iść na ganek.

– Co się dzieje? – spytała dziewczyna niepewnie, zrobiła krok do przodu, zaraz jednak stanęła. W tym momencie Karina nie cierpiała jej jeszcze bardziej, nienawidziła z mocą tysiąca słońc, za to, że Julia zobaczyła ją w takim stanie. Załamana, zalana łzami, z rozlaną herbatą u stóp.

– Wy... no...ś się! – wydukała, zanosząc się spazmatycznym szlochem. Julia drgnęła, wyraźnie niezdecydowana spojrzała najpierw na wyjście, potem na Karinę. Wynoś się, wynoś, wynoś, zaklinała ją w myślach Karina. Nie próbuj mnie pocieszać, nie zniosę tego. Wy – no – cha.

– W porządku – powiedziała wreszcie Motylska. – Z łaski swojej idź do łazienki albo na zewnątrz. Nie mogę spać, a zaraz obudzisz dzieci.

Odwróciła się i wyszła, cicho jak kot. Karina została sama, wsłuchując się w tykanie zegara, koncert świerszczy i głosy ptaków, wyszukując w nich trzech sylab: ce, cy, lia.

VII

Anna

Anna miała ochotę się upić.

Tak porządnie, do nieprzytomności. Mogłaby potem zwalić się pod stół, przespać cały dzień, a potem przejmować się wyłącznie robotami drogowymi, nagle rozpoczętymi w jej głowie. To byłoby absolutnie orzeźwiająca. Myślałaby: „o Boże, umieram, dajcie mi trochę wody”. Zapomniałaby na chwilę o chorobie Elżbiety, o chęci dokonania morderstwa z premedytacją na Kamie, o dziwnym zachowaniu Kariny. To wszystko zesłoby na dalszy plan.

Miała też ochotę wsiąść w samochód i obrać kurs prosto nad morze. Nawet wizja dwudziestu godzin podróży, wahadeł i korków nie czyniła tej możliwości mniej atrakcyjną. W Kołobrzegu porozmawiałaby z Kaśką. Tam, gdzie był Tomek, czego jak czego, ale alkoholu na pewno nie brakowało. Poza tym zawsze pozostawała otwarta droga skoku z mola i utopienia się.

To rozwiązanie wydawało się niepokojąco atrakcyjne.

Może nawet zaczęłaby się pakować lub przynajmniej pobiegła do sklepu po kilka piw, gdyby nie pewna przeszkoda: to wymagałoby wstania z łóżka. Była tak zniechęcona, zmęczona i niewyspana, że czynność ta urastała do rangi problemu równego wyprawie na Księżyc. Przeklęty Kam. Cholerna Karina. Najpierw nie mogła zasnąć, zdenerwowana rozmową czy też raczej kłótnią z Kamaelem, która omal nie przerodziła się w rękoczyn. Koło biurka nadal leżały resztki rozbitego flakonu, ciśniętego o ścianę – z trudem powstrzymała się przed rzuceniem nim w Kamila. Nawet teraz, gdy o tym pomyślała, czuła w sobie narastającą chęć mordy. Ni z tego, ni z owego wpadł do jej pokoju z pytaniem, dlaczego, do licha, wyjechała.

Dlaczego!

Nie. To nie miało absolutnie nic wspólnego z tym, że gdyby została, pewnie do końca życia grzecznie wypełniałaby jego polecenia. Ani z tym, że od kiedy wyjechał na studia, wyrrywając się spod dozoru rodziców, zaczął się po prostu staczać. I z tym, że ciągle się na nią o coś wściekał. Że czuła się przy nim jak motyl, złapany w siatkę.

Nie chodziło oczywiście tylko o niego. Była najmłodsza z Bluszczów,

została w Zgubie sama, gdy cała reszta towarzystwa studiowała w Krakowie – z wyjątkiem Michała, który studia magisterskie skończył w Warszawie, tam też zaczynał właśnie pracę. I odkryła, że nie ma ani jednej koleżanki. Nic. Zero. Co nie było specjalnie dziwne, biorąc pod uwagę to, że wcześniej trzymała się wyłącznie z przybranym rodzeństwem. Nie tyle za sprawą własnych decyzji, ile przez Kamila i Jowitę. Ta druga bardzo starannie pilnowała, żeby „siostrzyczka” nie pojawiła się na żadnej zabawie, pewna, że nijaka, myszkowata Julia przyniesie jej wstyd. Ponadto Jo umawiała się z każdym chłopcem, który zaczął się do Julii odzywać. Jeśli chodziło o Kamila, to najchętniej zamknąłby ją pod kluczem. Tym oto sposobem została zupełnie sama. Nawet Emil, starszy od niej o dwa lata, który po liceum zrobił sobie rok przerwy, zdecydował się zamieszkać w krakowskim mieszkaniu ojca i rozpocząć studia, pomimo wcześniejszych wahań. Tym oto sposobem nie miała co ze sobą zrobić. Oczywiście, Emil i Kam przyjeżdżali niemal na każdy weekend lub ona jeździła do nich.

Na początku się nudziła. Tęskniła. A potem odkryła ze zdumieniem, że ta sytuacja zaczyna jej odpowiadać. Jowita wciąż wyciągała od niej pieniądze i prosiła o pomoc, ale, ze względu na odległość, znacznie rzadziej. Kam się nie wyzośliwiał. Odseparowana od nich, zaczęła nieśmiało odzywać się do innych ludzi ze szkoły. I po raz pierwszy pomyślała, że może poradzić sobie sama. Co nie spodobało się Kamaelowi.

Po studniówce urządził jej awanturę. Oczywiście, nie odważyła się zaprotestować. Niemniej uznała w głębi ducha, że ma go dość. Ostatecznie i nieodwołalnie. Miała też dość Zguby, leżącej na krańcach cywilizowanego świata, ma dość Jowity i dość odwiedzin Kariny. A nade wszystko dość Julii Motylskiej.

– Szlag – wymamrotała Anna, przekręcając się na drugi bok. Było już chyba po jedenastej, najwyższa pora wstawać. Tylko, jak tu się do tego zabrać, kiedy tak mało spała? Gdy wreszcie zdołała zasnąć, grubo po drugiej nad ranem, zaraz obudziło ją chlupanie Kariny. A potem znów nie mogła odpłynąć w ramiona Morfeusza, dla odmiany zastanawiając się, co za nieszczęście spotkało żonę Michała. Wcześniej nie pomyślałaby nawet, że ta jest zdolna do płaczu, jak każdy, normalny człowiek. Podejrzewała czasem, że Karinę zmontowano w jakimś laboratorium rządowym i w ogóle nie posiada żadnych uczuć. A tu proszę – ryczy w środku nocy i to akurat wtedy, gdy mąż przyjechał w odwiedzinach. Coś nieprawdopodobnego. Czyżby aż tak się przejmowała stanem Elżbiety? Dlaczego w takim razie teraz ją tak napadło?

W końcu Anna stoczyła się jakoś z łóżka, ruszyła do kuchni, wciąż w piżamie. Po drodze oblała się o ścianę, potknęła się o próg, a wreszcie wpadła na stół. Musiała wyglądać okropnie, bo Michał, akurat zdejmujący czajnik z kuchenki, na jej widok uniósł brwi.

– Kiedy zmieniłaś się w zombie?

– Kaaawy – zażądała, opadając na najbliższe krzesło. Powiedzenie czegoś innego stanowiłoby zbyt duży wysiłek.

– Nie wolisz porcji świeżutkiego mózgu?

Gdyby nie była tak otępiała, zdziwiłaby się zachowaniem Michała. Mogłaby przysiąc, że przed paru laty zgubił gdzieś swoje poczucie humoru, prawdopodobnie w tym samym miejscu, do którego odłożył dzinsy, ścięty kucyk i naszywki rockowych zespołów.

– Kawy – powtórzyła stanowczo. – Zliituj się. Kawy.

Wyraźnie rozbawiony postawił przed nią filiżankę. Anna rzuciła się na kawę, patrząc sobie przy tym usta i podniebienie. Chwilę później opuściła kuchnię, wprawdzie wciąż jeszcze nie do końca przytomna, ale już przynajmniej nie objając się o ściany i meble.

W salonie siedziały bliźniaczki, wpatrzone w telewizor. Nie mając nic lepszego do roboty (i nie będąc pewną, czy dojrnie jakoś do swojego pokoju) wepchnęła się między nie na kanapę.

– Co oglądadacie? – spytała, szeroko przy tym ziewając. Jula natychmiast przyłgnęła do jej boku.

– *Hannah Montanę!* Jest świetna! – poinformowała Asia. – Mama nie lubi Hanny.

– Wolę *Nie ma to, jak hotel* – oświadczyła Anna, przyciągając tym samym dwa spojrzenia pełne niedowierzania.

– To dorośli oglądają filmy dla dzieci? – Jula nie ukrywała zdumienia.

– Jasne. Mój kolega jest uzależniony od *Pingwinów z Madagaskaru*. U nas w mieszkaniu telewizor wiecznie mamy ustawiony na kanały dla dzieci. Wiecie, mieszkam z dwiema koleżankami. Kasia nas tym zaraziła. Wiolka na początku bardzo się wkurzała, ale teraz nie opuściłaby żadnego odcinka *iCarly*.

– A potem pedagogzy narzekają na współczesną młodzież!

Kamil usadowił się na oparciu kanapy. Anna obrzuciła go nieprzychylnym spojrzeniem. Przynajmniej wyglądał równie kiepsko jak ona. Można by przypuszczać, że balował gdzieś przez całą noc, gdyby nie to, że w Zgubie nie bardzo było gdzie. A jeśli pojechał do miasta? Zdarzało się mu już wsiadać za kierownicę z procentami we krwi. Podczas gdy Michał i Emil byli dość rozważni, raczej grzeczni i ogólnie rzecz biorąc, po prostu dobrzy, o tyle Kamael i Jowita mogli robić za absolutnie stereotypowe, zdemoralizowane dzieciaki z bogatej rodziny, sądzące, że wszystko im wolno. Rozpieszczeni księżę i królewna.

– Wyglądasz okropnie – rzuciła, zapominając na chwilę o obecności dziewczynek. Brązowe oczy miał zaczerwienione, znów nie zdążył się ogolić, włosy, o jak zwykle zbyt długiej grzywce, były lekko wilgotne, więc widocznie musiał wziąć prysznic. I dobrze, w innym przypadku zapewne śmierdziałby dymem i alkoholem.

– Nawzajem. Podajmy sobie ręce, Julio – parsknął, spoglądając na ekran. – Jak wy możecie to oglądać?

Anna przypatrywała mu się kątem oka, czekając na jakiś wyjątkowo złośliwy atak. Dziwne, był nieprzyjemny, jak przez mniej więcej osiemdziesiąt procent czasu, ale nie krążył po domu niczym burza, gotów coś rozwalić i wyładowywać złość na rodzeństwie lub na niej. Czyżby w ostatnich latach zaistniała jednak pewna poprawa? Po takiej kłótni spodziewała się przedstawienia pod tytułem: *Książę Kam się gniewa*. A może dręczył go kac i nie miał na to siły?

– *Hannah* jest super – poinformowała z powagą Jula.

– Nie, dziecinko, to *Król Lew* jest super – sprostował Kamil.

– Królik Lew? – powtórzyła Asia niepewnie. Kam omal nie spadł z oparcia.

– Te dzieci nie wiedzą, kto to jest Król Lew? – jęknął z udawanym oburzeniem. – Wyrzekam się was, nie macie już prawa nazywać mnie wujkiem.

Asia, zbyt młoda, aby nie wziąć tego na poważnie, zaczęła się wiercić, widocznie w poczuciu, że zrobiła coś złego. Tymczasem kolejny odcinek przygód młodej gwiazdki pop właśnie dobiegł końca. Anna westchnęła, spojrzała na Kamaela, a potem jednocześnie poderwali się z miejsc. Ona podażyła do półki z płytami, szukając *Króla Lwa*, Kamil zaś zabrał się za podłączanie odtwarzacza DVD.

– Wuuujku... co robisz?

– Nawracam was na drogę Prawdy i Światła. Musicie poznać *Króla Lwa*. I *Gwiazdne Wojny*, i *Matrixa*, i...

– Zlituj się nad nimi, człowieku, one mają po pięć lat. Na razie zostaliśmy przy *Królu Lwie* – zarządziła Anna, podając mu odpowiednią płytę. Do salonu wkroczyła Jowita. Anna zastanowiła się, czy to możliwe, że w przeciągu ostatnich paru dni jeszcze bardziej przytyła? Czy też było to złudne wrażenie, wywołane przez luźną sukienkę? Marek zdążył zaciągnąć córkę na badania, z których wynikało, że Jowita jest w ciąży od prawie ośmiu miesięcy i prawdopodobnie urodzi dziewczynkę. Annie ciężko było uwierzyć, że brzuch Jo ma jeszcze bardziej urosnąć.

– *Król Lew!* – ucieszyła się Jowita, pochłaniając resztkę batonika. – Zrobić miejsce dla ciężarnej, ale już! Braciszku, ustąp mi. Julio, droga moja, krzesło pod nogi poproszę. No?! Na co czekacie?

*

Co się dzieje? – pytał w mailu Drozd, który był hen, hen, daleko, bo aż na

drugim końcu Polski, a równie dobrze mógłby być w innym kraju, na innej planecie, w innej galaktyce. Tak wielki zdawał się Annie dystans między ponurą Zgubą, znów tonącą w deszczu, a dalekim Kołobrzegiem.

Kiedy przyjedziesz? Dlaczego się nie odzywasz? Masz jakieś kłopoty? Co u ciebie? Nam Wiolka się zakochała w kelnerze ze smażalni, jak zwykle na śmierć i życie. Kaśka zasnęła na słońcu, spaliła sobie ramiona, dziś nic, tylko obie chodzą i jęczą, zwłaszcza, że leje od rana, trudno nos na zewnątrz wystawić. Bo Piotruś nie zwraca uwagi, bo skóra złazi płatami, bo ciebie nie ma, a powinnaś być...

Powinnaś. I gdzie jesteś, Królowo Anno?

Uwięziona w złej bajce – wystukała krótką odpowiedź. Jakoś nie miała siły na nic więcej. Zamknęła laptopa, wyciągnęła z szuflady szkicownik, ale linie nie chciały się układać jak trzeba, z twarzy elfki spojrzały złe, wiedźmie oczy. Uwięziona w złej bajce. Narysowała trzy kruki siedzące na gałęzi, czarownicę na miotle, czarownika o ponurej twarzy. Żaden szkic nie był do końca udany, zdążyła wyjść z wprawy. Jeden kruk bardziej przypominał przetrąconą wronę, prawa dłoń czarownicy miała sześć palców. W końcu, zirytowana, porzuciła rysunki i wypadła z pokoju, szukać innego zajęcia. W salonie ściągnęła z półki piękne wydanie *Mistrza i Małgorzaty*, usiadła na kanapie, zastanawiając się, gdzie się wszyscy podzieli. Cały dom tonął w ciszy, co było dość dziwne. O ile Emil i Kamael mogli siedzieć zamknięci w pokojach, o tyle Jowita, Karina i małe raczej nie wytrzymałyby długo.

– Diabeł odwiedzający Rosję? Skąd taki wybór lektury? – usłyszała, gdy przeczytała trzydzieści stron. Już zaczęła czuć się dziwnie i rozważać odwiedzenie Elżbiety. Kamil usiadł na stołku przy pianinie. Wyglądał zaskakująco porządnie – widać przypomniał sobie, do czego służą grzebień, maszynka do golenia i żelazko.

– Chwilowo mieszkam z jednym takim Wolandem pod tym samym dachem. Może stąd? – mruknęła, wsuwając między kartki zakładkę. – Gdzie reszta?

– Michał zabrał wszystkich, oprócz rodziców, do miasta. Jowita zapomniała oczywiście stu rzeczy, które musi koniecznie kupić, choć w jej walizkach zmieściłby się nawet słoń. Asi i Juli obiecali McDonalda. Nas nie zaproszono, bo musielibyśmy siedzieć na dachu.

– Albo dlatego, że ja przysnęłam, a ciebie i tak nikt nie umie znieść.

Nie odpowiedział, odwrócił się do niej plecami, uderzył w klawisze, wygrywając jakąś melodię. Brwi Anny powędrowały do góry, gdy rozpoznała motyw z jednej z ulubionych kreskówek swojego dzieciństwa, oglądanej, kiedy jeszcze nie miała pojęcia, co to takiego *anime*.

– *Czarodziejka z Księżyca*? Kam, nie podejrzewałabym cię o takie upodobania.

– Zapomniałaś? Nauczyłem się tego milion lat temu. Musiałem to z tobą

oglądać, siłą nie dało się ciebie odciągnąć od telewizora, jak puszczały te maziary. Jo zresztą tak samo.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Zazwyczaj obie z Jowitą grzecznie wypełniały polecenia Kamaela, Emil zresztą też słuchał brata. Bawili się w to, co chciał, chodzili wybranymi przez niego ścieżkami – najczęściej ona, bo Jo na dłuższą metę go irytowała, a Emil nie mógł uczestniczyć we wspinaniu się na drzewa ani przeprawach przez rwący strumień. Gdy jednak w telewizji leciała *Czarodziejka z Księżycy*, zazwyczaj potulna Julia Motylska stawiała twardy opór. Ostatecznie Kamil poddawał się i siadał obok na kanapie. Choć nigdy by się do tego nie przyznał, musiał to polubić, bo po jakichś dwudziestu odcinkach narzekał mniej, jakby tylko dla zasady, a czasem pierwszy włączał telewizor.

– Nie zmuszałam cię do oglądania. Mogłeś iść się bawić. To ty w tym towarzystwie decydowałeś, co mają robić inni.

– Bez ciebie? Co to za zabawa – parsknął, zaraz jednak znów odwrócił się do pianina, zaczął wygrywać jakąś inną, nieznaną jej melodię. Wolną, smutną. Zdumiona Anna też milczała. Jednym z ulubionych zajęć małego Kamaela było marudzenie na jej nieporadność, powolność, niezdarność, nigdy nie przyznałby się, że ceni towarzystwo dziewczynki, która znikąd pojawiła się w jego domu.

Mimo to wszędzie ją ze sobą ciągnął, przynajmniej póki nie poznał przyjemności tkwiącej w urządzaniu zakrapianych imprez pod gołym niebem z okolicznymi nastolatkami.

– Co u ciebie? – rzucił od niechcienia, gdy cisza się przedłużała.

– Interesuje cię to? – spytała ostrożnie Anna, gotowa na kolejną słowną potyczkę. Gdzie byłeś? Z kim? Dlaczego zniknąłeś? Co robiłeś? Dość tego typu pytań usłyszała od niego w czasach gimnazjum i liceum. Najbardziej nadopiekuńczy rodzice nie zachowywali się wobec dzieci tak, jak on wobec niej. Maniakalny zazdrośnik.

– Nie najeżaj się, Julio. Jak na razie to ty się wyzłośliwiasz, gdy próbuję rozmawiać normalnie – mruknął Kamil, najwidoczniej wyczuwając jej nastrój. – Nie to powiedziałaś przedwczoraj? Że nie umiem rozmawiać? Staram się. Nie widzieliśmy się od lat, to chyba normalne pytanie?

Na końcu języka miała ciętą odpowiedź, ale uświadomiła sobie, że Kamael ma rację. Naprawdę próbował. Nie rzucił żadnej wyjątkowo złośliwej wypowiedzi, nie ironizował nawet za bardzo. To ona doszukiwała się we wszystkim drugiego dna.

– W porządku – westchnęła. – Choć jedna próba rozmowy skończyła się tarzaniem w błocie, druga rozbiciem flakonu. Ciekawe, czy tym razem dojdziemy wreszcie do rękoczynów...

– Kto to wie? W takim wypadku przeniesiemy się na zewnątrz, tata zdenerwowałby się, gdybyśmy zdemolowali salon – odparł Kamil. Wciąż siedział

zwrócony do Anny plecami, co zaczynało ją denerwować. Grzeczność kazała patrzeć na rozmówcę!

– Idę na piąty rok. Mam szansę na stypendium. Mieszkam z dwiema koleżankami, Kasią i Wiolką. Pracowałam w call center...

– Wiem. Mama mi mówiła.

– O mnie? – zirytowała się natychmiast Anna. Kamael, nie odwracając się do niej, wzruszył ramionami. Ten gest też był wkurzający.

– Lubi o tobie mówić. Jest z ciebie dumna. Z was wszystkich. – Czy tylko się jej zdawało, czy naprawdę w jego głosie usłyszała coś, co było goryczą?

– Z was? Ciebie to nie obejmuje?

– Ze mnie? Raczysz żartować, kochana. Jestem czarną owcą w rodzinie. Michał, ważna szycha w firmie, z piękną żoną i dwójką dzieci, Jowita robi karierę aktorską, Emil, taki dzielny, mądry, zrobił licencjat, prowadzi własną audycję, świetnie sobie radzi, pokonał własne ograniczenia. I ty, zbierasz same piątki, odpowiedzialna, cudowna i w ogóle naj! A ja?

Gwałtownie poderwał się, omal nie przewracając stołka, podszedł do wieży, uruchomił jakąś radiostację. Pokój wypełniła melodia przeboju tych wakacji, zapewne kolejnego hitu jednego sezonu.

A on?

– Nigdy nie starałeś się dawać rodzicom specjalnych powodów do dumy – wymruczała. Z czego Elżbieta miała być dumna? Z uwag, podpisywanych na wywiadówkach, z informacji o kolejnej bójce, z narzekań na bezczelność chłopca wobec nauczycieli? Z ucieczek, z jedynek, pojawiających się w dzienniku równie często jak piątki, bo Kam był szalenie inteligentny, ale niezbyt zainteresowany nauką? Ze spotkania z wychowawczynią Anny, która zauważyła, że Kamil „próbuję odizolować Julię od innych uczniów?” Z wciągania jej w niebezpieczne sytuacje, jak wyprawa na skały, gdy skończyła ze skręconą kostką i zwichniętym nadgarstkiem? Z tych wszystkich spraw, które Kam starannie ukrywał przed rodzicami, czyniąc z dziewczyny swoją współniczkę, z nocnych powrotów, z alkoholu, papierosów, bijatyk, popalania trawki, a pewnie i sięgania po inne narkotyki? Nie wiedzieli, ale musieli przeczuwać, przynajmniej Elżbieta, że coś jest nie tak, ale do Kamaela nie docierały żadne słowa, żadne kary. Marek pracował, a Elżbieta, mając piątkę dzieci na głowie, nie mogła cały czas czuwać tylko nad niepokornym synem. Zresztą nigdy nie umiała być surowa, uwielbiali ją i to dlatego dawała radę zapanować nad dzieciarnią. Na pierwszym roku studiów, gdy Kam znikł z rodzicielskiego radaru, było jeszcze gorzej. Anna nie wiedziała, co działo się później, zerwała wszelki kontakt z Kamilem, czasem jedynie któreś z Bluszczów w rozmowie telefonicznej czy przy okazji rzadkich spotkań rzuciło o nim kilka słów.

– Gorszy brat, co?

– A Elżbieta i tak ciebie kochała najbardziej, mimo wszystkich stratowanych rabatek i tego, że wychowawczynie założyła osobny dzienniczek uwag tylko dla twojej skromnej osoby. Nie udawaj, że nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Bezczelnie to wykorzystywałeś.

Piosenka się zmieniła. A może to Kam zmienił stację.

– To strasznie smętne. Przełącz – poprosiła, Kamil jednak zdążył się już przemieścić, stanął przy parapecie. – Chyba nigdy nie przestanie padać.

– Przynajmniej rośliny trochę odżyją – odparł. – Nie ma kto ich podlewać.

– Rośliny? – zdziwiła się w pierwszej chwili. Ogród, dotarło do niej zaraz. Ukochany ogród Elżbiety. Rzeczywiście, był zarośnięty, a wiele kwiatów zwiędło. Kto miał się nimi zajmować? Marek na pewno nie miał do tego głowy, Emil powyrywałby bratki z chwastami...

– Miałaś chyba powiedzieć, co u ciebie – przypomniał Kam. – Kim są te dziewczyny, z którymi mieszkasz?

– Kasia studiuje stosunki międzynarodowe... – zaczęła, niepewna, jak właściwie powinna opisać Kaśkę, aby oddać jej pełny obraz. Czy w ogóle można było odpowiednio odmalować słowami postać Katarzyny Makowskiej? Śmiesznych fryzur, wybuchów złości, gwałtownych kłótni i wyciągania ręki na zgodę. Sposobu, w jaki mówiła i śmiała się, energii, z jaką tańczyła, tego, że nazywała Annę dziewczynką, skarbem albo Motylkiem, rzadko używając imienia. I czy Anna naprawdę chciała mówić o tym wszystkim Kamilowi, który kiedyś robił wszystko, aby odstraszyć od niej każdą potencjalną koleżankę? A jeśli się to nie udało, krytykował ją, wykazując wady, a potem, co gorsza, często udowadniając, że miał rację?

– Ma mnóstwo energii, rzadko się smuci i chociaż będzie narzekać, nikomu nie odmówi pomocy. Dużo się śmieje, uwielbia zwierzęta, umie zrobić genialny makijaż... Wiola jest z mojego roku. To ślicznotka, chociaż trochę... niepewna siebie.

Czasem zachowujesz się jak potulne ciele, burczała Kaśka na Wiołkę. Ta z początku wyglądała wtedy, jakby chciała się rozplakać, potem puszczała to pomimo uszu, ale ostatnio zaczęła podejmować nieśmiałe próby odgryzania się. Może dla niej też była jeszcze jakaś nadzieja, w końcu Anna „wyrobiła się” właśnie przy boku Kasi. Tego jednak nie miała zamiaru opowiadać Kamilowi.

– Rysujesz jeszcze?

– Nie bardzo. Nie mam czasu ani ochoty. A ty?

– Ja? – Wreszcie przestał wyglądać przez okno, zwrócił się ku niej. – Nigdy nie rysowałem.

– Wiesz, o co mi chodzi. Mieliśmy rozmawiać jak dorośli, cywilizowani ludzie... więc skoro powiedziałam, co u mnie, pytam, co u ciebie.

Spojrzał na nią spode łba w taki sposób, że powinna rozplynać się

w powietrzu w przekonaniu, że uczyniła coś absolutnie niewłaściwego, ewentualnie wypełnić za najbliższą szafkę. Skuliła się wewnętrznie, przekonana, że zaraz nastąpi słynny wybuch złości Kama, ale jakoś zdołała zapanować nad swoją postawą, nie dać po sobie niczego poznać.

– Jeśli próbujesz zamienić mnie w kamień spojrzeniem, to ci nie wychodzi – oznajmiła. Na jej głowę nie spadły jednak pioruny, Bluszczowy Dwór nie zatrzęsł się w posadach, a Kamil wybuchł śmiechem.

– W porządku. Co chcesz wiedzieć?

Co chcę wiedzieć?

Czy w ogóle chcę cokolwiek wiedzieć?

Skoro powiedziało się *a*, należało powiedzieć *b*. Istniała nieskończona ilość neutralnych tematów, które można by poruszyć.

– Czym się zajmujesz?

– Niczym.

Uniosła brwi. Właściwie powinna była spodziewać się takiej odpowiedzi. Dopiero co skończył studia, nie brakowało mu pieniędzy, a Książę Kamael nie należał do gatunku ludzi, którzy zabraliby się za poszukiwanie pracy od razu po studiach. Ja, Lindana, ciągle bawić się chcę, zanuciło wewnętrzne *ja* Anny za *Fineaszem i Ferbem*, bajką, od której uzależnili się chłopcy. Tomek i Drozd twierdzili zresztą, że to ich wina, bo wciąż mają włączone Disney Channel albo inny kanał dla dzieci.

Ja, Kamael, ciągle bawić się chcę...

– Rzuciłem miesiąc temu – uzupełnił Kam. – Na piątym roku pracowałem w tygodniku, ale odmówili dania mi urlopu. Czasem podsyłam też artykuły i felietony do różnych gazet, kilka się ukazało.

Szerzej otworzyła oczy, zdumiona tymi rewelacjami. Kamil uśmiechnął się krzywo, z ironią, z triumfem? Na pewno odgadł, jak bardzo ją to zaskoczyło. Z drugiej strony, beztroska w porzucaniu pracy, gdy dziesiątki absolwentów dziennikarstwa bezskutecznie poszukiwało zatrudnienia, pasowała do niego. Choć co miał zrobić? Elżbieta chciała mieć ich przy sobie. Wystarczyło, że Michał wpadł na tak krótko z powodu pracy.

– Mieszkasz w Krakowie?

– Chwilowo nie mieszkam nigdzie.

– I nie wiesz, co ze sobą zrobić dalej – domyśliła się. Znów wzruszył ramionami, co wzięła za potwierdzenie. – Nie mam więcej pytań, wysoki sądzie – westchnęła po chwili milczenia, znów otwierając książkę. O co jeszcze mogła zapytać? Co robiłeś przez prawie cztery ostatnie lata, gdzie byłeś, kogo poznałeś, czym się zajmowałeś? Zamyślona usłyszała kolejne pytanie dopiero, kiedy je powtórzył.

– Masz kogoś?

– Tak – mruknęła cicho, po raz pierwszy przyjmując postawę typową dla dawnej Julii: głowa nisko pochylona, włosy przysłaniające twarz. Przerzuciła kartkę, udając gwałtowne zainteresowanie dialogiem między Piłatem a Jezusą, spróbowała rzeczywiście przeczytać parę zdań, ale nic do niej nie docierało. Skończyła stronę, nie mając pojęcia, o czym właściwie czyta, zanim Kam się odezwał:

– Kto to? – Jego głos brzmiał zupełnie spokojnie. Zerknęła na niego niepewnie, ale nie wydawał się zły. Minęło w końcu parę lat. Czasy, w których próbował kontrolować każdy jej krok, minęły.

– Kolega ze studiów. My... od roku... jesteśmy parą.

Chyba, dokończyła w myślach. Wolą uważać ich za coś więcej niż przyjaciół. Kochała Drozda, ale niechętnie podchodziła do możliwości istnienia kogoś, kto będzie mieć prawo pytać, dokąd poszła, z kim się widziała. Ilekroć ktoś żartował, że tylko patrzeć, aż się pobiorą, ogarniało ją przerażenie. Była zdecydowanie zwolenniczką życia na kocią łapę czy też kohabitacji, jak wbijali im do głów na uczelni, w imię poprawności politycznej. Sytuacji, gdy w każdej chwili możesz spakować walizkę i wyjechać na drugi koniec świata.

– Zdaje się, że tamci wrócili – stwierdził Kamael, spoglądając w okno. Anna omal głośno nie odetchnęła z ulgą. Miała dość tej rozmowy. Woląaby już taplać się w błocie, tarzać po trawie albo wrzeszczeć i tłuc flakony. Wtedy nie trzeba uważać na każde słowo. Nie miałyby wrażenia, że chodzi po polu minowym.

*

– Można?

Anna uniosła wzrok znad szkiców rozsypanych po całej podłodze pokoju. W drzwiach stał Michał.

Najstarszy z rodzeństwa Bluszczów, podobnie jak Kamael, odziedziczył po ojcu jasnobrązowe włosy, wysoki wzrost i kształt podbródka, ale na tym kończyły się podobieństwa między braćmi, za to dopiero zaczynały podobieństwa do Marka. Michał miał trochę za duży nos, miły, markowy uśmiech, grube brwi. Jedynie oczy dostał od matki.

– Jasne, wchodź. Wysypałam to wszystko niechcący, jak szarpałam się z szufladą i pomyślałam, że je przejrzę... – wyjaśniła, gdy mężczyzna wszedł do pokoju, próbując nie nadepnąć na żadną kartkę. Usiadł na podłodze, sięgnął po rysunek przedstawiający Emila, jedną z bardziej udanych podobizn w kolekcji. Nastoletni Emil uśmiechał się z rysunku niepewnie, nerwowo tarmosząc swoje

włosy.

– Zdążyłem zapomnieć, że to robiłaś – mruknął Michał.

– Co takiego? – Zaczęła przekładać szkice na trzy stosy, jeden do wyrzucenia, drugi do zabrania i dumnego zademonstrowania Kasi i Wiolece, trzeci do „zdecydowania później”. Najwyższy czas opróżnić szuflady z reszty swoich rzeczy, skoro Bluszczowie się na to nie zdecydowali. Nie pamiętała teraz, dlaczego ostatecznie zostawiła szkicowniki i przybory do malowania. Zbyt mocno kojarzyły się ze Zgubą, którą wolała wyrzucić z pamięci? Zabawne, jeśli tak, teraz wydawało się jej to głupie.

– Że lubiłaś nas szkicować – dokończył Michał, biorąc swój własny portret, namalowany jeszcze niezbyt wprawną ręką, gdy Anna była chyba w gimnazjum.

– Gdy dorastamy, zapominamy o wielu rzeczach – odparła, przenosząc na niego spojrzenie z podłogi usianej kartkami. Miał prawo zapomnieć, że rzadko się gdzieś ruszała bez bloku i ołówka. Był starszy o ponad sześć lat; gdy wyjechał na studia, wciąż pozostawała dzieckiem, a choć dość często przyjeżdżał, nie przebywał w domu na co dzień. Mógł zapomnieć, że poczuwał się do opieki nad siostrami, tą prawdziwą i przybraną, że kiedyś pocieszał Annę, ilekroć Kamil jej dokuczył. Mógł zapomnieć, że nie pierwszy raz siedzą razem nad jej pracami, mógł zapominać o urodzinach, o zadzwonieniu, napisaniu maila... Mógł wreszcie zapomnieć, że za dawnych lat dużo się śmiał, bawił w berka, słuchał rocka i był zupełnie, zupełnie inny.

Czy ona nie próbowała zapomnieć o tym i o wielu innych sprawach?

– Posiwałaś – zauważyła, odruchowo wyciągając rękę ku jego czuprynie. Zamarła, niepewna reakcji, bo Michał, Mąż Kariny, Zastępca Dyrektora jawił się jej jako człowiek surowy, niechętny takim gestom. Jednak tylko się uśmiechnął, więc już śmieiej pociągnęła go za włosy. – Jeszcze trochę i zamienisz się w Marka.

Faktycznie, na jego głowie pojawiło się parę siwych włosów, kilka zmarszczek przybyło przy kącikach oczu i ust, odrobinę przybrał na wadze. Mimo to wydawał się nie starszy, lecz młodszy niż ostatnio. Może ze względu na to, że nie miał na sobie garnituru, a może dlatego, że wreszcie znów się uśmiechał, nie patrzył nerwowo na zegarek.

– Hej, ja się ciebie nie czepiałem, kiedy nagle łeb ci poczerwieniał, Motylku.

Nie, spojrzaleś z dezaprobatą, co wystarczyło za wszystkie słowa, uzupełniła w myślach, ale nie powiedziała tego na głos. Po raz pierwszy od dawna normalnie rozmawiała z Michałem i nie chciała rujnować atmosfery. Ostatnio ta sztuka nie udawała się nawet z Emilem, nie mówiąc o nieszczęsnych próbach grzecznego konwersowania z Kamilem. Nazwał ją nawet Motylkiem, choć zaniechał używania tego przydomka wiele lat temu. Gdyby się zastanowić, obecnie używali go tylko Emil, Elżbieta, a w Warszawie Kaśka.

– Dlaczego ich nie zabrałaś? – spytał, przerzucając rysunki. Anna jeszcze raz

obrzuciła spojrzeniem okazałą kolekcję. Pokażną... ale nie dość okazałą. Zmarszczyła brwi, uświadamiając sobie, że brakuje paru obrazków. Nie umiałyby stwierdzić ilu, nie pamiętała, co takiego rysowała, ale na pewno gdzieś powinno być parę autoportretów.

– Ja też zapomniałam. Nie wiem – westchnęła, patrząc na chyba najlepszy malunek ze wszystkich, Kamila unoszącego maskę tak, że ta przysłaniała już dolną połowę twarzy. Maskę, z ustami zastygłymi w wyrazie wściekłości... Najwięcej rysunków przedstawiało właśnie Kamaela. Nie uśmiechał się na żadnym.

– Mogę ten zatrzymać? – poprosił Michał, podając jej jedną z kartek. Szkic, wykonany chyba w liceum, jeden z bardziej udanych. Zaraz, przypomniała sobie, rocznica ślubu Marka i Elżbiety. Trzy miesiące przed tym, jak Michał ożenił się z Kariną. Kilka dni po uroczystym obiedzie zatrzymywała klatki filmiku, próbując odwzorować poszczególne sceny, w tym przypadku Michała tańczącego z matką.

– Weź go – pozwoliła.

– To też zapomniałem – przyznał. Odruchowo chwyciła go za rękę, uścisnęła, bo wydał się jej nagle straszliwie smutny.

– Michaś... – Kiedy ostatni raz go tak nazwała? – Czy... oprócz tego, że ciocia... dzieje się coś złego?

Zawahał się, nerwowo przecesał włosy wolną dłonią. Odruch wszystkich Bluszczów, gdy są niepewni albo zirytowani...

– Chyba dobrego, siostrzyczko. Rzecz w tym, że o kilka lat za późno. I przez to jest też złe. Ktoś przypomniał mi... ile zapomniałem.

Drzwi otworzyły się z rozmachem, przeciąg sprawił, że kilka kartek przesunęło się po podłodze. Karina, która stanęła na progu, zmierzyła męża i Annę niechętnym spojrzeniem.

– Spakowałam ci walizkę, ale nie mogę nigdzie znaleźć golarki.

– Wiem, gdzie jest – westchnął Michał, wstał, jakby trochę niechętnie. – Zaraz jadę. Do zobaczenia, Jula, dziękuję za rysunek.

Nie wyglądał na szczęśliwego. A co jeszcze dziwniejsze, Anna nagle uświadomiła sobie, że Karina ostatnio chyba też nie promienieje radością życia. Przypomniała sobie, jak płakała w środku nocy. Czyżby ta idealna, modelowa wręcz rodzina też miała jakieś problemy? Mogłaby przysiąc, że Michał jest smutny, i to nie tylko z powodu Elżbiety.

VIII

Karina

I pojechał.

Ot tak, po prostu, rano wsiadł w samochód, którego światła zaraz znikły za drzewami. Mknął teraz ku Warszawie, pewnie o tej porze nawet dojeżdżał do miasta, zbliżał się do budynku, mieszczącego siedzibę firmy, w której pracował, do ciemnowłosej Cecylii, do ich wymuskanego mieszkania. Pewnie zaprosi Cecylię na kolację, przygotuje coś w kuchni Kariny, zapali świecę w świeczniku należącym do żony, a wreszcie zaprowadzi ją do łóżka, w którym Karina tyle razy zasypiała sama. Pod wpływem tych niewesołych myśli kobieta usiadła tam, gdzie stała, czyli na środkowym stopniu schodów, oparła głowę o ścianę i zapatrzyła się w pustkę, nie dbając o to, kto ją zobaczy.

A zobaczyła oczywiście Julia. Niech szlag trafi tę dziewczynę.

Nie dała po sobie poznać, że zauważyła Motylską, ostentacyjnie wbiła wzrok w sufit, z nadzieją, że ta zrozumie aluzję. Niestety, wciąż stała w tym samym miejscu u stóp schodów. Jasna cholera, drugi raz przyłapała Karinę w chwili słabości. I co? Zacznie jej współczuć? Pocieszać?! Litować się nad nią? A może wyśmiewać w duchu? Lub, co gorsza, spróbuje przeprowadzać terapię psychologiczną?!

– Masz jakieś ubrania robocze? – spytała Julia, wprawiając tym Karinę w zdumienie.

– Ro... bocze?

– Tak. Wygodne. Takie, których nie bałabyś się ubrudzić. Zniszczyć. Masz coś takiego?

Zmierzyła wyraźnie krytycznym spojrzeniem białą, zwiewną suknię Kariny, w sam raz dla bohaterki powieści romantycznej, snującej się gdzieś na wrzosowiskach w poszukiwaniu ducha zmarłego ukochanego.

– Nie...

– Hm... znalazłoby się coś u Elżbiety, macie podobną figurę.

Jeśli to miała być terapia, to najdziwniejsza, o jakiej Karina słyszała.

– Czekał, o co ci chodzi? – spytała, wstając z miejsca. Julia ukryła lewą rękę w kieszeni starych ogrodniczek o poszarpanych nogawkach. W prawej trzymała

ogromny, słomkowy kapelusz ozdobiony kwiatami, który pewnie kosztował krocie i był szalenie modny, ale przed siedemdziesięciu, osiemdziesięciu laty. Na nogach miała długie kalosze w barwne kwiaty.

– Przyjechałyśmy tu dla Eli, prawda?

– Owszem – potwierdziła Karina.

– To chyba pora coś zrobić, poza czytaniem jej i smęczeniem. Ogród wygląda tragicznie. Ona go uwielbia. Idę pielnić. Przyłączysz się? Samej zajmie mi to wieki. Myślałam, żeby wziąć bliźniaczki, mają za wiele energii, przed chwilą przyłapałam Julę, jak biegała po korytarzu ubrana w firankę...

– W firankę – jęknęła ze zgrozą Karina, niepewna, czy bardziej niepokoi ją to, skąd córka wzięła tę firankę, czy też wizja pracy z Julią w ogrodzie.

– To jak?

Zawahała się. Właściwie nie musiały pracować przy jednej grządce. Powinna zrobić to dla Elżbiety. Poza tym miałyby potem wysłuchiwać, jak Julia zbiera pochwały, bo jako jedyna o tym pomyślała? To przeważyło. Super Karina powinna być także supersynową. Zresztą pielienie wydawało się bardziej atrakcyjne niż pogażanie się w otchłani rozpaczy.

– Niech będzie.

Dlatego właśnie pół godziny później wylądowała w ogrodzie, ubrana w trochę za duże rybaczkę i obszerną, kraciastą koszulę. Bliźniaczki natychmiast podchwyciły ideę pomagania matce i ciotce, w przyływie entuzjazmu omal nie wrywając maciejki, którą wzięły za chwasty.

Słońce piekło Karinę w kark, ziemia, jeszcze nie do końca wyschnięta po nocnym deszczu, zostawała pod paznokciami, brudziła ręce aż do łokci. Kobieta, nienawykła do wysiłku fizycznego, szybko zaczęła się pocić. Cotygodniową, godzinną sesję na siłowni ograniczała do chodzenia na stepperze, w umiarkowanym tempie lub jazdy na rowerku i teraz pomyślała, że to nie wystarcza, aby utrzymać formę. Dziewczynkom zostawiły wypalenie rabatki zasadzonej tuż pod oknami, tak zmarnowanej, że nic by jej już nie zaszkodziło. Same pracowały w pobliżu siebie, długo jednak żadna się nie odzywała.

– Jak tu skończymy, trzeba jeszcze poprzycinać róże, skosić trawnik, wykopać uschnięte drzewko, wygładzić kretowiska... – westchnęła w pewnym momencie Julia, prostując się. – Może łatwiej by było wypalić to wszystko do gołej ziemi...

– Może – przyznała Karina i syknęła, gdy chwyciła gołą ręką za pokrzywę.

– Weź rękawiczki – doradziła Julia. Karina zacisnęła zęby, odrzuciła pokrzywę na szybko rosnący stosik chwastów, zaczęła wrywać trawę rosnącą między tulipanami. Oczywiście, powinna była pomyśleć o rękawiczkach sama, ale nie miała zamiaru tego przyznać.

– Tak mi wygodniej – burknęła. Ostre źdźbło trawy przecięło jej palec

wskazujący, popłynęła krew. Karina, coraz bardziej wściekła, spojrzała na wciąż stojącą obok Julię. – Litujesz się nade mną? – spytała napastliwie.

– Bo zacięłaś się trawą...? – zdumiała się dziewczyna, wracając do pielienia. Rozzłoszczona Karina też zabrała się do wrywania chwastów, z taką energią, jakby każdy z nich był Julią.

– Bo mnie widziałas – syknęła, choć wcale nie chciała tego powiedzieć, nie chciała przywoływać tego momentu, gdy Julia weszła do salonu i zobaczyła, jak płacze. Ani tego, że przed niecałą godziną „szwagierka” miała okazję znów oglądać ją w stanie bliskim załamania.

Motylska uniosła nieco rondo kapelusza, żeby móc spojrzeć na Karinę. Wyglądała dość absurdalnie w tych starych, męskich ogrodniczkach, nowiutkich, błyszczących kaloszach w kwiaty, z białymi, gumowymi rękawiczkami na dłoniach i w eleganckim, staroświeckim kapeluszu. Zabawne, ale „absurdalnie”, nie znaczyło *źle*. Karina uważała, że sama prezentuje się tragicznie w znoszonych ciuchach. Do Julii pasowały.

– Nie sądzę, żeby w tym domu przebywała choć jedna osoba, która ostatnio nie ryczała, gdy nikt nie słyszał – stwierdziła Julia, uśmiechając się trochę ironicznie. – Sama chętnie bym się porządnie wypłakała. Dlaczego miałabym się nad tobą litować?

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Choć właściwie skąd miała wiedzieć, czego oczekiwać po tej dziewczynie? W przeciągu ostatnich czterech lat spotkały się może pięć razy, głównie przy okazji świąt bądź rodzinnych uroczystości, z których Julia szybko zniknęła. Wcześniej, w okresie narzeczeństwa i tuż po ślubie, owszem, Karina często gościła w Bluszczowym Dworze, zapraszana na ferie, Boże Narodzenie, Wielkanoc, wakacje, ale wtedy Julia była inna, cichsza, siedząca gdzieś z Kamilem lub Emilem, zwykle pochylająca się nad szkicownikiem.

– Ta rodzina to banda popaprańców – rzuciła tymczasem Julia beztrąsko, wracając do wrywania chwastów. – Oprócz cioci i wujka. Trochę niesprawiedliwe że tak cudownym ludziom dostała się dysfunkcyjna gromadka... Siebie oczywiście też w to wliczam.

– Co masz na myśli? – spytała Karina, mrużąc oczy ze złością. Czyżby i ją wliczono do tej „bandy popaprańców”? Nie czuła się poprana. Ani dysfunkcyjna. Michał z pewnością też nie był żadnym popaprańcem.

– Czy ja wiem... – mruknęła Julia, wyraźnie zamyślona. – Jo to duże dziecko. Robi karierę i nie radzi sobie z tym. Kam... szkoda słów. Zawsze był agresywny i złośliwy, musiałaś zauważyć. Emilowi nikt nie udowodni, że nie jest gorszy od innych, a ja... zresztą nieważne. Uważaj, podepczesz kwiaty.

Karina cofnęła się, znów kucnęła. Przez jakiś czas pracowały w milczeniu. Pani Bluszcz zerknęła co parę minut ku córkom, ale obie pracowały grzecznie, niekiedy przerywając, by ze śmiechem obserwować, jak Sasza porywa zbyt

wysoko wyrzucony chwast i zaczyna z nim biegać po ogrodzie.

– A Michał? – spytała w końcu niepewnie. Nie wiedziała, dlaczego. Co ją obchodziło zdanie Julii na temat męża? Może dlatego, że wciąż miała przed oczami widok ich dwojga na podłodze, w otoczeniu kartek, trzymających się za ręce? Co takiego powiedział przybranej siostrze? Coś o niej? Coś o... Cecylii?

– Mam wrażenie, że jest... zagubiony – odparła Julia po długim zastanowieniu. – Oczywiście, rzadko się widzimy, w ten weekend rozmawialiśmy może ze trzy razy, pewnie się mylę – zastrzegła szybko, zapewne nie chcąc zirytować Kariny. Ta jednak tym razem nie wpadła w złość, usiadła na trawie, przypatrując się Motylskiej uważnie.

– Zagubiony?

– Chodzi mi o... – Julia też porzuciła na chwilę pielenie, usiadła po turecku, ściągnęła ze spoconych rąk rękawice. Nawinęła na palec kosmyk włosów, przygryzła wargę. – Michał... Zawsze dokładnie wiedział, czego chce. Był z nas najbardziej odpowiedzialny, zorganizowany, pewnie dlatego, że najstarszy. Pewnie, nosił skórzaną kurtkę i długie włosy, ale tak naprawdę... miał wszystko zaplanowane. Dobra praca, poważne stanowisko, wysokie zarobki, śliczna żona, dwójka dzieci. I teraz... no wypełnił ten plan. I chyba nie wie, co dalej. Przepraszam, wygaduję głupoty.

– Zdradza mnie – powiedziała Karina zupełnie bezmyślnie, słowa same się jej wyrwały, błyskawicznie uniosła dłoń do ust, jakby chciała je jeszcze złapać, ale było za późno. Skręcała się wewnętrznie ze wstydu i złości pod poważnym spojrzeniem szarych oczu Julii. Dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie musiała to wyznać akurat jej?

– Jesteś pewna?

Skinęła głową, niezdolna do wydobycia głosu. Julia zdjęła kapelusz, zaczęła się nim bawić. Zawiał wiatr, przynosząc trochę ochłody, rozczochrał jej rude, krótkie włosy, szarpnął za kucyk Kariny.

– To... wydaje mi się... nieprawdopodobne. Sądziłam, że jesteście idealną parą.

– Widać, tylko mu się wydawało, że chce idealnego małżeństwa – stwierdziła Karina sucho. Ideały są nudne, zadźwięczało jej w głowie. Kto to powiedział? Ktoś w jakimś filmie? Albo komentując filmowego bohatera?

– Co zrobisz?

– Nie wiem. Chyba nic – powiedziała bardzo powoli, przeciągając sylaby, a potem słowa popłynęły same. Możliwe, że zbyt długo dusiła to w sobie, ale jak już zaczęła, nie umiała skończyć, choć Julia była ostatnią osobą odpowiednią do takich zwierzeń... Tylko czy była jakaś bardziej odpowiednia? Czy był ktoś, komu mogłaby o tym opowiedzieć, ktokolwiek? – To nie wyskok, nie robi tego z nudów, on ją kocha, jeśli każe mu wybierać, odejdzie. Uwierzysz, że ona wygląda gorzej

niz ja? Nie mówię tego z zazdrości, naprawdę, włosy i oczy ma piękne, ale twarz nieładną, chuda i bez figury. Lubi się wspinać. Wspinać, do licha, prawie się nie maluje, nie stroi i jest strasznie niezdarna! Cud, że nie zabiła się na tych swoich skałkach. Kompletnie nie umie tańczyć. Jest kiepskim pracownikiem, ale nikomu nie przyszłoby do głowy jej zwalniać, bo za bardzo ją lubią... A Michał oszalał. Nie umie wytrzymać, żeby się z nią nie spotkać chociaż raz dziennie. Nie wziął urlopu, choć zawsze jeździł z nami za granicę w wakacje. Znalazłam rachunek za cholerny naszyjnik, który kosztował majątek. Czuć od niego cudze perfumy. Nosi jej zdjęcie w portfelu, za zdjęciem dziewczynek! Nie wiem, dlaczego tak go omamiła. Dziwne, że wpadł odwiedzić mamę. Ona...

Urwała, pociągnęła nosem. Julia poruszyła się, jakby chciała ją objąć, ale zrezygnowała z tego pomysłu i Karina była za to wdzięczna. Nie zniosłaby takiego gestu z jej strony.

– Znasz ją?

– Nie bardzo. Klienci Michała podczas obiadu o niej wspominali. I... pomyślisz, że jestem żałosna... Sprawdziłam na Facebooku... – Nagle wybuchła histerycznym śmiechem, ukryła twarz w dłoniach, zapominając, że całe są utyłane w ziemi. Na policzkach zostały czarne ślady, w dodatku zaraz popłynęły łzy i gdy Karina wyobraziła sobie, jak musi wyglądać, zaczęła śmiać się jeszcze głośniejsze.

– Coś się stało mamie? – spytała Jula, podchodząc bliżej. Nie mogły słyszeć ich rozmowy, ale trudno, żeby nie zwróciły uwagi na dziwne zachowanie matki.

– Opowiedziałam jej żart – zareagowała natychmiast Julia. – Napracowałyście się już, idźcie umyć ręce, w nagrodę weźcie sobie z zamrażalnika po lodzie.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać, bliźniaczki natychmiast pognały do domu, ścigane przez Saszę, która nagle poderwanie się do biegu wzięła za zaproszenie do zabawy. Julia przeszukała liczne kieszenie swoich ogrodniczek, w końcu z jednej wyłowiła chusteczkę.

– Jesteś pewna... – zaczęła ostrożnie – że chcesz z nim dalej być?

– Nie mam dokąd pójść. Nie pracuję. Nie mam rodziny. Poza tym kocham go. Po co ja ci to właściwie mówię? – jęknęła Karina, próbując wytrzeć policzki.

– Nie wiem. Może komuś musiałaś, a ja się akurat napatoczyłam. Albo chodzi o to, że już mnie nie cierpisz i nie musisz teraz zacząć nienawidzić.

Julia znów założyła rękawiczki, odwróciła się do rozmówczynie plecami i zabrała do walki z chwastami przy grządce kawałek dalej. W pierwszym odruchu Karinę zirytował ten przejaw lekceważenia, w drugim dotarło do niej, że Julia dawała jej szansę na doprowadzenie się do porządku i zakończenie rozmowy w tej chwili. Udawanie, że nic nie zostało powiedziane.

– Ty pewnie nie masz takich problemów – rzuciła w przestrzeń.

– Jestem za to niezdolna do związania się z kimś na poważnie, z prawami do

wyłączności – odparła Julia. – Cholera! Wyrwałam nie to, co trzeba...

Uniosła kwiatek wyciągnięty razem z korzeniami, westchnęła głośno i zabrała za wsadzanie go z powrotem.

– Dlaczego?

– Źle złapałam... kurczę, a to taka śliczna roślinka – jęknęła Julia, starannie zasypując korzenie ziemią.

– Pytałam o...

– Wiem, wiem – westchnęła dziewczyna. – W porządku. Byłam kiedyś z Kamem.

– Z Kamem – powtórzyła Karina tępo. Nie, tego na pewno się nie spodziewała. Przez cały czas widziała Julię jako integralną część rodziny Bluszczów, córkę i siostrę, nie do końca mającą prawa do tych statusów. Nie wpadłaby na to, że relacje między nią a którymkolwiek z chłopców mogłyby być inne niż między bratem a siostrą. – Byliście... parą? Kiedy? Nic nie zauważyłam...

– O ile można tak to nazwać. Nic dziwnego, tylko Emil się zorientował. Zawsze przecież trzymaliśmy się razem. Hm... chyba od drugiego semestru drugiej licealnej. Miałam osiemnaście lat.

Karina z trudem powstrzymywała dziesiątki pytań cisnących się na usta, choć ciekawość niemalże ją zżerała. Dlaczego w takim razie nie byli razem? Dlaczego w ostatnich latach – co właśnie sobie uświadomiła – ani razu nie widziała ich we dwoje...? Na Boże Narodzenie w ich domu Kamil nie przyjechał, podczas Wielkanocy obchodzonej w Bluszczowym Dworze nie pojawiła się Julia. Tak było przez cały czas.

– Kam jest chorobliwie zazdrosny. Łatwo się wścieka, ma skłonności do manipulowania innymi, a w dodatku kiedyś był... no, *nic, co ludzkie, nie jest mi obce* i tak dalej. W pewnym momencie nie mogłam tego znieść. Jeszcze trochę i dostałabym pewnie załamania nerwowego.

Karina specjalnie się temu nie dziwiła. Zawsze trochę bała się Kamila i jego wybuchów.

– I? – spytała, nim zdążyła się powstrzymać. Julia uśmiechnęła się, wzruszając ramionami.

– I nic. Związałam do Warszawy. Rozmowa z nim nie miała sensu, przeniosłam się, kiedy był tydzień za granicą. Nie dałam adresu. Telefonów najpierw nie odbierałam, potem po prostu na niego nawrzeszczałam i zakazałam dzwonić... A później go unikałam, bo jeszcze zadźgałby mnie nożem za postąpienie wbrew woli wielkiego księcia. Co za idiotka ze mnie, że w ogóle się w to wpakowałam. Słuchaj, przyspieszmy trochę tempo, bo jak tak dalej pójdzie, przez ruski rok nie skończymy.

– Kochałaś go? – odważyła się wreszcie spytać Karina, niepewna, czy nie dostanie za to po głowie. Julia parsknęła śmiechem.

– Jasne. Tyle, że wielu rzeczy w nim nienawidziłam i ostatecznie nienawiść przeważyła. Tak samo jest z całą nieszczęsną Zgubą.

Karina westchnęła. Jeśli chodziło o nienawiść, to świetnie mogła to zrozumieć. Pytania nie wydawały się złościć ani peszyć Julii, dlatego zdecydowała, że jedno więcej nie zaszkodzi.

– A on ciebie?

– Co ty! Kam? On się zakochał śmiertelnie i na całe życie, gdy pierwszy raz zobaczył swoje odbicie. Po prostu zawsze byłam obok, łatwo było mnie kontrolować. Wygodniejszy układ. Tak przy okazji... dlaczego tak mnie nie znosisz?

Nagła zmiana tematu zbiła Karinę z tropu. Julia nie przerwała pracy, pozornie beztroska, jakby rozmawiały o czymś tak banalnym jak pogoda, sukienki albo fryzury. Przytrzymała kapelusz, którego omal nie porwał ostry podmuch wiatru, otarła pot z czoła i pochyliła się nad kolejną rabatką.

– Ty też mnie nie lubisz – stwierdziła Karina, próbując jakoś się ratować. Zawsze sądziła, że tak doskonale się maskuje. Zwodziła matkę, nauczycieli, koleżanki z klasy, znajomych z roku, mieszkańców akademika, tymczasem z tą trójką muszkietierów się nie udało.

– Wiesz, rzadko lubimy kogoś, kto nie lubi nas. Taka zabawna, ludzka cecha.

Nie należysz do zbyt sympatycznych osób. Pomyślałabym, że nikogo nie jesteś w stanie polubić.

– Miałaś wszystko bez żadnego wysiłku, przychodziło ci łatwo. O nic w życiu nie musiałaś się starać – wyznała w końcu. Nie próbowała nawet udawać, że pracuje, Julia jednak wciąż pochylała się nad rabatką.

– Marny powód. Skąd w ogóle to wiesz? Dlaczego sądzisz, że było mi łatwiej niż tobie? – spytała Motylska, a Karina znów poczuła napływ złości.

– Moja matka piła – warknęła, choć nie miała zamiaru się do tego przyznawać, nigdy, nikomu, pod żadnym pozorem. Mówiła zawsze, że ta nie żyje, umarła za granicą, trzymała się tej wersji nawet przed Michałem. Nie zaprosiła matki na własny ślub. Nie powiadomiła jej o istnieniu wnuczek. – Musiałam pracować na każdy grosz. Chować przed nią pieniądze. Uczyłam się, bo chciałam od niej uciec. Wolałabym być sierotą. Ty mieszkałaś sobie w tym pięknym domku, dostałaś wszystko, a ja tkwiłam w melinie pijackiej.

– Licytujemy się, kto ma gorzej? – zażartowała Julia. – Hej, nie trafiłam tu bez powodu. Matki nie pamiętam, ojciec wyładował w więzieniu.

– W więzieniu? – zdumiała się Karina. Córka przestępcy, pomyślała z pewną satysfakcją, bo jedna rozmowa wcale nie zmieniła jej podejścia do Motylskiej. Córka więźnia.

Dziecko alkoholiczki, szepnęło coś.

– Żadnych rozbojów z bronią w rękę, spokojnie! Nie mam obciążeń

genetycznych, nie poduszę ci dzieciaków... Oszustwa podatkowe, ot wszystko. W dodatku tuż zanim trafił do aresztu, chodził podłamany, zaczął się upijać. Wcześniej mu się to nie zdarzało, ale raz zrobił awanturę na klatce schodowej, wezwano policję... I skończył z ograniczonymi prawami rodzicielskimi. Dalej uważasz, że miałam takie wspaniałe życie?

Niemniej trafiłaś tu, pomyślała Karina. Miałaś więcej szczęścia niż ja. Dlaczego tobie się udało, a mnie nie? To nie jest sprawiedliwe.

Do tej pory nie wiedziała wiele o biologicznych rodzicach Julii. Michał wspominał kiedyś, że Elżbieta i matka dziewczyny przyjaźniły się od czasów liceum, dlatego też Bluszczowie zdecydowali się zostać rodziną zastępczą dla małej. Nie zastanawiała się nigdy nad tym, dlaczego jej nie adoptowali. Pewnie dlatego, że ojciec oficjalnie nie stracił wszystkich praw.

– Dlaczego potem do niego nie wróciłaś?

– Miałam czternaście lat, kiedy wyszedł i wcale nie chciałam. A jemu było wygodniej bez dziecka. W porządku, skończyłam tutaj, pójdę wyciągnąć z garażu kosiarkę.

Wstała, zdjęła rękawice, roztarła kolana obolałe od klęczenia. Zanim odeszła, obejrzała się jeszcze przez ramię.

– Pamiętasz, że za dwa dni urodziny Elżbiety?

– Cholera! – zakląła Karina i odruchowo się rozejrzała, czy gdzieś w pobliżu nie ma dziewczynek. Od kilku lat nie przeklinała – była w końcu prawdziwą damą.

– Zapomniałam.

– Zapominamy o wielu rzeczach – westchnęła Julia, a jej głos brzmiał jakby trochę smutno. – Trzeba pojechać na zakupy. I przygotować tort.

Ostatni tort urodzinowy Elżbiety, uświadomiła sobie Karina. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale dziewczyna zdążyła odejść.

IX

Elżbieta

W dniu swoich urodzin Elżbieta obudziła się koło piątej nad ranem i długo wsłuchiwała w spokojny oddech męża, obserwując jego twarz. Uśmiechał się lekko, musiał mieć jakieś przyjemne sny, starała się więc ruszać jak najmniej, żeby przypadkiem go nie zbudzić. Za mało sypiał ostatnimi czasy; często, gdy otwierała oczy w środku nocy, odkrywała, że mąż wcale nie śpi, a przypatruje się jej, niespokojnie przewraca z boku na bok bądź siedzi na krześle przy oknie.

Ogromne okno ich sypialni wychodziło na wschód, miała więc z łóżka doskonały widok na różowiejące niebo. Zawsze lubiła wstawać na tyle wcześnie, żeby móc podziwiać wschód słońca. Gdy dzieci były jeszcze małe, w te dni, w które Marek pracował w Krakowie, wychodziła na zewnątrz, żeby obserwować ogród o świcie. Później cichutko zaglądała do pokoi i patrzyła na uśpione dzieci. Michała, zawsze skopującego kołdrę na ziemię, Jowitę, której zdarzało się cichutko pochrapywać, Kamila, często rzucającego się po posłaniu, jakby we śnie z kimś walczył, Emila, zwykle śpiącego spokojnie na wznak i wreszcie Julię, skuloną w kłębek, jak gdyby chciała zająć sobą jak najmniej miejsca. Z żalem zrezygnowała z tego rytuału, kiedy Julia, najmłodsza, skończyła jedenaście lat. Wszyscy byli nastolatkami, od dawna nie potrzebowali bajek na dobranoc, nie bali się mroku i zasługiwali na odrobinę prywatności.

Marek poruszył się, otworzył oczy. Uśmiechnęła się, pogłaskała go po siwiejących włosach. Wskazówki zegara ściennego zdążyły się przesunąć od chwili, w której się obudziła, teraz wskazywały siódmą. Przynajmniej jedna osoba musiała wstać, pomimo wczesnej pory, bo gdzieś trzasnęły drzwi.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie – powiedział, powoli podciągając się do pozycji siedzącej. Znów zgubił guzik. Wciąż mu one odpadały: od piżamy, od koszuli, od palta, ponieważ miał zwyczaj ciągnięcia za nie, gdy się zamyślił. Przyszywała je dziesiątki razy i teraz przyszło jej do głowy, że Marek albo nauczy się sam to robić, albo będzie chodzić z oberwanymi guzikami. Zaraz jednak odsunęła tę myśl na bok, bo były jej urodziny i czuła się dobrze, zupełnie tak, jakby była zdrowa. Nawet ból w stawach, do którego zdążyła już przywyknąć, dziś był niemal nieodczuwalny.

– Piękny dzień – mruknęła, gdy mąż pocałował ją na dzień dobry.
– Jak się czujesz? – Dotknął wierzchem dłoni czoła Elżbiety, sprawdzając, czy nie ma gorączki. Uśmiechnął się, bo skóra kobiety była chłodna.
– Doskonale. Myślę, że wstanę dzisiaj.
– Może poleż jeszcze trochę? – zasugerował. – Jest wcześnie. Przyniosę ci śniadanie. Masz ochotę na coś specjalnego?

Przesunęła się, oparła głowę o klatkę piersiową Marka, wsłuchując się w bicie jego serca. Przymknęła oczy, kiedy otoczył ją ramieniem i przytulił policzek do jej włosów.

– Może mam – przyznała, stwierdzając ze zdumieniem, że jest głodna, choć ostatnio na nic nie miała apetytu. – Na kanapkę. Koniecznie z nutellą. Ale zostań ze mną jeszcze przez chwilę. Dobrze mi tutaj.

Mocniej przytulił Elżbietę, milczał jednak. Pewnie bał się, że zawiedzie go głos. Ścisnęła dużą, mocną dłoń męża, próbując w jakiś sposób dodać mu otuchy. Każdego dnia starał się pokazywać jej pogodną twarz, śmiać się i żartować, lecz dobrze wiedziała, ile to go kosztuje. Tamtej nocy, gdy wrócili do domu po tym, jak usłyszała od lekarza, że powinna uporządkować swoje sprawy, leżeli na łóżku w ciemnościach, a Marek płakał po raz pierwszy i ostatni, wtuliwszy twarz w jej włosy.

Otworzyła oczy. Nie będzie o tym myśleć, nie dziś.

– To jak będzie z tą kanapką?

*

W ostrym świetle lustro bezlitośnie pokazywało wszystkie mankamenty ciała Elżbiety, niemłodego już przecież, a w dodatku zniszczonego przez chorobę. Błądą twarz, zmarszczki wokół oczy i ust, siwe pasma we włosach, cienie pod oczami, zapadnięte policzki. Ubranie skrywało także inne niedoskonałości: wychudzenie, blizny, żółtawe przebarwienia na żebrach. Mimo to zachowała przecież pewne ślady dawnej urody: ogromne, niebieskie oczy, długie rzęsy, prosty nos i ładnie wykrojone usta. A Marek, na każdym przyjęciu firmowym najprzystojniejszy w swojej grupie wiekowej, zawsze dostrzegał tylko ją, jakby nieświadomy spojrzeń innych kobiet. Teraz też pochylał się, by zapiąć na szyi Elżbiety srebrny łańcuszek. Pocałował ją w policzek.

– Ślicznie wyglądasz w tej sukience.

– Pochlebca! – Roześmiała się, choć wiedziała, że naprawdę tak myśli. Niebieska, prosta suknia miała już swoje lata, ale zachowała żywy kolor i nie

wyszła z mody. – Wszyscy są w domu?

– I kłóć się od rana. Było tak spokojnie, póki się nie zjechali – parsknął Marek, udając niezadowolenie. W rzeczywistości był przecież równie szczęśliwy jak ona, że znów mają pod dachem niemal wszystkie swoje dzieci. Emil przez ostatnie dwa lata po zrobieniu licencjatu mieszkał z nimi, raz w tygodniu jeżdżąc do Krakowa, żeby poprowadzić swoją audycję, poza tym jednak zbyt rzadko widywali synów i córki. Kamil wpadał na dwa, czasem trzy dni w miesiącu, ale Jowitę, Michała i Julię spotykali tylko parę razy do roku.

– Kiedy ich zostawiałem, Kam i Julia szykowali się do regularnej bitwy – obwieścił. W tym samym momencie zza otwartych drzwi wychynęła ruda głowa. – Oho, o wilku mowa. Czy mój najmłodszy syn wciąż żyje, czy też pozostawiłaś go w kałuży krwi na środku kuchni i przysłałaś ogłosić swoje zwycięstwo?

– Żyje, żyje, Karina bezczelnie w ostatniej chwili odebrała mi nóż, żeby pokroić warzywa – westchnęła dziewczyna, wchodząc do pokoju. – Przyszłam spytać, czy ci nie pomóc, ciociu, ale widzę, że zdążyłaś się wystroić.

– Za to możesz pomóc mi z fryzurą – zarządziła Elżbieta.

– Zostawię was same – powiedział Marek. Julia stanęła za Elżbietą, sięgnęła po szczotkę i zaczęła ostrożnie rozczesywać jasne włosy. Ona też się „wystroiła”. Od przyjazdu nosiła głównie szorty i kolorowe podkoszulki, dziś jednak, zapewne aby uczcić urodziny Elżbiety, założyła wesołą, zieloną sukienkę w złociste słoneczniki. Na głowie miała niezbyt umiejętnie zrobiony wianek, ozdobiony stokrotkami.

– Ładna sukienka. I ładny wianek – pochwaliła Elżbieta, obserwując odbicie przybranej córki. Julia zmieniła się najbardziej ze wszystkich dzieci, nie tylko w wyglądzie, ale i zachowaniu. W większości były to zmiany na lepsze, choć pani Bluszcz tęskniła czasem za tamtą poważną dziewczynką, pochyloną nad szkicownikiem.

– Tę cudną ozdobę dostałam od Julki, nie zdziw się, bo dla ciebie ma identyczną. Co do sukienki, przyznam ci się do czegoś, ale nie zdradź mnie przypadkiem – oznajmiła konspiracyjnym szeptem. – Dałam za nią całe dziewięć pięćdziesiąt. Kasia wygrzebała mi ją w ciucheksie.

– Twój sekret jest u mnie bezpieczny – zapewniła Elżbieta poważnie, walcząc z uśmiechem. Przynajmniej stolica nie sprawiła, że dziewczyna stała się zblazowana. Michał skarżył się na początku, że niektórzy z rdzennych warszawiaków są zbyt zmanierowani.

– Nawet Karina ją pochwaliła, wyobraź sobie. Ale na pewno straciłaby do mnie szacunek, gdyby się dowiedziała, gdzie to kupiłam – zaśmiała się Julia, zabierając się do splatania francuskiego warkocza. – Próbowала ubrać odświętnie Asię i Julę, ale Jula najpierw ubrudziła spódnicę musztardą, potem wylała na siebie sok, a wreszcie rozdarła bluzkę. A że wczoraj, na zakupach, przewróciła się,

rozdzierając sukienkę na kolanie, skończyły się eleganckie ubranka. Podziwiam spokój Kariny, mnie by ręce opadły.

Elżbieta słuchała tej przemowy, chichocząc w duchu, zastanowił ją jednak sposób, w jaki Julia mówiła o żonie Michała. Trudno było przeoczyć niechęć między tymi dwiema, nie lubiły wspominać o sobie nawzajem, teraz zaś Julia mówiła o Karinie zupełnie normalnie.

– Jo cierpi na burzę hormonalną. Rozryczała się, ni z tego, ni z owego, nad rosółem, aż potem się zastanawiałyśmy, czy trzeba go będzie solić, skoro już zrobiła to łzami. Chwilę później promieniała, bo zadzwonił do niej jakiś dziennikarz, żeby umówić się na wywiad w sprawie tego nowego filmu.

Elżbieta przygryzła lekko wargę. Starła się nie pokazywać po sobie, jak bardzo martwi się o Jowitę, najmniej odpowiedzialne ze wszystkich dzieci. Mogłoby się wydawać, że arogancki Kamil powinien wzbudzać więcej niepokoju, ale on zawsze umiał sobie poradzić. Tymczasem Jowitka przybiegała z płaczem, ilekroć rozbiła sobie kolano, wciąż szukała u kogoś pomocy i z wieloma sprawami sobie nie radziła. A teraz? W dodatku niechętnie mówiła o ojcu swojego potomka, odpowiadając na wszystkie pytania wymijająco. Kobieta westchnęła, czując jednocześnie lekkie ukłucie w sercu – nie sądziła, by było jej dane poznać wnuczkę. Nie dowie się, jak ta dostanie na imię, nigdy nie weźmie dziecka na ręce, dziewczynka będzie znać babcię tylko ze zdjęć i opowieści. Elżbieta zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy. Tak wiele ją ominie. Nie zobaczy Julii w sukni ślubnej, nie zatańczy na weselu Jowity, nie przeczyta już żadnego artykułu Kamila, nie posłucha kolejnej audycji Emila, gdy ta powróci na antenę wraz z początkiem września. Nie będzie jej dane patrzeć na pierwszą komunię bliźniaczek ani zasiąść przy stole podczas trzydziestych urodzin najstarszego syna.

– Ciociu? – szepnęła Julia wprost do ucha kobiety, zarzuciła jej ramiona na szyję, jak wtedy, gdy była nastolatką. – Ciociu kochana, źle się czujesz? Chcesz się położyć? Zawołać wujka?

– Nie, Julianko, po prostu się cieszę, że tutaj jesteście – odparła Elżbieta. Zamrugnęła szybko kilka razy, na szczęście nie musiała ocierać oczu. – A powiesz mi, dlaczego planowałaś mord na moim synu?

– Zasłużył sobie na to już dawno – parsknęła Julia, niby wesoło, ale w lustrze wciąż odbijała się zaniepokojona twarzyczka. – Tym razem próbował dobrać się do ciastek.

Zasłużył, westchnęła Elżbieta w myślach. Ucieszyło ją i zdziwiło to, że dziewczyna teraz potrafi postawić się Kamilowi. Bywało, że był wobec niej niemiły, czasem wręcz okrutny, a choć matka karmiła go i nawet próbowała karać, nie umiała zmienić jego postępowania. Najmłodszy spośród synów Bluszczów cechował się nieprzewidywalnością, na przemian złośliwy i czarujący: dla rodzeństwa, kolegów, dziewcząt, nauczycieli. Wobec Julii postępował jednak

szczególnie okropnie; w pierwszych tygodniach pobytu małej pod dachem Bluszczowego Dworu Elżbieta zaczęła się nawet obawiać, że będą musieli szukać dla dziewczynki innego domu. A pewnego dnia, gdy zeszła w nocy na dół, usłyszała szepty dobiegające z pokoju Julii. Gdy zajrzała do środka przez uchylone drzwi, ze zdumieniem odkryła, że dzieci siedzą razem na podłodze w piżamach. Dziewczynka płakała i Elżbieta już miała wpaść do środka rozzłoszczona, że chłopiec doprowadził przybraną siostrę do łez, kiedy dotarło do niej, że to właśnie Kamil ją pociesza. Wtedy uświadomiła sobie, że choć często dokuczał małej, to ciężko było zobaczyć ich osobno. W pewnym sensie przywiązał się do tej nowej siostry znacznie bardziej niż do Jowity i braci, choć jego zachowanie często niepokoiło Elżbietę. Trzech muszkietarów, śmiał się czasem Marek, kiedy dwaj najmłodsi synowie szli gdzieś z Julią.

– Przepięknie – uznała Julia. – Bohaterka dnia gotowa na swoje wielkie wejście?

– Wiesz, że cię kocham, prawda? – powiedziała Elżbieta nieoczekiwanie, odwróciła się i pogłaskała dziewczynę po policzku. – I to trochę podłe z mojej strony, ale ciesz się, że cię mam.

Czasem czuła się tak, jakby okradała dawną przyjaciółkę z należnych jej uścisków, pocałunków, laurek, uśmiechów. Wiedziała, że to absolutnie irracjonalne wyrzuty sumienia, że Julia potrzebuje czyjejś miłości, a jednak czasem powracało nieprzyjemne uczucie, że zabiera coś nie swojego. Zwłaszcza że córka Gosi w niczym nie przypominała matki, ciemnowłosej, ciemnookiej, narwanej i trzpiotowatej, mającej skłonności do wdawania się w romanse.

– Ja... ja wiem. Też cię kocham – wykrztusiła Julia. – Chodźmy... na dół. Czekają na nas.

Rzeczywiście czekali, wszyscy bardzo eleganccy, może oprócz małej Julki, rozczochranej, ubranej w spodenki i bluzeczkę, siedzącej obok siostrzyczki wystrojonej w białą, koronkową sukienkę. Ktoś popisał się poczuciem humoru i wręczył jej stare, diable rogi, które Kamil dostał kiedyś od starszego brata, „bo tylko ich mu brakowało”. Diabełek i aniołek, pomyślała rozczulona Elżbieta. Martwiła się czasem troszeczkę, że ta różnica charakterów odbije się na którejś z dziewczynek, może na Julci, która będzie ciągle porównywana do grzeczniejszej siostry, a może właśnie na Asi, zepchniętej w cień przez bardziej żywiołową bliźniaczkę.

– Planujecie wykarmić pułk wojska? – spytała, kiedy Marek odsunął dla niej krzesło. Na stole trudno byłoby znaleźć choć odrobinę wolnej przestrzeni, został zastawiony półmiskami z sałatkami, ciastami, szynkami, rybą i owocami. Musieli przygotowywać to od wczoraj, a może jeszcze wcześniej.

– To jej wina – naskarzyła Julia, pokazując palcem na Karinę. Elżbieta z bezbrzeżnym zdumieniem odkryła, że Julia nie zajęła swojego zwykłego miejsca

między chłopcami, stała teraz u boku żony Michała. Różne, zupełnie różne kobiety, dziś widać było to szczególnie wyraźnie. Szeroko uśmiechnięta, niska Julia, w tej zabawnej, zwiewnej sukience, w wianku na rudych, krótkich włosach, gdyby dostała jeszcze bukiet bazi, mogłaby grać wiosnę w dowolnym przedstawieniu. Znacznie wyższa od niej Karina miała na sobie elegancką, obcisłą, ciemnoniebieską suknię, zakręciła loki, starannie się umalowała, a na przegubach pobrzękiwały ciężkie, srebrne bransolety. Wyglądała, jakby wybierała się na bal. Zima, chłodna zima.

– Nie dało się jej wyciągnąć z kuchni – kontynuowała Julia. – Pędziła mnie do pracy jak poganiacz niewolników, bo Jo, jako kobieta w ciąży, cieszyła się taryfą ulgową.

– Zamiast tyle mówić, podaj mi talerze, naleję zupę – ucięła Karina stanowczo, zdejmując przykrywkę od wazy. Zapachniało pieczarkową, ulubioną zupą Elżbiety.

– Popieram pomysł! Ja pierwsza! To znaczy druga, zaraz po mamie – zażądała natychmiast Jowita.

*

Na prośbę Elżbiety po obiedzie wyniesiono stół oraz kilka krzeseł na zewnątrz. W ogrodzie zresztą czekała kolejna niespodzianka. Kobieta ze zdumieniem odkryła, że ktoś skosił trawę, powyrywał chwasty, poprzycinał krzaki, poobcinał pożółkłe liście. Wykopano też jedno z kompletnie uschłych drzewek, a na jego miejscu pojawił się świeżo zasadzony krzew róży. Elżbieta podeszła, aby przyjrzeć się roślince. Miała różne odmiany róż, ale tej nie знаła.

– Co to za wróżki zajęły się tak pięknie moim ogrodem?

– Karina, ja i oczywiście nasze dzielne bliźniaczki – oznajmiła Julia. Ruszyła ku kobiecie i objęła ją w pasie. – A to prezent urodzinowy. Kupiona w doniczce, więc może się przyjmie, choć róże lepiej przesadzać jesienią... Nazywa się Queen Elizabeth.

Liście Królowej Elżbiety były ciemnozielone, duże, skórzaste, wielkie kwiaty miały głęboką, różową barwę. Kiedy Elżbieta przykucnęła, wyczuła słabą woń, która przywodziła na myśl zapach herbaty.

Julia zawsze umiała wybrać udany prezent.

– To ode mnie, babciu – powiedziała mała Jula, podbiegając z wiankiem ozdobionym lekko już przywiedłymi kwiatkami. Elżbieta kucała, więc pochyliła tylko głowę, pozwalając wnuczce udekorować swoje włosy.

– Dziękuję, diaboliczko. Jest prześliczny.

– Proszę! – Asia natychmiast pozazdrościła siostrze, przybiegła ze zmiętoszonym bukietem, do którego oprócz kwiatów trafiło też trochę trawy i chwastów. Elżbieta uściskała dziewczynkę, przyjęła bukiet. Karina tymczasem znikła na chwilę w domu, by powrócić z ogromnym tortem. Szła ostrożnie, bo Sasza plątała się jej pod nogami, spoglądając na arcydzieło sztuki cukierniczej z miłością w ciemnych ślepiach.

– Cudowny. Jesteś doskonałą kucharką – zapewniła Elżbieta, wracając do stolika. Uśmiechnęła się do synowej – wiedziała, jak Karina łąsa jest na wszelkie komplementy. Choć śliczna i utalentowana, nie cierpiała na nadmiar pewności siebie, nawet jeśli mogło wydawać się inaczej.

– Mamo... – Jowita ścisnęła w rękach dużą, brązową kopertę, uśmiechając się dość nerwowo. Zupełnie jak nie ona. Kto jak kto, ale Jo nigdy nie miała kompleksów lub przynajmniej dobrze udawała. – Ja... proszę. To dla ciebie.

Elżbieta przyjęła kopertę, usiadła na wiklinowym fotelu wyniesionym specjalnie dla niej, starannie wyścielonym kocem. Inni musieli zadowolić się zwykłymi krzesłami. Ostrożnie otworzyła swój prezent, myśląc mimowolnie o tym, jak rodzaj wręczanych upominków świadczył o charakterze jej dzieci. Julia zawsze próbowała uszczęśliwić obdarowanego, Jowita kupowała pierwszą lepszą rzecz, Michał standardowo wręczał kwiaty i czekoladki, Kamil niechętnie rozdawał prezenty, ale jeśli to robił, zazwyczaj było to coś niezwykłego. Emil najczęściej zdawał się na pomoc Julii, zaś Karina wybierała rzeczy drogie i robiące wrażenie, jak biżuteria lub markowe perfumy.

Tym razem w kopercie jednak nie znalazła się pierwsza rzecz, jaką Jowita ściągnęła ze sklepowej półki. Elżbieta wyciągnęła czarno-biały wydruk USG przedstawiający drobną istotkę, przyciskającą zaciśniętą piąstkę do czoła. Moja wnuczka, pomyślała kobieta, czując, że łzy napływają jej do oczu, wywołane falą wzruszenia, lecz także smutku, bo pewnie nigdy nie zobaczy tej kruszynki inaczej niż na tym zdjęciu. Marek stanął za plecami żony, położył rękę na jej ramieniu.

– Ma na imię Ela – dodała Jowita, pociągając nosem. Elżbieta westchnęła tylko, w obawie, że się rozplacze, jeśli otworzy usta. – Dajcie mi wreszcie tego tortu, bo się tutaj rozryczę! Jestem kobietą w ciąży, mam prawo być rozstrojona emocjonalnie...

– Jo i tak nie przebijemy, ale proszę – parsknął Kamil, kładąc przed matką książkę, jak zwykle nieopakowaną w żaden papier. Emil podsunął jej płytę. Elżbieta z trudem oderwała wzrok od podobizny najmłodszej wnuczki.

– Aż szkoda pokroić to чудо, ale Jowita ma rację, zróbmy to, zanim krem zacznie spływać. Potem... Marek?

Odchyliła głowę w tył, by spojrzeć na męża, wciąż stojącego nad nią. Obdarzył ją wymuszonym uśmiechem, ale posłusznie ruszył do domu, doskonale

wiedząc, czego oczekiwała. Miała bardzo konkretne plany urodzinowe i zamierzała zrealizować je co do joty, a nie kończyły się na leżeniu w ramionach Marka i urodzinowym obiedzie spędzonym w gronie najbliższych.

Oparła się wygodniej, spod przymrużonych powiek obserwując Julię i Karinę rozdające wszystkim tort, słuchała toczonych przy stole rozmów. Czuła ciepłe słońce na policzkach, musiało jednak być już koło szesnastej, bo cienie drzew powoli przysłaniały coraz większą część ogrodu. Jej pięknego, pełnego róż ogrodu, w który przez lata włożyła tyle pracy, czasu, pieniędzy i miłości, a który marniał w ostatnich miesiącach. Barwny motyl przeleciał nad stolikiem, usiadł na brzegu dzbanka z sokiem, przyniesionego wraz z talerzami pełnymi ciastek i kanapek. Któraś z bliźniaczek wydała z siebie okrzyk zachwytu, ale motyl odleciał zaraz, spłoszony gwałtownym ruchem Kamila. Elżbieta przyjęła kawałek ciasta, choć tak naprawdę nie miała ochoty na więcej jedzenia. Zmęczenie zaczynało dawać o sobie znać, mimo to powrót do pokoju i odpoczynek były ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili pragnęła. Chciała zostać tutaj z nimi, zostać jak najdłużej, jakoś wytrzymać jeszcze trochę.

Marek wrócił z pudełkiem, usiadł obok żony i wziął ją za rękę. Poczekala, aż każdy dokończy swoją porcję, dopiero wtedy zdjęła pokrywkę. W środku leżało kilka pakunków różnych rozmiarów i kształtów, przygotowanych przez Elżbietę jeszcze przed paroma tygodniami, gdy wciąż czuła się dość dobrze, by wstawać z łóżka, a nawet wychodzić z domu.

– Moje dzieci – zaczęła, a wszyscy umilkli, zwracając ku niej głowy. – Zwykle to jubilat dostaje prezenty... zresztą wręczyliście mi wspaniałe upominki. Ja także mam coś dla was.

Julia wypuściła szklankę, cola rozlała się po trawie, nietknięte naczynie potoczyło po ziemi. Elżbieta uśmiechnęła się do niej pocieszająco, dostrzegając na piegowatej twarzy przybranej córki wyraz niemalże paniki. Inni jeszcze nie zrozumieli, ale ona musiała pojąć, czym miały być te podarunki.

Elżbieta nie chciała, by dostali je pogrążeni w rozpacz, by nie umieli się z nich cieszyć. Pragnęła widzieć, jak dzieci dostają najcenniejsze spośród jej skarbów.

– Jo, kochanie, obiecałam ci, że dostaniesz to w prezencie ślubnym. Mam nadzieję, że jeszcze je założysz na własne wesele, jak ja, a wcześniej moja matka. I że kiedyś będzie je nosić... Ela.

Jowita ujęła pudełeczko, w którym leżał naszyjnik Elżbiety, sznur pereł do trzykrotnego owinięcia szyi, jedyna naprawdę piękna biżuteria, jaką ta odziedziczyła po swojej matce. Stanowiły podobno podarek od bogatego chrzestnego i tym sposobem trafiły do niezbyt zamożnej rodziny Zarzyckich.

– Przepraszam! – jęknęła Jowita, podniosła się, uściskała matkę i tak szybko, jak pozwalała jej na to tusza, pobiegła do domu, wciąż ściskając podarek.

Prawdopodobnie miała zamiar spełnić swoją wcześniejszą groźbę i wreszcie „się rozryczeć”.

– Chodźcie tutaj, moje złote – poprosiła Elżbieta, wyciągając ręce ku bliźniaczkom. Obie dziewczynki zeskoczyły z krzesełek, Julia podparła się łokciami o jej kolana, Asia przyłgnęła do ramienia babki. – To dla was. Na razie przechowa je wasza mama, bo to biżuteria na specjalne okazje. Te dostałam od mamy dziadka na święta. Te są od jego siostry. Zobaczcie.

Dla dziewczynek wybrała kolczyki, przede wszystkim dlatego, że obie pary były podobne i żadna z małych nie mogła zazdrościć drugiej. Ponadto należały do jej najładniejszych i najbardziej ulubionych ozdób, chętnie noszonych na przyjęcia czy uroczystości rodzinne. Złote, dość długie, te dla Julki ozdobione dwoma małutkimi szmaragdami, a te dla Asi – niebieskimi szafirami. Upominek zbyt drogi i elegancki dla pięciolatek, ale przecież nigdy więcej nic od niej nie dostaną.

– Karino...

Synowa wstała, podeszła bliżej, stając za córkami. Odruchowo je objęła, uśmiechając się blado, gdy zademonstrowały swoje prezenty.

– Nie liczcie tylko, że pozwolę wam je założyć wcześniej niż na pierwszą komunię – oznajmiła pozornie srogim tonem, nie patrząc na Elżbietę. Czyżby nawet teraz sądziła, że może nic nie dostać?

– Daj rękę – zażądała Elżbieta. Chwyciła dłoń synowej i zacisnęła jej palce wokół misternie wykonanej broszki w kształcie róży, której liście i łodyżkę zrobiono ze srebra, kwiat z bursztynu. – Marek dał mi to, gdy urodził się Michał. Cieszę się, że... znalazł ciebie. Swój prezent dostał, kiedy tu był. Moje błękitne filiżanki Rosenthala też są twoje, pamiętam, że się nimi zachwyciłaś.

Karina wpatrywała się w ozdobę, przez chwilę wyglądając tak, jakby miała zamiar pójść w ślady Jowity. Zaraz jednak wzięła się w garść, pochyliła i ucałowała policzki Elżbiety.

– Bardzo dziękuję, mamu. Jest piękna – oświadczyła zupełnie opanowana. – No już, dajcie mi te kolczyki, zanim je zgubicie.

– Emil... synku...

Podniósł się, niezdarnie ruszył ku niej, kierując się głosem. Gdy przebywał w domu, którego rozkład mebli i ścian znał na pamięć, można było niemalże zapomnieć o tym, że jest niewidomy. Teraz jednak, kiedy omal nie wpadł na Karinę, Elżbiecie po raz tysięczny ścisnęło się serce. Jej biedny, dzielny syn, jej dziecko.

– Nosiałam go prawie przez całe życie – wyszeptwała, przyciągając chłopaka bliżej, tak aby nikt inny nie usłyszał. – Niech ci pomaga. Możesz wszystko. Jesteś wspaniała.

Jego prezent mógł się wydawać skromny w porównaniu z tym, co dostali inni: niewielki, srebrny krzyżyk na cienkim łańcuszku. W dzieciństwie nie

rozstawiała się z nim nigdy, później zdejmowała jedynie w chwilach, gdy sięgała po bardziej wyszukaną biżuterię. Emil ostrożnie obracał wisiołek w palcach, poznając jego kształt.

– A to, jeśli kiedyś wreszcie znajdziesz wartą ciebie dziewczynę – poinformowała wesoło już głośniejszym głosem, wręczając mu niewielkie, podłużne pudełeczko z bransoletką z białego złota. – Chciałabym, aby twoja wybranka miała coś ode mnie. Zawsze lubiłam ją nosić.

Milczał, sztywno wyprostowany, kurczowo zaciskając rękę na krzyżyku, aż Elżbieta zaniepokoiła się, czy się nie zrani. Ramiona krzyża były wystarczająco ostre, aby przy silnym chwycie się skaleczyć. Nie wierzył, nigdy nie wierzył, że może wszystko, ani w to, że kiedyś komuś ofiaruje tę bransoletkę.

Najbardziej wycofane z jej dzieci. Nigdy nie miał przyjaciół, żadnych oprócz Julii. Przybycie dziewczynki stanowiło największe dobrodziejstwo dla Emila, mimo to nawet ukochana przybrana siostra nie mogła doprowadzić do tego, by uwierzył w siebie.

Gdy Elżbieta spojrzała na Kamila, ten podszedł i ukląkł przed nią z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Pokerowa twarz, pomyślała, przypominając sobie, że przecież zawsze wygrywał w karty i umiał blefować jak nikt. Choć potrafiła doskonale odgadnąć nastrój Emila, w Michale czytała jak w otwartej książce, chociaż zazwyczaj przejrzenie aktorskich wybiegów Jowity nie stanowiło dla niej problemu, a często dostrzegała, kiedy coś nie tak było z Julią, nigdy nie wiedziała, co dzieje się w sercu najmłodszego syna. Nie wiedziała, kiedy był smutny, kiedy kłamał, kiedy potrzebował pomocy. Tylko z jego szafy nigdy nie wyganiała potworów, tylko jego nie tuliła, gdy rozplakał się po upadku, tylko jego nie pocieszała po ciężkim dniu w szkole.

Pogłaskała go po policzku, nie wiedząc, co powiedzieć. W ciszy zapięła mu na przegubie zegarek, jedyne, co jej pozostało po bracie. Podała mu drugie, niewielkie pudełeczko. Gdy zajrzał do środka, uśmiechnął się krzywo, ale ukrył je w kieszeni.

– Oddam to w dobre ręce – obiecał cicho. – Może jeśli Emil... albo któremuś z twoich wnuków.

Podniósł się z klęczek, stanął obok. Julia nie poruszyła się jednak, nawet wtedy, gdy Elżbieta wezwała ją po imieniu. W końcu to Kamil chwycił jej łokieć i lekko pociągnął. Wstała posłusznie, jak za dawnych czasów, gdy wystarczyło parę słów albo gest, aby postąpiła tak, jak chciał. Popchnął dziewczynę lekko ku matce. Podeszła dwa kroki, uklękła, bezwładna jak lalka.

– Julianko – powiedziała Elżbieta, łącząc pierwsze i drugie imię Julii. – Mój kochany Motyłu. Uśmiechnij się dla mnie.

Julia spełniła prośbę, choć jej uśmiech był wymuszony. Zdobyła się na trochę bardziej szczerą, gdy przyjęła okrągłą, granatową pozytywkę, zdobioną we

wzór z księżyców i gwiazd. Elżbieta nakręcała ją w ponure, deszczowe dni i doskonale wiedziała, jak bardzo Julia lubiła wygrywaną melodię.

Gdy jednak został wyciągnięty ostatni prezent, dziewczyna nie sięgnęła po niego, powoli kręcąc głową. Rozpoznała kasetkę, w której znajdowała się ozdoba równie cenna emocjonalnie jak perły, ofiarowane Jowicie, i z pewnością tak samo droga.

– Nie noszę biżuterii – stwierdziła. – Nie takiej. Powinna ją dostać Jo. Ja nie jestem...

Julia urwała gwałtownie, uciekając wzrokiem w bok. Uśmiech, do tej pory nieschodzący z ust Elżbiety, znikł. Domyśliła się, co dziewczyna chciała powiedzieć i to zabolalo, troszeczkę zabolalo, choć wiedziała przecież, że Julia nigdy nie uraziłaby jej umyślnie.

Marek przechylił się ku przybranej córce, szepnął coś tak cicho, że Elżbieta raczej odgadła, niż usłyszała treść wypowiedzi. Jedno słowo: „jesteś”. Julia spuściła głowę, wpatrując się w księżycy na wieczku pozytywki. Kamil stracił cierpliwość, chwycił kasetkę i wyjął naszyjnik ze srebra. Trzy kamienie w kształcie łez załśniły głęboką, ciemną zielenią.

– Pokaż to – zażądał szorstko, odgarniając z karku Julii krótkie, rude kosmyki. Przez chwilę walczył z zapięciem, w końcu się odsunął. Dopiero wtedy Julia się poruszyła, przylgnęła do Elżbiety, kurczowo zaciskając ramiona wokół jej szyi.

– Przepraszam – wymruczała prosto do ucha kobiety. – Jestem niepoprawna. Psuję ci urodziny. Kocham cię, ale...

– Czasem mam wrażenie, że „ale” to jedno z najpaskudniejszych słów na świecie – zaśmiała się Elżbieta w odpowiedzi. Zerwał się wiatr, poniósł ze sobą wianek z głowy Julii. Dziewczyna wstała, roztarła kolana, na których zostały ślady po klęczeniu na trawie.

– Wróćmy do środka – zaproponował Marek. – Zaczyna wiać. Niedługo zrobi się chłodno.

Bał się pewnie, że żona znów złapie anginę albo zapalenie płuc. Gdy pierwszy raz zachorowała, wciąż ją prześladowały, wystarczyło na moment wyjść z domu, by zaczynała kaszleć i cierpieć na ból gardła.

– Idźcie, posprzątam tutaj – zarządziła Karina, sięgnęła po resztę tortu. Przekazała go Julii. – Dziewczynki, weźcie swoje talerzyki i zanieście do środka, dostaniecie dokładkę.

– Chcesz się położyć? – spytał Marek, gdy znaleźli się w salonie. Jowita zeszła z góry z oczyma wciąż zaczerwienionymi, ale już rozpromieniona, usiadła obok matki na kanapie i przylgnęła do jej boku. Bliźniaczki wbiegły do pomieszczenia, grzecznie zajęły miejsca na niskich pufach przy szklanej ławie, w oczekiwaniu na obiecaną dokładkę. Emil przemknął jak zwykle cicho, niczym

mysz, Elżbieta nawet nie zauważyła, w którym momencie znalazł się w fotelu. Ten chłopak był mistrzem w udawaniu, że go nie ma.

– Nie, jeszcze nie – zapewniła, choć czuła zmęczenie. Mała wskazówka starego, zabytkowego zegara znajdowała się w połowie drogi między szóstą a siódmą. Oznaczało to, że Elżbieta, która zaczęła się ubierać koło południa, spędziła poza łóżkiem siedem godzin, więcej niż w ciągu całego ostatniego tygodnia.

Julia przyniosła tort, za nią szła Karina z talerzami, pochód zamykał Kamil z dwoma krzesłami. Po trzech kursach uporali się z przeniesieniem wszystkich rzeczy z ogrodu. Gdy wszyscy już siedzieli w salonie, zapadła cisza, niezręczna i nieprzyjemna. Elżbieta westchnęła. Jej dzieci milczały znacznie częściej niż kiedyś, ich rozmowy były zdawkowe i trochę wymuszone. Odwiedzali ją nawet pojedynczo, a jeśli wychodziła do łazienki, odkrywała, że obaj synowie siedzą sami w pokojach, zapewne tak samo jak Julia. Dziś sytuacja zdawała się lepsza, mimo to znów powróciła cisza.

– Zagraj – poprosiła Kamila, który usiadł na swoim zwykłym miejscu, niskim stołku obok pianina. Zachęcała do gry wszystkie dzieci, ale Jowita wolała biegać z koleżankami, Emil nie chciał próbować, twierdząc, że to bez sensu, skoro nie widzi ani nut, ani klawiszy, Julia nie miała słuchu muzycznego, opanowała tylko podstawy. Ostatecznie na instrumencie grali tylko Michał i Kamil, mniej więcej na tym samym poziomie. Starszy brak wyczucia nadrabiał ciężką pracą, drugi z kolei, choć miał talent, nie wykazywał się cierpliwością. Potrafił zagrać coś ze słuchu, stworzyć jakąś melodię, ale często ze złością darł kartki zapisane nutami, zatrząskiwał wieko i nie wracał do gry przez długie tygodnie.

Kamil wykrzywił się niechętnie, po długiej chwili jednak usiadł przodem do pianina, spełniając prośbę matki. Uderzył w klawisze mocno, gniewnie, pierwsze dźwięki nie zabrzmiały więc dobrze, dopiero potem zaczęły tworzyć melodię. Najpierw szybką, później coraz wolniejszą – i smutniejszą. Tak przynajmniej zdawało się Elżbiecie.

Oparła głowę o ramię córki, opuściła powieki, nagle zbyt ciężkie, aby utrzymać oczy otwarte. Wsłuchiwała się w dźwięki pianina, później, gdy utwór dobiegł końca, w chichoty bliźniaczek, głosy męża i córek, choć nie wychwytywała pojedynczych słów. Kocham was, miała ochotę powiedzieć, ale to wymagałoby zbyt wiele energii.

Poczuła, że unoszą ją czyjeś ręce. Rozwarła oczy, by zobaczyć nad sobą twarz męża. Obym nie zapomniała, pomyślała półprzytomnie. Cokolwiek jest po drugiej stronie, jeśli jest, żebym tylko mogła go pamiętać... Nienawidziła samej idei reinkarnacji, możliwości odrodzenia się w innym ciele, gdzieś na krańcu świata, bez wspomnień o ciemnych włosach Marka, dobrych oczach, łagodnym uśmiechu.

– Dam radę iść sama – powiedziała, walcząc z sennością. – Możesz mnie puścić.

– Nie, nie mogę – odparł, mocniej przygarniając ją do piersi. Zarzuciła mu więc ręce na szyję, wdychając zapach jego wody kolońskiej.

– Tylko tobie nic nie dałam – wyszeptała mu do ucha, wtulając nos w jego szyję. Powieki zdawały się coraz cięższe, pozwoliła im więc opaść.

– Nieprawda – odpowiedział cicho, lecz tego już nie usłyszała.

X

Anna

Anna wyszła z domu po siedemnastej, kiedy słońce przestało tak niezdolnie przypiekać, a na niebie zaczęły pojawiać się pojedyncze chmury. Na głowę wcisnęła starą, niebieską dżokejkę odnalezioną gdzieś na dnie szafy, założyła adidasów odpowiednie na dłuższą wędrówkę, do plecaka wrzuciła szkicownik, butelkę wody, jabłko, dwie kanapki. I poszła. Gdzie nogi poniosą.

Poniosły najpierw w dół wzgórza ku zabudowaniom, drogą, którą w dzieciństwie przemierzała nieskończenie wiele razy, zmierzając do podstawówki, szkoły o (w tamtych czasach) zawrotnej liczbie około dziewięćdziesięciu uczniów. Przez trzy ostatnie dni nie padało, temperatura sięgała trzydziestu paru stopni i słońce przygrzewało niemiłosiernie, wszędzie więc było sucho, a kurz szybko pokrył buty Anny. Zdażyła się zgrzać, zanim po kilkunastu minutach dotarła do skraju lasu i minęła pierwszy dom, należący do rodziny Janickich, najbliższych sąsiadów. Parterowy budynek, kryty czerwoną dachówką, nie zmienił się przez ostatnie lata, nad płotem pokrytym wypłowiałą, zieloną farbą wyciągała gałęzie ta sama grusza, a ogród wciąż był zaniedbany, zarośnięty wybujałą trawą i pokrzywami.

Janickiego zapamiętała jako stałego bywalca schodów pod sklepem, przedwcześnie postarzałego mężczyznę o rozbieganym spojrzeniu. Nie przepadała za jego synami, złośliwymi chłopcami, którzy czasem bawili się z Kamem. Lubili dokuczać Emilowi, młodszy zaś często ciągnął Annę za włosy, za co kilka razy dostali lanie od Kamila. Pewnego dnia podbił jednemu z nich oko i rozwalił nos (nie pamiętała już, któremu), a potem nigdy więcej nie rozmawiali.

Kilkadziesiąt metrów dalej stała zniszczona chałupa starej Maciejewskiej, taka sama jak przed laty, może tylko płot przechylił się trochę bardziej. Później sklep, szary, nieprzyjemnie wyglądający budynek, na którego schodkach tego dnia siedziało dwóch mężczyzn. Czy Zguba w ogóle się nie zmieniała? Czy tutaj czas naprawdę stanął w miejscu? Anna przyspieszyła, czując się tak, jakby nagle wróciła do przeszłości. Jakby nigdy nie było lat spędzonych w zatłoczonej Warszawie, gdzie wskazówki zegara zdawały się pędzić dwa razy szybciej, niż powinny. Jakby nie było tych wszystkich wieczorów przesiedzianych nad

notatkami, nocy w dusznych klubach, wspólnego gotowania obiadów, jakby nie istnieli Kasia, Wiola, Drozd i Tomek. Zirytowana dziewczyna nawinęła na palec pasmo włosów, rudych i krótkich, nie długich i jasnych, jak u Julii ze Zguby, absolutnie nie. Dla niej czas wciąż biegł.

Zaraz przekonała się, że wbrew pozorom płynął on także dla całej wsi. Znikła gdzieś drewniana chatka, niezamieszкана chyba od wieków, w każdej chwili grożąca zawaleniem, niegdyś doskonała kryjówka dla młodocianych palaczy. Wyrosły dwa nowe domy, oba jednopiętrowe i znacznie porządniejsze niż większość pozostałych budynków – może ktoś jeszcze postanowił pójść w ślady Bluszczów, szukając spokoju z dala od miejskiego gwaru? O furtkę Turków nie podpierał się stary Turek, którego wyblakłe oczy, od rana niemal do zmierzchu, śledziły każdego przechodzącego ścieżką. Szkołę odmalowano, wszystkie okna zostały wymienione na plastikowe. Pewnie teraz mieli nawet pracownię komputerową i może porządną salę gimnastyczną? Tylko kto się tutaj uczył, skoro trwał niż demograficzny? Anna usiadła na moment na barierkach przed budynkiem, wyciągnęła z plecaka wodę. Przemknęło jej przez głowę, że powinna chyba zgodzić się na ten absurdalny pomysł Kasi z wykupieniem karnetów na siłownię. Całkiem niezła kondycja, jaką mogła szczyścić się przed laty dzięki długim, pieszym wędrówkom i często urządzanym wyprawom w góry, pozostawała wspomnieniem. W Warszawie poruszała się głównie metrem i tramwajami, ruchu zażywała tylko w ferie i wakacje.

Na rozstaju nie skręciła w lewo, gdzie domy stały gęściej, a w prawo, ruszyła dróżką ku staremu kościołowi i cmentarzowi. Zrobiła to zupełnie nieświadomie i dopiero gdy minęła drewniany kościół, a w oddali zamajaczyło kamienne, cmentarne ogrodzenie, zatrzymała się, nagle bliska wymiotów. Dobrze знаła ten cmentarz, pełen zarośniętych grobów i zmurszałych krzyży, na tabliczkach których czas dawno zatarł napisy. Nikt już nie pamiętał, kto pod nimi leży. Było oczywiście też wiele nowszych nagrobków, często wymyślnych, przez cały rok udekorowanych wiązkami i zniczami.

Takie zimne. Takie puste. Takie... martwe.

Ruszyła biegiem, pędem mijając cmentarz, przecięła na skos wrzosowisko, potykając się na nierównym gruncie. Raz omal nie skręciła kostki, gdy noga wpadła w niewidoczny dół, ale nie zwolniła. Stała dopiero, kiedy dobiegła do linii drzew, a gałęzie świerków i sosen przysłoniły cmentarz, na którym niedługo z pewnością zostanie pochowana Elżbieta. Anna zatrzęsała się na samą myśl, że po Elżbiecie nie zostanie nic oprócz kamiennej płyty z wrytym imieniem, nazwiskiem i datą śmierci, a jedyne, co będą mogli jej dać na kolejne urodziny, to znicze i wieńce. Anna nigdy nie lubiła cmentarzy. Nie wierzyła, że w grobach pozostaje cokolwiek po zmarłych, nie chciała w to wierzyć, myśleć, że można na wieczność utknąć w tak ponurym miejscu. Lepiej już zniknąć całkowicie. Nie

widziała w ich odwiedzaniu żadnego sensu.

– Anno Motylska, jesteś szalona jak zając w marcu – ogłosiła, podpierając się o chropowaty pień sosny, próbując złapać oddech. Przecież właśnie dlatego wyszła z Bluszczowego Dworu, aby nie myśleć o stanie Elżbiety, uciec przed ponurą atmosferą. Wczoraj wydawała się radosna, tak pełna życia, w ogóle niezmęczona, aż Anna pozwoliła sobie na nieśmiały cień nadziei, że może... Nie wyzdrowieje, oczywiście, cuda nie istnieją, ale może to wcale nie jest kwestia tygodni? Lecz wieczorem stan Elżbiety gwałtownie się pogorszył, jakby wszystkie siły zużyła na to, by tego jednego dnia znów naprawdę cieszyć się życiem. Marek nie spał przez całą noc, lękając się, że żona odejdzie, gdy tylko zmruży powieki. Nad ranem zmusili go, by poszedł położyć się w pokoju Emila, a oni czuwali przy niej na zmianę. Anna spędziła przy łóżku przybranej matki godzinę, bez przerwy ściskając jej bladą jak wosk dłoń, co chwilę odruchowo szukając palcami pulsu. Chętnie by się rozpląkała, ale nie chciała obudzić Elżbiety, poza tym lży jakoś nie chciały płynąć. Wątpię, żeby był w tym domu ktoś, kto choć raz nie ryczał w poduszkę, powiedziała Karinie. Tyle że sama faktycznie nie płakała, nie mogła po prostu. Gdy w końcu Karina przyszła ją wymienić, Anna miała wrażenie, że siedzi tam nie sześćdziesiąt minut, a kilka godzin. Musiała wyglądać okropnie, bo Karina w niepojętym odruchu położyła jej rękę na ramieniu. Anna spróbowała nie okazać zdumienia, zmusiła się nawet do uśmiechu.

To było bardzo zaskakujące – przyszywana szwagierka najwidoczniej czuła się samotna i niezbyt szczęśliwa. Anna nie mogła powiedzieć, że po tym odkryciu i rozmowie w ogrodzie nagle zaczęła lubić Karinę. Wciąż za nią nie przepadała, nie umiała zrozumieć jej ciągłego dążenia do perfekcji, uważała, że jest zbyt sztywna. Mimo to niechęć znikła. A przebywanie w towarzystwie żony Michała okazało się znacznie łatwiejsze niż znoszenie Jo i jej burzy hormonalnej, siedzenie przy Marku zachowującym się jak żywy trup, milczącym Emilu i Kamaelu, w którego obecności czuła się tak, jakby kroczyła po polu minowym.

Zadyszka przeszła, Anna ruszyła dalej w las, wspominając wyprawę na zakupy z Kariną i dziewczynkami, podczas której robiły zaopatrzenie na urodzinowe przyjęcie. Chyba po raz pierwszy, odkąd przyjechała do Zguby, czuła się zupełnie swobodnie. To właściwie trochę przykre, że lepiej dogadywała się teraz z Kariną niż Emilem, którego nigdy nie przestała uważać za brata.

Po pół godzinie marszu zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno wciąż pamięta drogę. Czy szła w dobrym kierunku? Co zrobi, jeśli się zgubi? Oczyma wyobraźni ujrzała własnego trupa rozkładającego się w jakiejś jamie. Później do wizji wkroczyła Kaśka, wściekła jak osa, odprawiająca nad ciałem przyjaciółki rytuał nekromantów, w celu przywrócenia jej życia, aby móc osobiście ją udusić za to, że przepadła bez wieści.

Idiotko skończona, mamy dwudziesty pierwszy wiek, powiedziała do siebie.

W kieszeni trzymasz telefon komórkowy. Jeśli się zgubisz, po prostu zadzwonisz. To zwykły las, nie jakaś nieprzebyta puszcza, w której mogą cię zeżreć niedźwiedzie.

W końcu jednak do jej uszu dobiegł szum. Odetchnęła z ulgą, przyspieszyła kroku i ostrożnie zeszła po stromym, kamienistym zboczu. Przy potoku był kawałek niemal płaskiego gruntu, a brzegu nie porastały gęsto trawy i tataraki. Doskonale miejsce do opalania, urządzenia ogniska lub nawet popływania. Często odwiedzała je z młodymi Bluszczami. Elżbieta nie miała zielonego pojęcia o tym, co wyprawiają w lesie jej dzieci. Sądziła, że bawią się grzecznie gdzieś w pobliżu domu; pewnie dostałaby zawału, wiedząc, że kąpią się w potoku o mulistym, nierównym dnie, samodzielnie rozpalają ogień, po nocy kręcą się tak daleko od zabudowań.

Usiadła na przewalonym pniu, zmurszałym i porośniętym mchem. Nie pozostał żaden ślad po płonących tu niegdyś ogniskach, znikły kamienie ułożone w okrąg, odrosła wypalona trawa. Przypomniała sobie ostatnią noc, którą spędzili tutaj wszyscy razem, w wakacje, tuż przed tym, jak Michał poznał Karinę i przestał być gotów pić piwo pod gołym niebem, siedząc na macie, owinięty w kurtkę. Nie miała jeszcze wtedy nawet osiemnastu lat. Pamiętała doskonale palce, tłuste od przypalonych kiełbasek, smak piwa, piosenkę z radia na baterie, przyniesionego przez Jowitę, to, jak tańczyli, a Michał, który wypił trochę za dużo, omal nie wpadł do wody. Były z nimi jeszcze chyba jakieś trzy osoby, koleżanka Jowity, dwóch kumpli Kamila, ale zapomniała ich twarze.

Przez ułamek sekundy Anna zatęskniła za tamtą nocą, za Bluszczami, ale zaraz się otrząsnęła. Dobrych wspomnień ze Zguby było tyle samo, co złych. W Warszawie zaś mogła pić, słuchać muzyki i tańczyć z Kaśką, Wiolką, Drozdem i Tomkiem, ludźmi, którzy nigdy nie obmawiali jej za plecami, nie wykorzystywali, nie próbowali rozmyślnie ranić.

Westchnęła, wyciągnęła szkicownik, ołówek i zaczęła rysować.

*

Po niebie przesuwaly się nieliczne chmury, ale było duszno, a ptaki zamilkły. Rozleniwiona Anna przysypiała na trawie, słuchając szumu wody i nie mając najmniejszej ochoty ruszać się z miejsca. Nawet jeśli nadejdzie burza, miała jeszcze trochę czasu. Pewnie zasnęłaby na dobre, gdyby telefon nie zaczął dzwonić. Poderwała się gwałtownie. Klnąc, wyciągnęła z kieszeni komórkę, omal nie wrzucając jej do wody. „Kaś dzwoni” – odczytała z wyświetlacza i odetchnęła

z ulgą. Przez moment bała się, że to ktoś z Bluszczów dzwoni, aby natychmiast ściągnąć ją z powrotem, bo stan Elżbiety jeszcze się pogorszył.

– Słucham? – mruknęła niepewna, czy powinna się cieszyć z rozmowy z przyjaciółką czy martwić czekającymi ją wyrzutami.

– Słuchaj dalej! – krzyknęła Kaśka. Anna znów opadła na trawę, czując, że ogarnia ją zmęczenie i zniechęcenie. Kasia była wyraźnie w złym humorze. – Czyli spakuj się, wsiadaj w tego twojego gruchota, a jeśli już zaparkował na Wielkim Wysypisku w niebie, to w pociąg, i przyjeżdżaj. Halo? Jesteś tam jeszcze?

– Nie mogę – westchnęła Anna, przysłaniając oczy dłonią.

– Niby dlaczego? Planowaliśmy ten wyjazd od dwóch miesięcy. Miałaś dołączyć do nas najpóźniej dzisiaj. Darmowa kwatery, wyżywienie za grosze, a ty kręcisz nosem? Nie wytrzymam tu sama z Wiolką! Zakochała się, małpa, ciągle chodzi przygnębiona, już jestem gotowa złapać tego gościa, związać i dostarczyć jej na próg.

Chrzanić Wiołkę i tego chłopaka, chętnie powiedziała Anna. Chrzanić darmową kwatery i tanie wyżywienie. Odczep się ode mnie, wszyscy się odczepcie, porzucam wszelkie troski doczesne i wyjeżdżam do Tybetu zostać pustelnicą. Będę nosić białe szaty, medytować i wstawać wraz ze świtem... No dobrze, jednak jeszcze to przemyślę.

– Kaś, do licha! – warknęła, przerywając przyjaciółce monolog. – Myślisz, że tkwię tu z własnej woli? Zlituj się, kto o zdrowych zmysłach wołałby siedzieć tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, niż z przyjaciółmi na plaży? Sprawy się pokomplikowały. Utknęłam, okej? A ty mi wcale nie pomagasz, wyskakując z pretensjami.

Spodziewała się wściekłych wrzasków, ale po drugiej stronie zapadła cisza. Kasia długo milczała, co nie pasowało do niej tak bardzo, że Anna też nie odważyła się odezwać. Nerwowo mięła w dłoni garść trawy, przytłoczona tym dziwnym milczeniem, które nieoczekiwanie zapadło. Równie nienaturalne i męczące jak to między nią a chłopcami, uświadomiła sobie nagle. Wołałaby już krzyki i wyrzuty.

– Skarbie, martwię się o ciebie – powiedziała w końcu Kaśka, zdumiewająco łagodnie. – Co się tam dzieje? Dlaczego nie możesz przyjechać? Masz jakieś kłopoty?

– Nie... nie kłopoty – westchnęła Anna. – To... sprawy rodzinne...

– Jestem twoją przyjaciółką, Motylu – przypomniała Kaśka. – Mnie możesz wszystko powiedzieć. Jak księdzu na spowiedzi. A w dodatku większy komfort, bo nie musisz przy tym klęczeć i nie zadam pokuty.

– Choć nie miałabyś nic przeciwko temu klęczeniu – uzupełniła Anna. Podparła się na łokciu, uniosła głowę, spoglądając na niebo. Chmur przybywało, nie były już białe, a siwe. Gdy przysłoniły na chwilę słońce, wiatr rozwiął rude

włosy Anny. – Nie wiem, od czego zacząć.

– Od początku. Albo od końca.

Od początku? Od pozostawienia Staruszka na poboczu i powrotu do Zguby? Od pijanego ojca, który uderzył sąsiada na klatce schodowej? Od przyjaźni nieznannej matki i Elżbiety? Od Kama, każącego przestać jej ryczeć, a potem trzymającego ją za rękę? Od zamieszkania w Bluszczowym Dworze? Od wyskoczenia z pociągu na warszawski peron?

– Byłoby łatwiej od końca – przyznała. – Ale niewiele łatwiej. Przepraszam, Kaś. Jeszcze nie umiem.

– W porządku – ustąpiła Kaśka ku zaskoczeniu Anny. – Przygotuj się, bo prędzej czy później wszystko z ciebie wyciągnę. A na razie może odbierzesz maile, co?

– Mail? Pisałaś do mnie?

– Ja nie! – zirytowała się Kasia. – Drozd. Nie odpisałaś mu ani na ostatniego smsa, ani na maile. Złamał nawet swoją zasadę czekania na twój telefon i zadzwonił dziś pierwszy, ale miałaś wyłączoną komórkę. Pamiętasz jeszcze Arkadiusza Drozdowskiego? Swojego faceta? Jeśli nie, przypomnij sobie może, ileż ma chłopak na ciebie czekać?

– Ja... – zaczęła Anna, ale urwała. Tym razem przyjaciółka miała stuprocentową rację. – Jestem poza domem, ale odpiszę mu, jak tylko wrócę.

– Odpisz, bo zaczyna smęcić gorzej od Wiolki. Ona w ogóle dzień w dzień ciągnie nas do tej smażalni, gdzie pracuje jej luby, a musisz wiedzieć, że serwują tam tylko trzy rodzaje ryb. Nie powiem, nawet smaczne, ale ileż razy można jeść dorsza? Słowo daję, niedobrze mi już na sam zapach ryby. Jutro się buntuję i idę kupić porządną pizzę. Potem będę oczywiście jojczyć, ile to kalorii. Jak ja bym chciała mieć twoją figurę! A poza ty... hej! Spadaj! Nie ma mowy!

Anna uniosła brwi, przysłuchując się przytłumionym krzykom i odgłosom szarpaniny.

– An?! – wrzasnął do słuchawki Tomek. Sądząc po dźwiękach w tle, wciąż trwała zacięta walka o telefon. – Gdzie cię wciąło?! I z Kaśką to konferujesz, a nam się odpisać nie chce?! Mówię ci...

Huknęło. Przez chwilę nic nie było słychać i Anna zdążyła się zaniepokoić, ale zaraz znów przemówiła Kasia.

– Sorry, musiałam go przewrócić. Skandal! Na razie, Potworo, bo się tutaj dłuższa pogawędka szykuje... Pamiętaj o skrzynce mailowej!

Połączenie zostało przerwane, a ona nagle poczuła się straszliwie samotna. Jeszcze przez moment siedziała na trawie, bezmyślnie wpatrując się w wyświetlacz, potem wreszcie zaczęła zbierać rzeczy. Do Bluszczowego Dworu wlokła się jednak w zółwym tempie i gdy dotarła na miejsce, było już blisko do zmroku, gdzieś daleko grzmiało, a chmury zdążyły zakryć całe niebo. Schroniła się

w budynku w samą porę, by uniknąć przemoknięcia – ledwo weszła na teren posesji, gdzie została radośnie powitana przez Saszę, zaczęło padać. Obie pędem przecięły trawnik, by schronić się pod dachem.

– Znowu nie ma prądu – poinformowała ją Jowita siedząca w kuchni i z entuzjazmem konsumująca lody prosto z ogromnego pudełka. – Chcesz trochę? Trzeba zjeść wszystko, zanim stopnieją.

Anna opadła na krzesło, wyciągnęła przed siebie stopy obolałe od marszu. Po chwili namysłu przechyliła się ku szufladzie, wyciągnęła łyżeczkę i wbiła ją w porcję lodów orzechowo-waniliowych. Z rozbawieniem uświadomiła też sobie, że to chyba pierwszy raz, gdy Jowita dobrowolnie się z nią czymś podzieliła.

– Jak Elżbieta?

– Bez zmian – odparła ponuro Jowita, spuszczając głowę. – Tata i Kam są z nią na górze. Karina pakuje dziewczynki, podrzuci je do cioci Anity. Tutaj...

Lody wciąż były tak samo smaczne, a jednak Anna nagle straciła apetyt. Wróciło to nieprzyjemne odczucie w klatce piersiowej i brzuchu, jakby wewnątrz się coś załęgło. Strach. Karina odwoziła bliźniaczki, żeby nie przeszkadzały – i nie były w pobliżu, gdy ich babka umrze.

Choroba Elżbiety była tym wielkim, różowym słoniem w pokoju, o którym każdy wiedział, ale nikt nie mówił. Nie umieli, a może próbowali zaklinać rzeczywistość w naiwnej wierze, że jeśli nie dopuszczą do siebie świadomości nadchodzącej śmierci, ta nie sforsuje zamkniętych drzwi?

Światło w kuchni nagle rozbłysło. Jowita równie nagle poderwała się z krzesła i przyciskając dłoń do ust, pognąła ku łazience. Anna, ponura jak chmura gradowa, ruszyła za nią, w myśl siostrzanej solidarności gotowa przytrzymać jej włosy. Nie skończyło się jednak na mdłościach, gdy Jo wreszcie przestała wymiotować, zamiast obmyć twarz, wyplukać usta i spokojnie wrócić do kuchni, usiadła na kafelkach... i wybuchła płaczem.

– Jo? Źle się czujesz? – spytała Anna głupio, niepewna, co powinna zrobić. – Jo, błagam, spokojnie...

Przykucnęła, nieporadnie poklepała Jowitę po ramieniu. Ta nieoczekiwanie zarzuciła Annie ręce na szyję i zaczęła szlochać w jej podkoszulek. Motylska przez moment zbaraniała, ale w końcu objęła przybraną siostrę. Zabawne, przytulenie płaczącej Kaśki albo Wiołki stanowiło zupełnie naturalny odruch, tymczasem teraz wcale nie miała ochoty obejmować kobiety, z którą się przecież wychowywała. Co jest ze mną nie tak? – zastanowiła się, wzdychając.

– No już. Nie martw się tak. Po porodzie odzyskasz figurę, na rozstępy są świetne maści, a do dziecka zatrudnisz opiekunkę...

– Nie... o... to... cho...cho...dzi – wykrztusiła Jowita. Głos miała przytłumiony, bo wciąż wtulała nos w koszulkę Anny. – Ja... ja się... tak... bo...boję. Kiedy mama...

Zacząła się trząść, lzy nie pozwoliły jej dokończyć. Anna zapragnęła krzyknąć. Zamiast tego pogłaskała Jo po plecach, wpatrując się, ponad ufarbowaną na czarno głowę, w ścianę. Co miała powiedzieć? Będzie dobrze? To byłoby kłamstwo, największe kłamstwo ze wszystkich. Nie martw się? W jaki sposób mogłaby się nie martwić? Elżbieta będzie szczęśliwa po drugiej stronie? Nie przeszłoby jej to przez gardło. Nie umiała uwierzyć, że w ogóle istnieje jakaś druga strona. Wiedziała, że Marek wciąż się modli za żonę, ale sama nie znalazłaby pocieszenia w modlitwach. Nie sądziła, by wiara mogła pomóc też Jowicie.

– Chodźmy do salonu. Nie powinnaś siedzieć na zimnej podłodze – zarządziła w końcu, biorąc się w garść. Jowita oparła się ciężko na jej ramieniu, z trudem wstała.

– Ela jest niespokojna – mruknęła, gdy opadła na kanapę w salonie, ciągnąc za sobą Annę. Nieoczekiwanie chwyciła dłoń przybranej siostry i położyła ją sobie na pokąźnym brzuchu. – Czujesz?

Motyłska zeszytniała. Rzeczywiście, czuła pod palcami ruchy dziecka. W pierwszej chwili miała ochotę cofnąć rękę, ale Jowita trzymała ją za nadgarstek. Przecież jedyna córka Bluszczów była dla niej już niemal obcą osobą. W ciągu ostatnich lat spotkały się tylko dwa razy, krótko i przelotnie, a wspomnienia związane z Jo z tych miesięcy tuż przed tym, jak Julia zmieniła się w Annę, nie należały do najprzyjemniejszych. Przyblęda, powiedziała do niej Jowita w ostatniej rozmowie, gdy o coś się pokłóciły.

– Coś nie tak, Julie? – spytała Jowita, a Anna uśmiechnęła się z przymusem. Jo rzadko kiedy dostrzegała coś więcej niż czubek własnego nosa, dlatego musiała akurat teraz spojrzeć trochę dalej?

– Nie, jest okej – zapewniła, wreszcie zabierając rękę. Jest okej, tyle, że ja nie jestem Julie. Jestem Anną z Warszawy, która nie ma z tobą nic wspólnego. Jowita najwidoczniej jednak zapominała o ostatnich latach, a może po prostu była w nastroju do zwierzeń.

– Wywalili mnie z teatru – wyznała nagle. – Nie wiem, co ze sobą zrobię.

– Co? Wywalili cię..?

Jowita była niekwestionowaną gwiazdą. Może trochę pulchna, może nie najpiękniejsza na świecie, ale odpowiedni strój, makijaż i fryzura naprawiały te mankamenty. Umiała grać, umiała śpiewać, kiedyś chodziła też na lekcje tańca, ukończyła szkołę aktorską. Obsadzano ją w głównych rolach, pojawiła się w serialu telewizyjnym, a teraz na ekrany kin miał trafić jej drugi film.

– Bo jesteś w ciąży? – spytała niepewnie. – W ogóle wolno coś takiego zrobić..?

– Zwolnili mnie wcześniej. Ja... no... nie poprosiłam o zgodę na granie w tym filmie, a przygotowaliśmy nowe przedstawienie. Ale to była dla mnie największa szansa w życiu!

Anna westchnęła, przymknęła oczy, odchylając głowę do tyłu. Dorośnij, Jo, miała ochotę zawołać. Tyle że Jowita ewidentnie oczekiwała pocieszenia, a dołowanie jej w obecnej sytuacji nie było wskazane.

– Nie przejmuj się za bardzo. Jeśli ten film jest choć w połowie tak dobry, jak twierdzisz, złapiesz coś nowego. A przecież możesz na razie mieszkać tutaj – oznajmiła więc i poklepała Jo po ręce. Co jak co, ale żaden z Bluszczów nie musiał się troszczyć o pieniądze. Marek i Elżbieta przychyliby nieba swoim dzieciom. Ona sama także mogła zawsze liczyć na ich pomoc. Ciotka i wuj znaleźli sprytny sposób na wspomaganie jej finansowo. Gdy po pierwszym roku studiów uparła się, że sama będzie pokrywać rachunki za mieszkanie i życie w Warszawie, wprowadzie przestali co miesiąc przysyłać niewielkie kwoty, ale zaczęli na wszystkie urodziny, imieniny i święta wręczać wychowanczy większe sumy pieniędzy.

– Dzięki, Julie. Pewnie rozmazałam sobie cały makijaż, co? – Jowita otarła łzy, już rozpogodzona. Po prawdzie, rzadko kiedy przejmowała się czymś dłużej. W przeciwieństwie do Anny miała pogodne usposobienie. – Tęskniłam za tobą, mała. Dobrze mieć cię z powrotem obok.

Nieprawdopodobne wyznanie. Jowita za nią tęskniła? Taka myśl nigdy nie zrodziłaby się w głowie Anny. Zastanawiała się nad tym, gdy później przebierała się w swoim pokoju. Nie mogła powiedzieć, żeby sama specjalnie tęskniła za przybraną siostrą. Myślała o niej czasami, z każdym rokiem coraz rzadziej, ale zdążyła przywyknąć do nieobecności Jo jeszcze wtedy, kiedy mieszkała w Zgubie. Emil i Kamael stanowili jednak odrębny temat. Brakowało jej ich obu, zwłaszcza na początku studiów, choć starała się nie przyznawać do tego nawet przed sobą, bo przecież sama zerwała kontakty z Kamem. Mimo to wykreślenie z życia kogoś, kto stanowił jego integralną część przez tyle lat, nie było łatwe. Bywało, że miała ochotę wskoczyć w pierwszy lepszy pociąg i natychmiast wracać do Zguby. Czasem brała komórkę do ręki i długo wpatrywała się w wyświetlacz. Skasowała wprowadzie numer Kamila, ale mogła go zacytować z pamięci i zaczynała nawet wpisywać dwie pierwsze cyfry... A potem wrzucała telefon do szuflady i wybiegała na miasto. Nieważne, czy padało, wiało, czy było ciepło, czy zimno. Tęskniła rozpaczliwie. Za obecnością poważnego, spokojnego Emila, za godzinami rozmów. Teraz nagle nie było nikogo, kto wysłuchałby, pocieszył. Choć do niego mogła przynajmniej zadzwonić. Tęskniła za Kamem i ich włóczęgami po lesie, za jego grą, za nieczęstym uśmiechem, za dotykiem, pocałunkami. Świadomość, że nie ma już nikogo, z kim może porozumiewać się samymi spojrzeniami i drobnymi gestami, kogoś, kto łatwo odgadywał jej myśli i czyje zaczęte zdania potrafiła kończyć, i że pewnie nikogo takiego już nie będzie, czasem była nie do zniesienia. A czasem wręcz odwrotnie.

A później zaprzyjaźniła się z Kaśką. Po paru miesiącach odkryły, że śliczna Wiola wcale nie jest nadęta i nudna, a nieśmiała i sympatyczna. Na początku

drugiego semestru wpadły na imprezie na Drozda i Tomka, a później na ich kolegę Adriana i nie wiadomo kiedy, nie wiadomo jak, okazało się, że chłopcy są stałymi gośćmi w ich pokoju w akademiku. Niepostrzeżenie stali się nieodłącznymi towarzyszami dziewcząt, a kiedy pewnego dnia Drozd wpadł do nich, ofiarowując jej bukiet, odkryła nagle, że właściwie mogłaby go pokochać. Może dlatego, że bukiet był niezwykły, bo składał się z marchwi, pietruszki, selera, rzodkiewek i sałaty, a może dlatego, że właśnie miały pustkę w lodówce. To całkiem zabawne, zakochać się w kimś z powodu rzodkiewki.

I przestała myśleć o Kamilu każdego dnia. Inni ludzie wtargnęli do jej życia i serca.

– Ale maili od nich to nie odbierasz – zgañła sama siebie na wspomnienie rozmowy z Kaśką. Czym prędzej uruchomiła więc laptopa.

Kilka maili. Pierwszy sprzed tygodnia.

Utknęłaś w baśni, Anno? Jaką rolę ci przypisano? Chyba nie księżniczki, nie widzę cię siedzącej spokojnie w wieży i czekającej na ratunek. To Wioleta mogłaby spuszczać długie warkocze dla ukochanego. Nie mogłabyś też być wiedźmą, Katarzyna nie zniosłaby konkurencji w tym względzie i podała ci zaraz zatrute jabłko. Kim więc jesteś? Dumną Królową – pozbawioną tronu i walczącą o jego odzyskanie, skoro to zła bajka? Czy wolno mi przyłączyć się do ruchu oporu?

Anno, Królowa moja, znajdź chwilę w swym napiętym planie zajęć i napisz więcej niż jedno zdanie, w dodatku pojedyncze. Zadzwoń, wyślij maila, smsa, gołębia pocztowego, sygnał dymny, cokolwiek... Bo zaczynam się o ciebie martwić. Choć przecież nie powinienem, ty nie dałabyś się zamknąć czarnoksiężnikowi w wieży, prawda?

Jestem okropna, uznała, otwierając kolejną wiadomość, nadesłaną pięć dni temu. Mogła przecież znaleźć parę minut na sprawdzenie skrzynki. To prawda, zajęła się ogrodem, potem urodzinami Elżbiety, a wreszcie była przygnębiona pogorszeniem stanu przyszywanej ciotki. Ale napisanie paru słów nie wymagało wiele czasu.

Sądysz, że Tomek kocha się w Wiołce? Ona wciąż wzdycha do tego kelnera, a on chodzi coraz bardziej przygnębiony, przeczytała w następnym mailu. W ogóle Kaśka się wścieka, Tomek smęci, Wiołka nieszczęśliwie zakochana, wszystko się sypie, gdy ciebie nie ma...

Żyjesz? – pytał Drozd w krótkiej wiadomości nadesłanej wczoraj. Dręczona wyrzutami sumienia, Anna otworzyła ostatnią z dzisiejszego ranka.

Lubisz psy, Królowo Anno? Mam nadzieję, że tak, bo Katarzyna właśnie jednego przygarnęła. Nie powiedziała ci pewnie, na razie pokonuje opory Wiołki, która trochę się go boi, choć to jeszcze szczeniak. Jest cały czarny z wyłączeniem białych łapek, które wyglądają tak, jakby nosił skarpetki. Szczerze uwielbia Kaśkę i najchętniej nie schodziłby jej z kolan. Może to i dobrze, że pogoda trochę się popsuła, gdy wczoraj było pięknie, biedaczka trzy razy biegła do małego z plaży, żeby się upewnić, że nic mu nie jest. Widzisz? Zawsze powtarzałem, że ona ma dobre serce, choć próbuje to ukrywać.

Maluch nie ma jeszcze imienia, choć bardzo intensywnie próbujemy coś wymyślić. Masz jakieś pomysły?

Anno, Anno, miałaś być tutaj, a cię nie ma. Milczysz. Gdyby nie to, że Kaśka z tobą rozmawiała, pomyślałbym, że porwali cię kosmici... Odpisz, proszę.

Zero pretensji. Żadnych pytań. Jak zawsze był wcieleniem taktu. Nie chciał naciskać, wiedząc, jak ona tego nie lubi. Co za potwór z ciebie, dziewczyno, burknął prywatny chochlik Anny, siedzący gdzieś w jej głowie. Chłopak chyba ma prawo wiedzieć, co się z tobą dzieje, co? Opóźniasz wspólny wyjazd bez żadnych wyjaśnień, nie przyjeżdżasz w terminie, w którym miałaś się pojawić, nie dzwonisz, nie odpisujesz na wiadomości. Nie zasługujesz na niego, ot co. Powinnaś zostać starą panną z gromadą kotów.

Oczy ją piekły. Dziwne, przecież dopiero włączyła laptopa, a zwykle przesiadywała przy nim całe dni, nie mogło więc chodzić o patrzenie w ekran. Potarła czoło, klikając na ikonkę „odpisz”. *Hej, Drozd*, wystukała. I co dalej? O czym ma pisać? O bajce? Grałaby w niej pewnie córę marnotrawną wracającą do domu po wielu latach. Albo nie, to głupie. Bezczylna, bezbarwna księżniczka w wieży, niepotrafiąca sobie z niczym poradzić? W tej roli raz już ją obsadzono.

Psy. Psy to bezpieczny temat. *Lubię psy*, napisała. *Ale i tak zabiję Kaśkę za to, że teraz sobie sprawiła szczeniaka. Będzie trzeba ciągle biegać z nim na spacer i sprzątać.*

Westchnęła, zdecydowała, że odpisze za chwilę, podniosła się z krzesła i ruszyła do łazienki. Ktoś był w tej na dole, wspięła się więc po schodach na piętro. Zimna woda nieco pomogła, ale oczy wciąż trochę piekły i czuła się dziwnie. Czyżby dostała gorączki? Nie pamiętała, kiedy ostatni raz była chora – chyba całe lata temu, gdy jako dziecko przechodziła ospę. Jowita przyniosła ją ze szkoły i w krótkim czasie zaraziła Annę i wszystkich braci, a dom zamienił się w szpital.

Znów zaczynało padać, zagrzmiało gdzieś w oddali, drzwi zatrzasnęły się pod wpływem wiatru, który wpadł przez otwarte okno. Podeszła do parapetu, żeby je zamknąć i wtedy dojrzała, że ktoś właśnie szedł przez trawnik.

Kamil?

Otworzył furtkę gniewnym szarpnięciem, gdy przeszedł, zamknął ją za sobą z taką mocą, że zadrżała cała brama. Anna nawinęła na palec kosmyk włosów, obserwując chłopaka idącego ku drzewom. Czy on oszalał? Wychodził z domu w taką pogodę boso i w bluzce z krótkim rękawem. Grzmiało, padało, było coraz ciemniej, a on najwyraźniej miał zamiar spacerować po lesie.

Zawahała się. Kam zdążył w tym czasie zniknąć między drzewami. Jak kiedyś, przypomniawszy sobie. Rzadko coś było w stanie poruszyć Kamaela, ale jeśli już komuś udało się go zasmucić bądź nie mógł sobie z czymś poradzić, uciekał samotnie do lasu. Zrobił tak, gdy zmarł jego ulubiony wuj, kiedy zdechł Brutus, a także w dniu, w którym po wypadku samochodowym Marek trafił do szpitala.

Błysnęło. Anna wypadła z łazienki, zbiegła po schodach, przeskakując co drugi stopień. Zgarnęła z wieszaka luźną bluzę Emila, założyła kalosze, złapała czyjś parasol i po chwili gnała przez trawnik, w ślad za Kamilem. Nie umiałyby powiedzieć, co nią kieruje. Nie zastanawiała się nad przyczynami, które kazały jej ścigać Kamaela. Pewnie gdyby przemyślała sprawę, nie ruszyłaby się z miejsca. Skoro poszedł do lasu, najwyraźniej nie życzył sobie towarzystwa, a w takich chwilach potrafił być bardziej nieprzyjemny niż zwykle.

Dotarło to do niej, gdy dostrzegła chłopaka. Nie odszedł daleko, nic zresztą dziwnego, bez butów nie zdołałby przejść dłuższego dystansu. Zatrzymała się, niezdecydowana, czy powinna podchodzić. Warknie pewnie coś niemiłego, rzuci parę niecenzuralnych słów i każe się jej wynosić. Tyle, że... Skulony na ziemi, z nogami przyciągniętymi do klatki piersiowej wyglądał na tak rozbitego, że nie mogła po prostu odejść.

Mokre liście chrzęściły pod nogami Anny, Kam jednak się nie poruszył. Dopiero gdy stanęła tuż przy nim, osłaniając go parasolem, zorientował się, że nie jest sam i podniósł wreszcie głowę. Z jego twarzy trudno byłoby cokolwiek odczytać. Kamil był mistrzem, jeśli chodziło o panowanie nad mimiką, ale znała go na tyle, by móc rozpoznać drobne oznaki świadczące o nadchodzącym napadzie szału. Tym razem jednak nie dostrzegła lekkiego skrzywienia ust ani zmarszczki między brwiami.

– Kam... – urwała, nie wiedząc, co mu powiedzieć. Zupełnie jak wcześniej załamanej Jowicie. Czy dobrze widziała i rzeczywiście miał zaczerwienione oczy? Sama myśl o płaczącym Kamaelu zdawała się nieprawdopodobna. Przez całe życie ani razu nie zobaczyła jego łez. Kucnęła, przypatrując się mu uważnie, ale jeśli naprawdę płakał, deszcz zmył z policzków ślady. Wciąż milczał, przypatrując się jej z beznamiętnym wyrazem twarzy. Nie umiała stwierdzić, o czym myślał, choć kiedyś doskonale potrafiła odgadywać emocje Kamila, nieważne, jak dobrze je skrywał. Zmienił się, a może zbyt wiele czasu spędzili osobno, by mogła zachować tę umiejętność?

Przylgnął do niej tak nieoczekiwanie, że straciła równowagę i uderzyła

kolanami w ziemię. Ramiona Kama owinięły się wokół talii Anny, oparł czoło o jej obojczyk. Machinalnie objęła go wolną ręką, w prawej wciąż trzymając śliską, drewnianą rączkę starego parasola. Dopiero po kilkunastu sekundach zrozumiała, że chłopak nie trzęsie się z zimna, a od płaczu. Bezmyślnie wpatrywała się ponad jego głową w chropowaty pień sosny, rejestrując wszelkie przebarwienia i nierówności, jakby to była najbardziej fascynująca rzecz na świecie. Była nie zastanawiać się nad tym, co musiał powiedzieć lekarz, że doprowadził Kamaela do takiego stanu, nie dopuścić do siebie świadomości, że to kwestia dni, może godzin...

Kora zdawała się poruszać. Czyżby rzeczywiście dostała gorączki i teraz doprawiała się, siedząc na deszczu? Podparła podbródek na głowie Kamila, jego wilgotne włosy załaskotały Annę w szyję. Nie było jej zbyt wygodnie, pod kolanem miała jakąś szyszczkę, lewa stopa zdrętwiała, a chłopak ścisnął jej talię z taką siłą, że żebra zgłaszały protest. W dodatku zaczynała boleć ją głowa i czuła się coraz bardziej śpiąca. Gdyby jednak teraz, gdy po raz pierwszy okazał słabość, odepchnęła go i odeszła, ich stosunki zepsułyby się do końca. Ta myśl zdziwiła nawet samą Annę, bo przecież nie powinno jej to obchodzić. Wróci niedługo do Warszawy i nie spotka Kamila przez miesiące, może lata, więc jakie mogło mieć znaczenie, jak bardzo będą na siebie wściekli?

Tyle że on nigdy nie odchodził. Nie od tamtej nocy, kiedy byli dziećmi i gdy siedział do samego rana, trzymając ją za rękę. Jeżeli czuła się naprawdę źle, jeśli nie mogła sobie z czymś poradzić, przestawał być złośliwy, tkwił przy niej i próbował podnosić na duchu, na swój dziwny sposób. Sam zaś nigdy nie potrzebował pocieszenia. Nie mogła więc zostawić go, gdy poprosił o nie po raz pierwszy.

Kiedy wreszcie wstał, ciągnąc Annę za sobą, była zupełnie zdrętwiała, do kolan miała przyklejane igły, a brak czucia w lewej nodze sprawił, że ledwo utrzymała równowagę. Kamil złapał ją za łokieć i przejął parasol, osłaniając ich przed deszczem zacinającym z ukosa. Nie miało to większego znaczenia, oboje zdążyli już przemoknąć.

Nie odpisałam Drozdowi, przypomniawszy sobie Anna, gdy w milczeniu wlekli się do domu. Wyszli spomiędzy drzew dokładnie w tym samym miejscu, w którym zrobiła to Anna, gdy wróciła do Zguby i jak na komendę spojrzeli najpierw na ogrodzenie, potem na siebie. Wargi Kamila uniosły się lekko w grymasie, który był niemalże uśmiechem. Wciąż milcząc, złożył parasolkę, przerzucił ją na drugą stronę, a po chwili sami pokonywali ogrodzenie, choć przecież teraz byli dorośli, nie wymknęli się gdzieś po kryjomu i mogli spokojnie wejść furtką. Nie tak jak przed laty. Tę część ogrodu widać było tylko z okien pokojów Kamaela i Emila, dlatego stanowiła najlepszy wybór na powroty z nielegalnych wypraw.

Kamil kichnął, gdy wchodzili na ganek, by do domu wkroczyć przez drzwi,

jak Pan Bóg przykazał. Anna dopuściła się skandalicznego zaniedbania, zamykając okno w pokoju, poza tym nie czuła się najlepiej i przechodzenie przez ogrodzenie wyczerpało limit jej sił. Kiedy kichnął po raz drugi, niemalże odruchowo sięgnęła dłonią do jego czoła.

– Zimne – mruknęła, bardziej do siebie niż do niego.

– Za to ty masz ciepłą rękę. I... – teraz to on dotknął jej twarzy – gorące czoło. Masz gorączkę.

– Nie, nie mam gorączki. Ja nie miewam gorączki. Nigdy nie choruję. Nie mogę mieć gorączki.

– Spróbuj o tym przekonać termometr, Julio – doradził Kamil, otwierając drzwi. Anna ruszyła prosto do kuchni, zaczęła przeszukiwać jedną z szafek. Lekarstwa wciąż leżały w tym samym miejscu.

– Zaczynaj może od ściągnięcia tej mokrej bluzy. Chyba że koniecznie chcesz być chora – poinstruował Kamael, wchodząc za nią do pomieszczenia. Pociągnął za kołnierz ubrania, zniecierpliwiona Anna szybko zrzuciła okrycie i cisnęła je na podłogę.

– I to mówi gość, który wyszedł z domu na deszcz bez butów i parasola – burknęła, opadając na krzesło. Kamil nie uznał za stosowne skomentować jej wypowiedzi, zabrał się za przygotowywanie herbaty, co (jak musiała niechętnie przyznać Anna) było w tej sytuacji pomysłem wartym Nagrody Nobla.

– Trzydzieści osiem i pięć – oznajmił z satysfakcją, gdy po minucie postawił przed nią kubek i zgarnął jej z ręki termometr, zanim zdążyła odczytać wynik. – Masz gorączkę.

– Pokaż to – zażądała. Małe numerki zdawały się skakać, ale w końcu zdołała stwierdzić, że chłopak miał rację. Trzydzieści osiem i pięć. Chyba nie powinna była najpierw brodzić długo po kolana w zimnej rzece, potem spać na ziemi, a wreszcie zmoknąć. – To twoja wina!

– Zdaję sobie sprawę z tego, że obwiniasz mnie za całe zło tego świata, ale jeszcze nie przejąłem umiejętności wszystkich Jeźdźców Apokalipsy. Nie potrafię rozsiewać chorób.

Wymamrotała pod nosem coś, co równie dobrze mogło znaczyć „jasne, jasne”, jak „a niech cię diabli wezmą”, oparła dłonie o ciepły kubek i zaczęła huśtać się na krześle. Przeziębienie się w lecie? Co za nedorzeczny pomysł. *Stuk, stuk, stuk*. Nogi krzesła uderzały o płytki. *Stuk, stuk, stuk*. Obcasy. To Karina schodziła po schodach, zapewne kierując się do pokoju bliźniaczek. Cichy trzask gdzieś z góry, może Jowita poszła do łazienki. Albo Marek wyszedł z pokoju. Co powiedział lekarz? Pytanie chodziło po głowie Anny, ale przecież nie musiała go zadawać, żeby znać odpowiedź. Kamil nie bez powodu poszedł do lasu. Uniosła kubek, gorąca herbata poparzyła jej wargi i podniebienie.

Powinnam odpisać Drozdowi, przypomniała sobie, opierając głowę o blat.

Tyle że tak bardzo nie chciało się jej wstawać. Przymknęła oczy, ot, tylko na chwilę... Ktoś zaczął szarpać ją za ramię.

– Spadaj, Kaś – burknęła, machając ręką, jakby odganiała natrętną muchę. – Nie idę na żaden wykład.

– Za to powinnaś powędrować do łóżka. Pobudka, Julia!

Do rozspanego umysłu Anny dotarło, że głos jest męski i nie może należeć do Kaśki, a poza tym ona z całą pewnością nie nazwałaby jej Julią. Zakłęła, wyprostowała się i rozejrzała dookoła nieprzytomnym wzrokiem. No tak. Duża, czarno-biała kuchnia w niczym nie przypominała warszawskiej klitki, w której ledwo mieścił się zlew, lodówka i kuchenka. A stojący nad nią Kamil zdecydowanie nie był podobny do Kasi.

Chcę do doooooomu, zakwiliło nagle wewnętrzne dziecko Anny.

– Bądź grzeczną dziewczynką i to połknij. – Kamil podsunął jej jakieś tabletki i szklankę.

– Co to?

– Trucizna – zniecierpliwził się. – To cyjanek, to arszenik, a tu masz odrobinę strychniny. Trzy, dla pewności, któraś na ciebie na pewno podziała.

Strychnina okazała się witaminą C, tożsamości dwóch pozostałych lekarstw już nie chciało się jej ustalać, łyknęła je więc posłusznie. Znowu podparła głowę o blat z zamiarem ponownego pogrążenia we śnie, ale Kamil bezlitośnie pociągnął ją za włosy.

– Ty! – wrzasnęła, próbując wymyślić jakieś odpowiednie określenie, ale czuła się zbyt paskudnie, aby wykazywać się inwencją twórczą.

– Wstawaj, koleżanko, albo przerzucę cię przez ramię. Wolisz chyba dojść do pokoju na własnych nogach, prawda?

Mamrocząc przekleństwa, wstała z krzesła i wyszła z kuchni, objając się o meble. Po drodze zrzuciła kalosze, zostawiając je na środku korytarza, a gdy tylko znalazła się w swoim pokoju, opadła na łóżko. Biały miś leżał tuż obok, porzucony na podłodze, sięgnęła więc, aby wykorzystać go w charakterze poduszki. Nie było jej jednak dane udać się do słodkiej krainy Morfeusza.

– To też miałaś wypić! – przypomniał Kamil, stając w drzwiach ze szklanką w ręku. Zirytowana Anna cisnęła w niego misiem. Niestety, taki pocisk nie mógł wyrządzić mu większej krzywdy, bez problemu schwycił go w powietrzu. – Gdybyś miała pod ręką granat, pewnie wyrwałabyś zawleczkę i rzuciła?

– Zgadłeś – burknęła, ukrywając twarz w poduszce. Usłyszała dźwięk szklanki stawianej na szafce, kroki, a potem trzeszczenie bujanego fotela. Miś znowu pofrunął, padł na jej plecy.

– Lubiałaś go kiedyś. Ale nie zabrałaś ze sobą.

Chcę spać, spać, spać! – jęknęła w myślach. Gdyby miała dość siły, uderzyłaby głową o ścianę.

– Miałam jechać do Warszawy na czele karawany wielbłądów? Musiałam zostawić część rzeczy.

– Nigdy nie umiałaś kłamać.

Zdobyła się jednak na uniesienie głowy, zerknęła na niego niechętnie. Na ślepo sięgnęła po szklankę, mając nadzieję, że nie zmienił zdania i nie postanowił jej otruć.

– Gdybym nie umiała kłamać, miałbyś permanentny szlaban – warknęła. Musiała wykazywać się prawdziwą inwencją twórczą, aby usprawiedliwić Kamila. *Wczoraj? Tak, siedział cały wieczór w moim pokoju, uczyliśmy się angielskiego. Oczywiście, że wrócił z nami, ale przed chwilą poszedł do sklepu. Aaa, to? Sok wiśniowy, wylałam mu go na bluzkę i teraz piorę, to nie krew.*

– Inaczej. Nie umiałaś okłamać mnie.

Tak ci się wydaje, miała ochotę odpowiedzieć, ale w jego słowach kryła się odrobina prawdy. Nie było łatwo zwieść Kamaela, z drugiej strony jednak, on nie zdołałby bez problemów oszukać jej. Przynajmniej kiedyś. Dawno, dawno temu.

– Nie wzięłaś go, bo to był prezent ode mnie, prawda? I nie tylko tego.

Znow opadła na poduszkę, darując sobie odpowiedź, która zresztą była oczywista. Miał rację. Zostawiła wszystko, co mogło się jej kojarzyć z Kamem. Szklane, kolorowe dzwonki, które pobrzękiwały cicho, gdy przez otwarte okno wpadał wiatr, a wieczorami odbijały ostatnie promienie słońca, napełniając pokój różnymi barwami. Przywiezione z jakiejś wycieczki, wręczone bez okazji, po prostu wszedł do pokoju i je tam zawiesił. Porcelanowa lalka, którą znalazł gdzieś na strychu, *Przygody Alicji w Krainie Czarów* ofiarowane na święta. I wiele innych. Tak było łatwiej. Zatrzasnąć za sobą drzwi, zamknąć je na zamek. Nie pozwolić, by coś przypomniało jej o nim, o tych wszystkich dobrych rzeczach. By ich wspomnienie przyćmiło pamięć złego, uczyniło wyrwę w postawionym murze, wpłynęło na zmianę decyzji.

– Ciągłe bierzesz? – spytała nieoczekiwanie.

– Wyglądam na narkomana? – parsknął. – Nie, Julio. Nawet przestałem palić. Zadowolona?

Mówił prawdę? Tak sądziła, ale czy wciąż umiałaby rozpoznać kłamstwo? Gdy wyjeżdżała, przerzuczał się z popalania trawki na okazyjne sięganie po tabletki. I robił to coraz częściej.

– Masz zamiar mi odpowiedzieć?

Skuliła się w kłębek, przymknęła oczy. Po co coś mówić, skoro przecież oboje znali odpowiedź? Fotel zaskrzypiał, usłyszała kroki Kamila idącego do drzwi.

– Naprawdę mnie nienawidzisz – rzucił jeszcze, zanim je zamknął.

Nie, głupku, mruknęła, zwijając się w kłębek. Chociaż tak byłoby znacznie prościej.

XI

Karina

Do siostry Marka zawiózł ich Kamil i Karina po raz kolejny przeklinała własną głupotę, z powodu której nie zrobiła prawa jazdy. Przez całą drogę siedziała jak na szpilkach. Zawsze trochę obawiała się szwagra, który w jej opinii miał zadatki na socjopatę i nieraz już sprawił, że czuła się jak skończona idiotka. Niestety, nie było nikogo innego, z kim mogłyby pojechać. Marek za nic nie zostawiłby żony na tak długo, Emil odpadał z oczywistych względów, przeziębiona Anna tkwiła w łóżku, a Jowita wołała nie siadać już za kierownicą.

W dodatku bliźniaczki były marudne, nawet Asia, zwykle tak grzeczna, tego ranka grymasiła. Nie chciała wstać z łóżka, podczas ubierania stała sztywna jak kłoda, choć umiała już zakładać spodenki i koszulkę, a przy śniadaniu ze smętną miną grzebała łyżką w owsiance. Jula zaś, kiedy Karina prowadziła dziewczynki do samochodu, dostała niemalże hysterii. Nie, nie chciały poznać siostry dziadka. Nie, nie obchodziło ich, że „ciocia Anita” ma kotka, wołały bawić się z Saszą. Bliźniaczek nie nęcił też plac zabaw ani piaskownica. Dlaczego mają jechać do jakiejś obcej pani i zostać tam bez mamy? W bloku, gdzie nie można biegać po ogrodzie, kołysać się w hamaku i chodzić na spacer do lasu? W końcu Karina zdołała znęcić małe obietnicą kupna rolek, wciąż jednak tkwiły na tylnym siedzeniu z nosami na kwintę. Entuzjizm Anity, sporo starszej od Marka i spragnionej towarzystwa od kiedy jej córka wyjechała do Niemiec, osłabł nieco, gdy zobaczyła naburmuszone minki ukochanych wnuczek brata.

Przez całą drogę powrotną Kamil nie odezwał się ani słowem. Karina wpatrywała się w okno, walcząc z odruchem nakazującym nerwowo miętosić szarą spódnicę sięgającą kolan. Buty na obcasach, które kupiła, gdy robiły z Anną sprawunki przed urodzinami Elżbiety, okazały się niewygodne i stopy bolały ją niemiłosiernie. Pokochała te grafitowe szpilki w tej samej chwili, w której zobaczyła je na sklepowej półce, ale miłości ubywało z każdym kolejnym krokiem i w tej chwili nienawidziła ich już z całego serca. Wyobrażała sobie, że zrywa je z nóg i wyrzuca przez otwarte okno. Może nawet rzeczywiście by to zrobiła, gdyby jechała z kimkolwiek innym niż znienawidzony szwagier.

Tak, jego też nienawidziła.

Emil miał rację, pomyślała ponuro, gdy wreszcie zatrzymali się pod Bluszczowym Dworem. Chyba faktycznie nie jestem zbyt sympatyczną osobą.

Kamil wysiadł pierwszy, zamknął drzwi z głośnym trzaskiem i szybkim krokiem ruszył ku domowi. Karina była za to wdzięczna, mogła bowiem pozwolić sobie na zdjęcie niewygodnych butów. Ruszyła bosą przez trawnik. Na małym palcu miała bąbla, z tyłu prawej stopy – paskudne otarcie.

Życie jest do bani, uznała, kiedy Kamil zamknął jej drzwi niemalże przed nosem. Gniewnie szarpnęła klamkę, cisnęła szpilki na podłogę, tym razem nie ustawiając ich równiutko pod ścianą, i podreptała do kuchni w poszukiwaniu jakichś plastrów. Rozcierała właśnie obolałą stopę, kiedy zadzwoniła komórka. Karina natychmiast zaczęła przeszukiwać torebkę – to musiał być Michał albo ciotka Anita. Szczególną obawą napawała ją ta druga ewentualność. Czyżby bliźniaczki już zdążyły coś zbroić?

– Słucham?

– Cześć – przywitał się Michał. Karina oparła kostkę prawej nogi na kolanie, rozmasowała zdrętwiałe palce. Schody zatrzeszczały, ktoś wbiegał na górę, pewnie Kamil szedł sprawdzić, jak czuje się jego matka. Syn marnotrawny, awanturnik, gbur, nieodpowiedzialny lekkoduch, a jednak był dokładnie tam, gdzie powinien być. Tymczasem wspaniały pierworodny nie popisał się ani jako mąż, ani dziecko.

– Jak się czuje mama? – spytał Michał, gdy milczenie się przedłużało. Sięgnęła po plaster i nalepiła go na otarcie.

– Jeśli natychmiast wsiądziesz w samochód, prawdopodobnie zdążysz ją jeszcze zobaczyć – burknęła, czując nagły przypływ wściekłości. Na niego, na niesprawiedliwość życia, na siebie, na cały świat. Gdyby ona miała tak cudowną matkę, nie odstąpiłaby jej w takiej sytuacji na krok. Powinien być tutaj. Z Elżbietą. Z nią. Z ich córkami.

– Nie... nie może być aż tak źle – wyszeptał Michał słabym głosem. Mogła z łatwością sobie wyobrazić, jak w tej chwili wygląda: poblady, nerwowo przeczesujący włosy palcami. Na pewno marszczył też czoło i między brwiami pojawiła się charakterystyczna zmarszczka.

– Nie, skąd, przecież białaczka to tylko takie trochę poważniejsze przeziębienie! – krzyknęła, zaskakując tym chyba bardziej siebie niż jego. – Na co ty liczysz, do licha? Udawanie, że problem nie istnieje, nie sprawi, że naprawdę zniknie!

– Karina? Co ci jest? Zachowujesz się jak nie ty...

A może wręcz przeciwnie, wreszcie się zachowuję, jak ja, miała ochotę odburknąć. Zamiast tego wcisnęła czerwoną słuchawkę, rzuciła telefon na stół i ukryła twarz w dłoniach. Natychmiast pożałowała swojego zachowania. Nie zdoła zatrzymać przy sobie męża, robiąc awantury. Niczego nie zyska krzykami i wyrzutami, wtedy tylko jeszcze częściej będzie uciekał z domu, umykał przed

kolejną kłótnią i nieprzyjemną atmosferą. A Dziewczynie w Czerwonej Sukience, tej przeklętej Cecylii, w to graj.

Ona, Karina, będzie siedzieć tutaj, przytłoczona problemami, obserwować, jak Elżbieta powoli wygasa, podczas gdy tamta druga zyska szansę na pocieszenie Michała w trudnych chwilach. Gorycz i poczucie niesprawiedliwości znów wróciły i Karina zapagnęła rzucić czymś o ścianę.

Podsłoczyła, omal nie spadając na podłogę, gdy usłyszała cichy trzask. Julia, która weszła do kuchni nie wiadomo kiedy, rozczochrana, wciąż ubrana w żółtą koszulę nocną, postawiła na blacie koniak i dwa kieliszki, rzuciła na wolne krzesło szkicownik.

– Ciocia zawsze uważała, że koniak jest dobry na przeziębienie – powiedziała, siadając. Odkręciła butelkę, nalała im obu trochę jasnobrazowego płynu. – I na chandrę. Czy bliźniaczki pokazały ciotce Anicie, na co je stać od razu w progu, czy dopiero czeka ją niespodzianka?

– Przekupiłam je, mają być grzeczne, jeśli chcą dostać rolki – przyznała Karina, zbyt zmęczona, aby oburzać się na zawartą w słowach Julii sugestię, że nie jest w stanie nauczyć córek posłuszeństwa.

A może nie. Może tej sugestii tam wcale nie było. Może po raz kolejny widziała zakrzywiony obraz rzeczywistości. I może wizyta u terapeuty faktycznie by się jej przydała. Może. Może. Może.

Sięgnęła po wąski, wysoki kieliszek, delikatnie nim potrząsnęła, wprawiając w ruch bursztynową ciecz. Nie piła. Nigdy nie tknęła wódki, nie chodziła z ludźmi z roku na piwo, czym zasłużyła sobie w akademiku na opinię „cnotki niewydymki”. Nawet później, kiedy wyszła za męża i byłoby ją stać nie tylko na puszkę piwa, ale też najdroższe wina, unikała alkoholu. Odrobina szampana w noc sylwestrową, gdy stali z Michałem objęci na tarasie restauracji, obserwując niebo rozświetlone setkami petard. Lampka dobrego wina wypita z okazji rocznicy ślubu teściów. Trochę ulubionej whisky szefa Marka podczas uroczystego obiadu. Nie dlatego, że nie lubiła pić. Przysięgła sobie po prostu, że jej córki nigdy nie zobaczą pijanej matki.

– Nie pomyśl sobie tylko, że cię lubię – rzuciła, unosząc kieliszek do ust. Koniak zostawił w ustach gorzki posmak, palił w gardło i rozlewał się ciepłem w żołądku.

– No popatrz, a już liczyłam na to, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami, będziemy sobie nawzajem malować paznokcie i prowadzać się pod rękę – parsknęła Julia, ocierając usta wierzchem dłoni. – Przyjedzie?

Karina drgnęła, odstawiła kieliszek na stół z taką siłą, że szkło chyba cudem nie pękło.

– Nie wiem – mruknęła. – Przerwałam połączenie. Nie sądzę. Należysz mi jeszcze?

Julia bez słowa spełniła prośbę. Nie wyglądała najlepiej, lekko zaczerwienione policzki świadczyły o tym, że wciąż ma gorączkę. Zdawała się zmęczona. W milczeniu opróżniły kieliszki. Nie pomyśl sobie tylko, że cię lubię. Nie, nie lubiła Julii. Nie sądziła, by ta niechęć kiedykolwiek mogła odejść całkowicie, zawsze będzie w tej dziewczynie coś irytującego. Ze zdumieniem jednak odkryła, że już jej nie nienawidzi. I co zabawne – teraz tylko przy niej w tym domu nie musiała niczego udawać.

W tym domu. Na tym świecie.

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu: Karina, pogrążona w przykrych rozmyślaniach, Julia, pochylona nad szkicownikiem. Gdy Karina bardzo wyczerpała pamięć, przypomniała sobie, że kiedyś Motylska niemal nie rozstawała się z blokami i ołówkiem, wciąż siedząc gdzieś w kącie i rysując. Była w tym całkiem dobra; w pokoju teściów do dziś wisiał oprawiony obrazek przedstawiający Bluszczowy Dwór. Podczas tych wakacji jednak Karina pierwszy raz widziała, żeby dziewczyna malowała.

– To się chyba nazywa niezręczna cisza – powiedziała Julia w zamyśleniu, ziewając szeroko. Na chwilę uniosła wzrok znad kartki, ale zaraz powróciła do szkicowania. – Możemy poprowadzić grzeczną konwersację o pogodzie, a potem rzucę się spać i znowu będą śnić mi się czarnoksiężnicy i szklane wieże. Freud oszalałby ze szczęścia, gdyby miał okazję zbadać mój przypadek.

– Czy zdaniem Freuda w tych całych marzeniach sennych nie chodziło tylko o seks? – spytała Karina, przypominając sobie kurs psychologii z pierwszego roku studiów. Niejasno kojarzyła zajęcia, na których omawiali teorie Freuda – jeśli dobrze pamiętała, większość kręciła się wokół erotyki.

– Zawsze uważałam, że facet miał jakiś kompleks – przyznała Julia. – Ciekawe, czy uznałby, że kiedy śnię o zamordowaniu prowadzącego zajęcia ze statystyki, to znaczy, że chcę się z nim przespać.

– Raz śniło mi się, że zabiłam sąsiada i zakopałam pod balkonem – przypomniała sobie Karina. – Ale moim zdaniem to znaczy, że chcę go udusić za włączanie za ścianą telewizora na cały regulator po dwudziestej drugiej, nie zaciągnąć do łóżka.

– Też tak sądzę. Chociaż ja jestem tylko studentką psychologii, a nie słynnym badaczem, więc pewnie moja opinia się nie liczy. Może w rzeczywistości podświadomie marzysz o rzuceniu się na niego na klatce schodowej i zdarciu ciuchów...

– Proszę cię! Jest grubo po czterdziestce, łysieje, waży chyba ze sto kilo, ale nie przyjmuje tego do wiadomości i próbuje flirtować z każdą kobietą w zasięgu wzroku. Wie, że mam męża i dwójkę dzieci, a i tak proponował mi „randkę”. Nienawidzę go – parsknęła Karina, zanim zdążyła ugryźć się w język. „Nienawidzę” było jedną z najważniejszych pozycji w jej słowniku. Lista

znieawidzonych przez nią osób, czynności, rzeczy i cech charakteru nie miała końca. Mimo to zawsze bardzo się pilnowała, by tej nienawiści nie wyrażać na głos.

– Nasza sąsiadka w październiku zadzwoniła na policję z informacją, że prowadzimy nielegalny dom publiczny – rzuciła Julia, nie przerywając rysowania. Najwidoczniej nie potępiała szwagierki za niechęć do sąsiada. – Policja wpakowała się nam na mieszkanie, kiedy przebieraliśmy się na zabawę halloweenową. Otworzył im Tomek w przebraniu wampira, a Kaśka w stroju wiedźmy właśnie robiła mi makijaż. Drozd występował jako zombie i warto dodać, że wypadaliśmy bardzo realistycznie. W pierwszej chwili policjanci byli nieco skołowani. Przebijesz?

Brwi Kariny powędrowały w górę, gdy wyobraziła sobie tę sytuację: dzielni stróże prawa wpadają do rzekomego burdelu, w którym znajdują gromadkę potworów.

– Zaraz... miała powody, żeby was podejrzewać o taką... działalność?

– Dla niej każda dziewczyna, która przyjmuje w mieszkaniu wizyty chłopaka niebędącego bratem albo ojcem, jest dziwką. Nawet jeśli ten gość to dostawca pizzy – zaśmiała się Julia, odkładając wreszcie szkicownik. Wstała z krzesła, podeszła do lodówki i zaczęła przeszukiwać dolne półki. – Chłopcy czasem u nas nocują, więc jesteśmy, wedle jej kryteriów, równe nierządniczy babilońskiej.

Ktoś przeszedł obok kuchni, po chwili trzasnęły drzwi – wejściowe albo od łazienki. Julia zabrała się za przygotowywanie kanapki, nastawiła wodę na herbatę. Karina wyciągnęła przed siebie poobcierane nogi i wyjęła z włosów spinki, rozpuszczając zbyt ciasnego koka. Skóra głowy była boleśnie napięta. Przez moment niemalże zazdrościła Julii, rozczochranej, nieumalowanej, bosej, w tej śmiesznej koszuli nocnej.

Tyle że Karina naprawdę uwielbiała swoją kolekcję eleganckich, drogich butów, a chodzenie po sklepach stanowiło właściwie jej jedyną rozrywkę. Ceniła też sobie delikatne jak mgiełka, srebrzyste i granatowe krótkie koszulki, w których sypiała. I nie mogła nosić rozpuszczonych włosów, zbyt łatwo zaczynały się plątać.

– Pomidory, ser, szynka czy wszystko? – rzuciła Julia, wrywając ją z zamyślenia.

– Pomidor. Nie powinnaś leżeć w łóżku?

– Dzięki wielkie, leżę od wczoraj i mnie szlag trafia. Nie wiem, jak ciocia...

– urwała. Karina zauważyła, że na moment jej ręce zamarły, jedna z uniesionym nożem, druga z plastrem pomidora, który miała właśnie zamiar położyć na chlebie. Karina już zdążyła się zorientować, że żaden z Bluszczów nie chce, a może nie jest w stanie, mówić na głos o chorobie Elżbiety. Banda dysfunkcyjnych popaprańców, tak powiedziała Julia tamtego dnia w ogrodzie? Może miała trochę racji. Michał nigdy nie potrafił wyrażać uczuć i niechętnie rozmawiał o problemach. Nie mogła

sobie wyobrażać, by w przypadku Kamila i Emila było inaczej.

– Nie nudzisz się, siedząc w Zgubie? – spytała Julia, pozornie bez troski, stawiając na stole dwa talerze. – W porównaniu z Warszawą nie ma tu za wiele rozrywek.

– Jakoś przeżyję bez zakupów i siłowni. Nie chodzę do nocnych klubów czy kina.

– Kina, supermarkety i kluby to moja bajka. Ty bardziej pasujesz do eleganckich restauracji, drogich sklepów i proszonych podwieczorków – mruknęła Julia, wpakowując sobie do ust kawałek chleba z serem i szynką. Karina natychmiast się najeżyła, choć rozsądek podpowiadał, że dziewczyna wcale nie chciała jej obrazić. Miała zresztą sporo racji i po prostu stwierdziła fakt: style ich życia bardzo się różniły. W kinie na przykład była parę razy w życiu, dwukrotnie zaproszona na randkę, a później może ze trzy razy już z Michałem, w okresie narzeczeństwa. Najpierw szkoda było jej na to pieniędzy, a potem, gdy tych nie brakowało – nie miała towarzystwa i chęci. Julia natomiast zapewne chętnie biegała po kinach ze znajomymi studentami.

– Kontynuując temat bajek... pewnie mogłabyś w takiej być jakąś księżniczką. W stylu Kopciuszka.

– Nienawidzę Kopciuszka – przyznała Karina, sięgając po swoją kanapkę. – W ogóle nie lubię bajek. Moja... koleżanka zawsze rozwodzi się nad tym, że są szowinistyczne. Kobieta ma spać i ładnie wyglądać, a facet odwala całą robotę. I takie wzorce przekazujemy dzieciom.

– Bardziej irytuje mnie to „długo i szczęśliwie”. Wiadomo, że mężczyzna będzie dobrym mężem, bo wbiegł na najwyższą wieżę? Żeby w życiu było tak prosto – westchnęła Julia, kończąc swoją porcję. Znowu chwyciła ołówek, Karina wychyliła się, żeby zerknąć na kartkę. Ze zdumieniem rozpoznała swoją własną twarz, trochę zamyśloną, otoczoną rozpuszczonymi, odrobinę rozczochranymi włosami. Motylska dostrzegła jej spojrzenie, bo uśmiechnęła się przepraszająco.

– Nie mogłam się powstrzymać. Wybacz, po prostu nie bardzo mam tutaj co robić, więc znowu chodzę i rysuję...

– W porządku. Jest... całkiem... ładny. – Komplement ledwo przedarł się przez gardło Kariny, która do wygłaszania pochwał zdecydowanie nie przywykła. Chyba że pod adresem córek, choć nawet te wydzielala dość skąpo, zazwyczaj gdy grzecznie posprzątały zabawki albo przyniosły jej jakąś laurkę czy bukiet. – Mogę obejrzeć?

Julia zawahała się, ale w końcu popchnęła szkicownik w stronę Kariny, która zaczęła przeglądać kolejne kartki. Nie było tego wiele, widać, Motylska musiała wrócić do rysowania niedawno. Jakaś młoda kobieta z włosami związanymi w dwa kucyki, chłopak o podłużnej, niezbyt ładnej twarzy, niedokończony szkic Saszy, rzeka w lesie i wreszcie dwie podobizny Kamila, jedna udana, druga trochę mniej,

ale obie znacznie bardziej szczegółowe niż ta przedstawiająca Karinę czy nieznaną jej dwie osoby. W ich przypadku można by dopasować portrecik również do kogoś innego, kto akurat jest dość podobny, jednak rysunkowego Kamila nie dałoby się pomylić z nikim innym.

– Uchwyciłaś podobieństwo.

– Wiem – odparła Julia i spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej to wyszło. Karina przekreśliła kartkę, trafiając na ostatni rysunek, przedstawiający bliźniaczki. Ubrane tak jak podczas urodzin Elżbiety, jedna w białą sukienkę, z bukietem kwiatków w rączkach, druga w spodenkach, z diablami rogami na głowie.

– Mogę go wziąć? – spytała impulsywnie. Julia spojrzała na nią wyraźnie zdumiona.

– Pewnie. No nic. Łyknę aspirynę i wracam grzecznie do łóżka. Obudźcie mnie, gdyby... no, gdyby coś się działo.

Gdyby Elżbieta umierała, dokończyła Karina w myślach. Julia wrzuciła talerz do zmywarki, zabrała kubek z herbatą i wyszła z kuchni, a pozostawiona sama sobie Karina poczuła się nieoczekiwanie straszliwie samotna. Mąż oddalony o setki kilometrów, może siedzący w biurze, a może (coś w jej żołądku skręciło się na tę myśl) gdzieś z Cecylią. Dzieci bliżej, mniej niż godzinę drogi, trzydzieści parę minut, jeśli nie było ruchu, ale i tak nieobecne. Dwie osoby w tym domu, z którymi mogła porozmawiać, Elżbieta i (o zgrozo!) Julia, chore.

Zaczęła bawić się telefonem, myśląc o tym, do kogo mogłaby zadzwonić. Michał? Po tym, jak przed chwilą przerwała połączenie? Dobre sobie. Krystyna? Jedyne koleżanka, z którą utrzymywała kontakty, pewnie zarzuciłaby ją informacjami na temat jakiejś nowej publikacji feministycznej, a na to Karina nie miała najmniejszej ochoty. Na telefon do Anity z pytaniem o bliźniaczki było jeszcze trochę za wcześnie, rozstała się z dziećmi zaledwie przed dwoma godzinami.

Moje życie jest żałośnie puste, pomyślała z rezygnacją, wstając. Boso przeszła do salonu, stanęła przy półce z książkami, szukając czegoś do czytania. Tomiki poezji Elżbiety, pozycje o architekturze należące do Marka, parę audiobooków, zapewne własność Emila, poza tym głównie klasyka i kilka romansów. Zdecydowała się na te ostatnie, ale po godzinie i przerzuceniu kilkunastu stron trzech książek odłożyła je na półkę zniesmaczona. Czy miała pecha, czy naprawdę większość tego typu powieści opiewała związek młodej, pięknej, uczciwej, pełnej uroku kobiety z bogatym, przystojnym i uzdolnionym mężczyzną?

Teoretycznie też była młoda, piękna i pełna uroku, kiedy poznała Michała, przystojnego i dobrze sytuowanego, przyszło Karinie do głowy. Mimo tego nie umiała utożsamiać się z bohaterkami powieści czy pierwszoplanowymi postaciami

seriali, których pojedyncze odcinki czasem zdarzało się jej oglądać. Za to – jak sobie nagle uświadomiła – świetnie nadawałaby się do roli obecnej partnerki głównego bohatera, za wszelką cenę próbującej utrzymać go przy sobie i nie dopuścić, by zszedł się z tą, której jest przeznaczony. Mimowolnie zaczęła robić przegląd narzeczonych, żon i dziewczyn, rywalizujących w serialach i komediach romantycznych z pierwszoplanową postacią. Ładne. Dobrze ubrane. Pewne siebie. Zainteresowane ciuchami i makijażem. Gotowe na wszystko. Fałszywe.

Przez widzów zawsze uważane za puste. Wredne. Bo nie chciały tak łatwo zrezygnować z mężczyzny swojego życia? Matko święta, jaka prawdziwa kobieta tak po prostu by się poddała? Interesowne i spragnione pieniędzy. Jasne, każda młoda dziewczyna marzy przecież tylko o tym, żeby całe życie stać przy garach, sprzątać, harować za marne grosze i mieszkać w ciasnej klitce.

Nie jesteś zbyt sympatyczną osobą.

Rzadko lubimy kogoś, kto nie lubi nas.

Uznałbym, że nikogo nie jesteś w stanie polubić.

Może mieli trochę racji. Ale co z tego? Starła się przecież. Próbowwała być najlepszą żoną, matką, synową, szwagierką. Owszem, nienawidziła wielu rzeczy i często zdarzało się jej umierać z zazdrości. Każdy ma przecież jakieś wady, prawda?

Zaczęła krążyć po salonie, na dłużej zatrzymała się przy komodzie, na której ustawiono kilka zdjęć. Michał, może pięcioletni, trzymający za rękę siostrę, ubraną w różową sukienkę. Marek, tarzający się z dziećmi po trawie. Julia, stojąca między Kamilem i Emilem, tak inna od tej obecnej, roześmianej dziewczyny o krótkich, rudych włosach, przynajmniej pozornie pewnej siebie. Julia ze zdjęcia garbiła się, twarz częściowo przysłaniały jej grzywka i długie, mysie kosmyki, miała na sobie szarą, nijaką bluzkę. Czegoś brakowało w tej nastolatce – może radości życia?

Kamil przy pianinie, wystrojona Jowita na studniówce, Michał na nartach, Elżbieta otoczona dziećmi na tle morza. Żadnych nowych zdjęć, uświadomiła sobie Karina. Najnowsze pochodziło prawie sprzed pięciu lat, bliźniaczki w wózku popychanym przez ich babcię. Ostatnie przed nim to musiało być właśnie to, z Julią i chłopcami. Dlaczego brakowało zdjęć z późniejszego okresu? No tak, przecież wszyscy się rozjechali. I chyba żadne z dzieci, oprócz Emila, nie bywało tutaj często. Czy Elżbieta i Marek nie czuli się samotni w tym wielkim domu? Karina przygryzła wargę, czując ukłucie wyrzutów sumienia. Wprawdzie spędzali z nimi każde święta, przywozili im bliźniaczki na miesiąc wakacji, ale może to było zbyt mało? Tyle że trudno oczekiwać wizyt, gdy mieszka się tak daleko od siebie.

Wszystkie fotografie pokrywał kurz. Tamta kobieta – Iwona? Ilona? – chyba nie przykładała się do pracy wystarczająco. Czy w ogóle była w domu w ciągu ostatnich dwóch tygodni? Może zachorowała albo ktoś powiedział jej, żeby nie przychodziła. I dobrze. Karina rozpaczliwie potrzebowała zajęcia. Julia miała rację,

podejrzewając, że szwagierka się nudzi. W Warszawie zawsze miała coś do zrobienia, trzeba było zrobić pranie, wyprasować Michałowi koszulę na rano, przygotować śniadanie i kolację, zawieźć bliźniaczki do szkoły, na lekcje tańca, wyjść z nimi do parku, zrobić tysiąc innych rzeczy. Tutaj Kamil robił zakupy, Julia przygotowywała kolację, Ilona sprzątała, Karina nie musiała nawet cały czas pilnować córek, bo często ktoś inny miał je na oku. Wbiegła więc teraz na górę, przebrała się w spódnico-spodnie i ciemną, obcisłą bluzkę, potem wyciągnęła z łazienki mop. Sprzątanie zajmowało nie tylko ręce, ale także myśli. Umyła podłogi w kuchni, salonie i korytarzu, poskładała porozrzucone rzeczy, wyrzuciła przeterminowane produkty z lodówki i zabrała się za ścieranie półek. Starannie wyczyściła pianino. Taki piękny instrument, a prawie nieużywany, pokryty kurzem. W dzieciństwie marzyła o tym, żeby uczyć się gry, ale oczywiście nie miała na to najmniejszych szans. Z tym większym zachwytem słuchała Michała, gdy pierwszy raz zabrał ją do Bluszczowego Dworu i zagrał specjalnie dla niej. Nie była oczywiście obiektywna, wydawało się jej wtedy, że jest prawdziwym wirtuozem, podczas kiedy grał zaledwie poprawnie. Kamil był lepszy, Michał wspominał nawet, że jego brat sam skomponował parę melodii, ale żaden z nich nie mógł równać się z Elżbietą. O tak, ona mogłaby zostać prawdziwą artystką.

Karina sięgnęła po plik nut ułożony na pianinie i zaczęła przerzucać kartki. Kojarzyła niektóre tytuły i nazwiska, *Sonata Księżycowa* Chopina, *Oda do radości*, parę utworów jakiegoś japońskiego kompozytora. Ale niektóre pięciolinie zostały wypełnione ręcznie, niewydrukowane. *Sonata dla Motyla* – odczytała jeden z tytułów. Nuty nic jej nie mówiły, na kartce nie umieszczono też nazwiska twórcy. Na pozostałych stronach zapisanych odręcznym pismem nie było ani nazw utworów, ani ich autorów. Może to były te próby stworzenia czegoś przez Kamila?

Porzuciła jałowe rozmyślania, weszła po schodach na górę i wsunęła się do pokoi teściów. Zgodnie z przewidywaniami zastała ich w sypialni. Elżbieta, jak zwykle w ostatnich dniach, leżała na łóżku, do którego Marek dosunął fotel. Trudno byłoby orzec, które z nich wyglądało gorzej, bo teść też był blady, oczy miał podkrążone, ubranie wymięte, przybyło mu siwych włosów, a jego policzki pokrywał zarost. Czytał coś na głos, ale umilkł, widząc w drzwiach synową.

– Pomyślałam, że zrobię kolację – powiedziała, w ostatniej chwili powstrzymując się przed schwyceniem za brzeg spódnicy i nerwowym miętoszeniem materiału. Nie czuła się dobrze, wchodząc do tego pomieszczenia, oglądając Elżbietę w takim stanie i co więcej, przeszkadzając małżeństwu. Miała wrażenie, że jest intruzem. – Zjedlibyście coś?

– Chodź tutaj – zażądała Elżbieta. Przesunęła rękę, klepnęła nią o kołdrę, wskazując, gdzie synowa ma usiąść. Nie umknęło uwadze Kariny, jaką trudność sprawił kobiecie ten prosty gest. W ostatnich dniach prawie nie jadła, a lekarz, który przyszedł przedwczoraj wieczorem, zasugerował przeniesienie jej do szpitala,

gdzie mogłaby dostać kroplówkę. Nie ukrywał jednak, że żaden, choćby najlepszy sprzęt i personel, nie zdoła przedłużyć życia chorej więcej niż o parę dni.

Karina usiadła na brzegu łóżka, ujęła dłoń Elżbiety. Skóra była nieprzyjemnie szorstka, pokryta przebarwieniami, z których większość musiała pojawić się w ostatnich tygodniach, może nawet dniach. Kościste palce kobiety przebiegły po ręce synowej, pogładziły obrączkę z białego złota.

– Ciebie też kocham, dziewczynko. Jesteś częścią rodziny.

Karina przygryzła wargę, zamrugła parę razy, w beznadziejnej próbie powstrzymania łez, które ni z tego, ni z owego napłynęły jej do oczu. Elżbieta na szczęście nie mogła już tego zobaczyć, wyraźnie zmęczona tą króciutką rozmową opuściła powieki. Marek natomiast w ogóle nie dostrzegał chyba trzeciej osoby w ich małżeńskiej sypialni, widział jedynie twarz żony. I Karina nie miała żadnych wątpliwości, że choć Elżbieta jest wyniszczona przez chorobę, blada i tak wychudzona, że skóra ciasno obleka kości, dla niego wciąż pozostaje najpiękniejsza na świecie. Odłożył książkę na nocny stolik, ujął wolną rękę Elżbiety. Nie ścisnął jednak jej dłoni, przyłożył palce do nadgarstka. Sprawdzał puls. Karina pochyliła się w nagłym ataku paniki, ale nie, kobieta nie umarła, dalej oddychała, tylko płytko, niezbyt regularnie.

Gdy uniosła głowę, napotkała spojrzenie ciemnych oczu teścia.

– Zawołaj ich – nakazał. Natychmiast poderwała się z miejsca, jednym skokiem pokonała sypialnię, przebiegła przez sąsiedni pokój i wypadła na korytarz.

– Chodźcie tu! – krzyknęła. Z przedpokoju wyszedł Kamil, musiał dopiero wrócić do domu. Otworzyły się drzwi sąsiedniego pomieszczenia, widocznie Emil cały czas nasłuchiwał, spodziewając się takiego wezwania. – Szybciej!

Rozczochrana głowa Julii wyjrzała zza rogu, ale Karina już tego nie zobaczyła, zdążyła się cofnąć. Słyszała, jak dudnią stopnie, po których wbiegał Kamil; zanim przeszła do sypialni, wyminął ją, omal nie zbijając z nóg. Nie zajęła swojego wcześniejszego miejsca na łóżku, stanęła przy oknie, pozwalając, by dzieci zyskały dostęp do matki.

Na parapecie usiadł ptak i spojrzał na Karinę ciemnymi, paciorkowatymi oczami.

XII

Anna

Kamil nieomal wleciał na pierwsze piętro, dopadł drzwi sypialni rodziców tak szybko, że ktoś mógłby podejrzewać go o umiejętność teleportacji. Emil był niewiele gorszy, Anna przeoczyła moment, w którym znalazł się przy wejściu. Na końcu w pokoju znikła Jowita, obejmująca brzuch rękoma, a drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaskiem. Anna wciąż jednak nie drgnęła, stała u dołu schodów, z zadartą głową i dłonią opartą o poręcz, jakby nie mogła się zebrać do wejścia na górę. Gdy wreszcie zaczęła wspinać się po stopniach, szła wolno, jakby właśnie wkraczała na szafot.

Łatwe jest zejście do piekieł, dźwięczał jej w głowie cytat, którego pochodzenia nie mogła sobie przypomnieć. We śnie, wywołanym gorączką i gonitwą myśli, zbiegała po kamiennych schodach wieży, zostawiając za sobą czarnoksiężnika i to faktycznie było łatwe, bo okazało się, że drzwi, których nigdy nie próbowała otworzyć, nie zostały zamknięte. A co najbardziej zaskakiwało, czarownik nawet nie próbował jej gonić. Smok, czekający na dziedzińcu, nie zionął ogniem.

Przygryzła wargę tak mocno, że poczuła w ustach smak krwi, szarpnęła za kłamkę i wsunęła się do pokoju. Był pusty, wszyscy zebrali się w drugim pomieszczeniu, przy łóżku, na którym leżała Elżbieta. Anna stanęła w progu, oparła się o futrynę, rozpaczliwie szukając podparcia, by nie gruchnąć na podłogę. Ktoś płakał. Kto? Kto płacze? Rozejrzała się, poszukując źródła dźwięki. To Jowita siedziała na krześle, szlochając i kiwając się w przód i w tył, jak dziecko z chorobą sierocą. Karina, stojąca przy parapecie też łkała, ale w ciszy, twarz zakrywając obiema rękoma.

Ciocia (matka) jest martwa?

Nie widziała Elżbiety (ciała, trupa), przysłaniały ją plecy Kamila, który usiadł na brzegu łóżka. Pokój kręcił się, wszystko traciło barwy, przed oczami Anny rozlała się czerń. Ktoś coś mówił, ale w uszach jej szumiało, nie tylko nie rozróżniała słów, nie umiała nawet rozpoznać głosu. Szarpnięcie. Pociągnięta gwałtownie za łokieć, pozbawiona oparcia futryny, poleciała do przodu na spotkanie podłogi (piekła). Nie upadła jednak, podtrzymała ją ręka Kariny,

zaskakująco pewna i silna, ta sama, która przed chwilą nią szarpnęła.

– Idź do niej. Tylko ty zostałeś – syknęła. Twarz Kariny wyglądała groteskowo, makijaż się jej kompletnie rozmazał, czarny tusz spłynął ze łzami, czerwone plamy wystąpiły na policzkach. Anna zrobiła dwa niepewne kroki i ponad ramieniem Kama zobaczyła, jak Emil odsuwa głowę, odsłaniając swoją matkę. Oczy wciąż miała otwarte. Musiała coś do niego przed chwilą szeptać. Żyła, jeszcze żyła, może to jednak nie ta godzina, nie ten dzień, może mają jeszcze czas.

– Kocham cię – powiedziała Anna, klękając obok Emila. Nie zostawiaj nas, nie odchodź, miała ochotę błagać. Elżbieta poruszyła ustami. Anna musiała pochylić się, jak wcześniej chłopcy, żeby usłyszeć, co chciała przekazać.

– Jesteś nią.

Nie jestem, zaczęła i urwała Anna, wtedy, na przyjęciu urodzinowym. Jesteś, zaprotestował Marek.

– Kocham cię, mamó – powtórzyła i ucałowała zapadnięty policzek. Elżbieta uśmiechnęła się, powoli odwróciła od nich głowę, by spojrzeć na męża. Marek wciąż ścisnął jej dłoń, druga pozostawała uwięziona między palcami Kamaela. Powieki chorej opadły, ale z bliska Anna wciąż widziała, że kołdra się porusza, ledwo, ledwo, lecz nieustannie. Teraz to Marek pochylił się, chociaż nie po to, żeby coś usłyszeć. Dla niego nie było już żadnych słów. Przycisnął wargi najpierw do czoła żony, dokładnie tam, gdzie znaczyła się zmarszczka wyraźniejsza od innych, potem do popękanych, wysuszonych ust. I kiedy się odsunął, Kamil bardzo powoli uniósł trzymaną wciąż dłoń matki, ostrożnie ułożył ją na jej piersi. Dłoń zupełnie bezwolną, na zupełnie nieruchomej piersi.

Gdyby Anna już nie klęczała, upadłaby pewnie, a tak osunęła się tylko, siadając na piętach. Jowita szlochała rozpaczliwie, obejmując brzuch. Emil skulił się na podłodze, chyba też płakał, ale nie można było tego stwierdzić na pewno, bo twarz przycisnął do kolan, a nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Karina odwróciła się do okna, oparła ręce o parapet, jakby w obawie, że inaczej straci równowagę. Kamil długą chwilę trwał w bezruchu, a potem poderwał się z łóżka, wybiegł z sypialni.

Trzasnęły drzwi. Później zapadła cisza.

*

Nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Szuflada, w której trzymali leki Elżbiety, kusiła. Anna wiedziała, że znajdzie tam białe, plastikowe opakowanie pełne wąskich tabletek, które mogą dać kilka

godzin snu, błogosławionej nieświadomości. Schodziła po schodach z myślą o tych pastylkach, ale sama nie wiedząc czemu, ostatecznie zamiast wejść do kuchni, skierowała się do drzwi wyjściowych. Wyszła na taras bosa, wciąż ubrana w swoją luźną, żółtą koszulę nocną, opadła na drewniane stopnie. Słońce powoli zniknęło za drzewami, niebo na wschodzie nabierało granatowej barwy. Drobne kwiatki maciejki, zasadzone przy ganku i w długich doniczkach, zaczynały się otwierać, do Anny doleciał ich zapach. Lubię maciejkę, powiedziała kiedyś Elżbieta. Jest tak niepozorna, ginie przy innych kwiatkach, ale gdy słońce zachodzi, to ona króluje w ogrodzie.

Drewno, nagrzane za dnia, nie zdążyło jeszcze oddać całego ciepła. Sasza, dostrzegłszy swoją panią na schodach, czym prędzej przybiegła, niosąc w pysku gumową, czerwoną piłkę. Anna nie rzuciła zabawki, zamiast tego otoczyła się ramionami i ukryła twarz w sierści. I pomyślała, że może inni też potrzebują do kogoś się teraz przytulić, że może nie powinna zostawiać ich samych. Kamil pewnie był gdzieś w lesie, jeszcze gotów zrobić coś głupiego. Emil zamknął się we własnym pokoju i kiedy wyobraziła go sobie, jak siedzi skulony na łóżku, przez ułamek sekundy miała ochotę natychmiast do niego pobiec. Jowita wciąż płakała, chyba w salonie, te nerwy mogły zaszkodzić i jej, i dziecku. A Marek na pewno się nie ruszył, pozostał w tej samej pozycji, co godzinę temu, trwając przy ciele żony.

Tylko czy naprawdę jej potrzebowali, czy nie woleli zostać sami? Jak miała zdecydować, do kogo iść? I w jaki sposób pomóc?

Niezdolna do podjęcia decyzji, jedynie zmieniła pozycję, opierając głowę na grzbiecie Saszy, która położyła się przy jej boku. Okazało się, że nie musiała zażywać żadnych tabletek, nie zasnęła wprawdzie, ale otępienie nadeszło samoistnie. Na współsiedziała, na współleżała, nie do końca świadoma upływu godzin, tego, że stopnie stają się coraz zimniejsze, na niebie rozlała się czerń, a temperatura spadała. Po północy zapadła w niespokojny sen, w którym kogoś ścigała, biegnąc najpierw przez las, potem przez ulice Warszawy, a wreszcie korytarzem jakiegoś zamku. Najpierw myślała, że to Kamael, ale później postać zmieniła się w nią samą. Gdy już schwyciła ją – siebie – za rękaw, ta zmieniła się w Elżbietę i znikła.

– Julia! Chwała Bogu.

Czyjś głos wyrwał ją ze świata zwiarów. Wyprostowała się, zdrętwiała i przemarznięta. Dookoła panowała szarość poranka, słońce jeszcze nie było na tyle wysoko, by znaleźć się nad wierzchołkami drzew, ale niebo powoli błękitniało.

– Dasz radę prowadzić? – spytała Karina, nieomal przemocą stawiając wciąż nie do końca przytomną Annę na nogi. Nie wyglądała teraz tak wspaniale jak zwykle. Zmyła wprawdzie z twarzy rozmazany makijaż, ale nie nałożyła nowego, włosy miała rozpuszczone i nie przebrała się od wczoraj. – Nigdzie nie ma Kamila, a Marek... Nie mogę prosić Marka! Już miałam dzwonić po pogotowie.

- Co się dzieje?
- Jowita chyba będzie rodzić.

– O matko – jęknęła Anna, nagle w pełni rozbudzona. Wbiegła do domu, potykając się, wpadła do salonu. Jowita siedziała w fotelu i wydawała się kompletnie przerażona. Nic dziwnego, termin miała wyznaczony dopiero za miesiąc. Urodzenie dziecka poza szpitalem mogło skończyć się tragicznie. – Jesteś pewna? Karina! Wyprowadź ją, bierzemy samochód Kama, biegnę po kluczyki!

Rzuciła się najpierw do swojego pokoju, złapała dzinsy porzucone na oparciu krzesła, po chwili wbiegła po schodach do sypialni Kamila, usiłując po drodze naciągnąć na siebie spodnie. Oby nie miał przy sobie kluczy, gdy wyszedł z domu. Staruszek może był najwspanialszym autem na świecie, ale absolutny szczyt jego możliwości stanowiło dziewięćdziesiąt, w porywach sto kilometrów na godzinę, co mogło okazać się zbyt małą prędkością w obecnych okolicznościach.

Nie wchodziła do pokoju Kama od wyjazdu do Warszawy. Na pierwszy rzut oka nie zmieniło się tu wiele, a nie miała czasu na uważniejsze obserwacje. Kiedyś nosił kluczyki w kieszeniach albo zostawiał gdzieś w biurku, sprawdziła więc dzinsową kurtkę wiszącą przy drzwiach, a potem zaczęła przeszukiwać szuflady. Zdenerwowana wyrzuciła zawartość jednej z nich na podłogę, zabrała się za przewracanie do góry nogami pozostałych. Kluczyki były w pierwszej od dołu, razem z dokumentami, rzucone na plik kartek – bardzo znajomych kartek, wcześniej spoczywających w teczce w biurku Anny. Rozwiązała się tajemnica brakujących rysunków. Przez ułamek sekundy poczuła napływ gniewu, ale ten opadł równie szybko, jak się pojawił. Wcześniej byłaby wściekła. Teraz nie miała ani siły, ani czasu na złość.

Jowita i Karina czekały już przy samochodzie Kamila. Anna ruszyła z piskiem opon, ze wszystkich sił próbując się uspokoić. Najbardziej na świecie pragnęła zwinąć się gdzieś w kłębek i płakać, ale nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. Mocno zaciskała ręce na kierownicy, starając się nie myśleć o niczym, oprócz drogi.

– Zdążymy? – spytała Karina zaniepokojona, kiedy Jowita jęknęła, zwijając się na tylnym siedzeniu.

– To Kam uczył mnie prowadzić. Jasne, że zdążymy – powiedziała Anna. W jej głosie słychać było pewność, której wcale nie czuła. O tej porze droga powinna być niemal pusta, dzięki czemu przy odpowiedniej prędkości mogły dotrzeć do szpitala w jakieś pół godziny. Tyle że w stanie, w jakim się znajdowała, nie ufała do końca swoim umiejętnościom.

– Trzymaj się, Jo.

– Trzymam się – burknęła Jowita. – Gdybyś nie zauważyła, kobiety w naszej rodzinie są znacznie twardsze niż mężczyźni... O matko. Julie, gaz do dechy.

*

Życie Anny nie było zbyt uporządkowane i właściwie niewiele rzeczy mogło ją zaskoczyć. Mimo to jeszcze niedawno nie uwierzyłaby, że wyląduje na porodówce z siostrą, z którą straciła kontakt przed kilkoma laty, i ze szwagierką, która jej nienawidziła. Jakby tego było mało, miała na sobie koszulę nocną zamiast bluzki, a Karina, rozczochrana i bez makijażu, wyglądała jak ktoś obcy.

Siedziały w poczekalni, Anna z nogami wyciągniętymi przed siebie, obutymi w rozwiązane adidas, Karina, choć nie tak elegancka jak zawsze, w pozycji prawdziwej damy: wyprostowana, z nogą założoną na nogę. Pomiędzy nimi zostało wolne krzesło. Obie tak samo zrozpaczone, zdenerwowane, zmartwione przedwczesnym porodem Jowity i zagubione. Mimo to żadna z nich jakoś nie miała ochoty rozmawiać. Przesiedziały w milczeniu dwie godziny i trzydzieści siedem minut – Anna zerkała na zegarek średnio co trzydzieści sekund. Karina, pozornie opanowana, tylko co jakiś czas zmieniała odrobinę pozycję, Anna czasem się zrywała, żeby niespokojnie krążyć po korytarzu, jakby w nadziei, że jeśli będzie szła dość szybko, zdoła zostawić myśli gdzieś za sobą.

Elżbieta Weronika Bluszcz przyszła na świat o dziewiętej pięćdziesiąt dwie. Pospieszyła się trzy tygodnie, wystarczająco, aby ważyć mniej niż większość noworodków i wzbudzić pewne obawy co do stanu swojego zdrowia, ale, jak się okazało, nie dość, by pojawiły się prawdziwe problemy – a przynajmniej tak wstępnie stwierdzili lekarze.

– Ma niebieskie oczy – poinformowała je Jowita, gdy zostały do niej wpuszczone. – Po mnie. Tak samo jak włosy.

Anna zrobiła sceptyczną minę, ale nie próbowała się kłócić, choć wiedziała, że wszystkie niemowlaki mają błękitne oczy, i nie miała pojęcia, jak Jo zdołała dopatrzeć się jakichś włosów na tej czerwonej, w opinii Anny, kompletnie łysej główce.

Jak się okazało, dobrze zrobiła, bo chwilę później świeżo upieczona mama wybuchła płaczem. Nie wyglądała już tak uroczo jak wtedy, gdy łzy spływały jej po policzkach na ekranie, w scenie, w której odchodziła od swojej serialowej miłości (i z samego serialu przy okazji). Lekarz, który zjawił się po kwadransie, zdiagnozował szok poporodowy i podał jej jakieś lekarstwo. Anna nie zdołała znaleźć w sobie dość energii, aby wyjaśniać, że Jo ma pełne prawo do takiego zachowania, które ma więcej wspólnego z jej matką niż czymkolwiek innym. Właściwie nie miała siły kompletnie na nic. Zmobilizowała wszystkie rezerwy, aby dostarczyć do szpitala przyszywaną siostrę i spróbować ją pocieszyć.

Kiedy opadła na krzesło po wyjściu od Jowity, która zmęczona i otumaniona (może płaczem, może porodem i bólem, może lekami, a może wszystkim naraz) powoli przysypiała, nie sądziła, że zdoła wstać. Była jedenasta trzydzieści siedem. Nikt niczego od niej nie chciał. Przymknęła oczy, czując tępe pulsowanie w tyle głowy.

Mogła poprosić lekarza o to samo, co podał Jowicie.

– Wracajmy – powiedziała Karina. To by było na tyle, jeśli chodziło o „nikt-niczego-ode-mnie-nie-chce”. – Marek nie powinien być sam. Trzeba zająć się formalnościami.

– Masz rację – westchnęła Anna, ganiąc sama siebie. To ona powinna o tym pomyśleć. O tym, że należy zadzwonić do zakładu pogrzebowego, zdobyć akt zgonu, iść do kościoła, kupić trumnę, zrobić sto jeden rzeczy, na myśl o których miała ochotę wymiotować. – Nie wiem... nie wiem nawet, jak się do tego zabrać.

– Ja to zrobię – zadeklarowała Karina. Anna zmierzyła ją uważnym spojrzeniem, zastanawiając się, skąd nagle ten przypływ altruizmu. Choć właściwie chyba była niesprawiedliwa. Karina nie lubiła jej samej, Kama, Emila, a nawet Jo, ale przepadała za swoimi teściami. Kochała ich? Szanowała? Nie dało się tego jednoznacznie stwierdzić na podstawie samych obserwacji. – Zadzwonię do Michała i wszystko zorganizuję. Ty... ty się nimi po prostu zajmij. Ja nie mogę. Wstawaj. No już.

Zająć się? Kim? Jak? Markiem? Emilem? Kamem? Jo? Małą Elą? Wszystkimi? Niby jakim cudem? Musiałyby opanować zdolność bilokacji. A najlepiej byłoby, gdyby zdołała rozszczepić się na kilka osób. Jedna zostałaby w szpitalu z Jowitą, druga siedziała przy Marku, trzecia przy Emilu, na czwartej Kam trenowałyby wbijanie słownych szpilek, piąta pojechałaby na wakacje do Kołobrzegu, a szósta zamknęła się we własnym pokoju i ryczała.

Coś dla każdego. Dla niej samej ostatnia opcja. Bo nią nie miał kto się zająć.

– Sprawdzisz, co z nimi – zakomenderowała Karina, kiedy wychodziły ze szpitala. Widać, przywykła do planowania i dyrygowania przy córkach. W przeciwieństwie do Anny była zorganizowaną osobą. – Zwłaszcza czy Kamil nie zrobił czegoś głupiego. Po południu przyjedziesz do Jowity, jeśli któryś będzie w przyzwoitym stanie, weźmiesz go ze sobą.

Zegarek nad radiem w samochodzie Kamaela informował, że jest dwunasta trzy. Elżbieta nie żyła od siedemnastu godzin.

*

Pokój Emila był bezosobowy, trochę jak sypialnia w hotelu, przygotowana do przyjęcia nowego lokatora, nienależący tak naprawdę do nikogo. Chłopak nigdy niczego nie zawiesił na ścianach – po co, skoro i tak nie mógł tego zobaczyć. Nie zbierał żadnych pamiątek, książki trzymał w salonie, a płyty ukrył w szufladach komody. Zawsze starannie składał ubrania, na wierzchu nie leżało więc kompletnie nic. Szafa, komoda, łóżko, obrotowy fotel i odtwarzacz, to wszystko, co znajdowało się w pokoju Emila.

Musiał usłyszeć, jak Anna wchodzi do środka. Umiał rozpoznać każdego domownika po samych krokach. – To proste – wyjaśnił jej kiedyś, gdy o to spytała, zdumiony, że dla niej różnice nie są oczywiste. – Mama chodzi lekko, jakby tańczyła, najciszej z was. Tata ma pewny, szybki krok, trudno go nie usłyszeć. Jowita szura kapturami, Michał śmiesznie kłapie, chociaż rzadko gdzieś się śpieszy, a Kamil sprawia wrażenie, jakby obraził się na schody i chciał je stratować...

– Emi – powiedziała, siadając na skraju łóżka. Nie poruszył się, choć nie spał przecież. Znow zamknął się w swoim świecie, próbując nie dopuszczać do siebie zewnętrznych bodźców. Gdy sprowadziła się do Zguby, na samym początku bała się go w takich chwilach. Było w tym coś dziwnego, niewłaściwego, wychwytywała zaniepokojone spojrzenia, jakie rodzice rzucali wtedy swojemu synowi. Rodzeństwo czasem próbowało zachęcić go do zabawy, ale kiedy popadał w taki nastrój, ignorował ich. Jako dziecko był mało rozmowny, wycofany, lecz gdy zamykał się w ten sposób, nie reagował na nic. Sama nie wiedziała, dlaczego zaczęła siadać przy jego boku. Nie starała się zmuszać go do rozmowy, zwykle po prostu szkicowała – bardzo często właśnie Emila, bo potrafił długo usiedzieć nieruchomo i był doskonałym modelem. Przywykła do jego milczenia i po paru tygodniach, gdy spytał, dlaczego to robi, była tak zdumiona, że w pierwszej chwili odebrało jej mowę.

Tamtego dnia po raz pierwszy rozmawiali naprawdę.

– Braciszku – mruknęła, kładąc się za jego plecami i obejmując go. Wspomnienia z dzieciństwa sprawiły, że poczuła nagły przypływ złości na samą siebie. Wtedy umiała być cierpliwa, powoli umacniać wątłą nić porozumienia. Oswajać go jak Mały Książę lisa. Teraz, gdy Emil był milczący i zdystansowany, nie próbowała nic z tym zrobić. Łatwiej było zostawić Emila samego, wmawiać sobie, że nie chce po prostu do niczego go zmuszać. – Zostałeś wujkiem pewnej małej damy.

Drgnął. Anna oparła czoło o jego plecy.

– Panienska Ela waży niewiele, ale ponoć mieści się w normie. Jowita utrzymuje, że to najpiękniejsze dziecko na świecie, choć moim zdaniem wygląda jak czerwony, pomarszczony potworek.

– Dobrze się czują? – spytał w końcu. Głosem wypranym z emocji. Nie odpychał jej, ale leżał sztywny, jakby chciał ją zniechęcić, sprawić, żeby sobie

poszła.

– Fizycznie tak – odparła unosząc się na łokciach i patrząc na Emila z góry. Oczy miał zaczerwienione od płaczu. Zabawne, był starszy od niej, starszy nawet od Kamila, a zawsze traktowali go tak, jakby to on był najmłodszy, potrzebował opieki. Przez niepełnosprawność? Po części na pewno. Niezbyt imponująca postura też robiła swoje. Ponadto, w przeciwieństwie do reszty Bluszczów, był introwertykiem, nie radził sobie z nawiązywaniem kontaktów z innymi. Obecność zbyt dużej ilości obcych przerastała go. Dobrze czuł się tylko przy osobach, które znał. – Mam sobie iść?

Położył się na wznak, odnalazł jej rękę. Skuliła się przy jego boku, opierając mu głowę na ramieniu. Przypomniała sobie przyjazd do Zguby, nadzieję na to, że opowie Emilowi o Kaśce, Arku, wysłucha nowinek z życia przyjaciela. Nie tak sobie to wyobrażała, zupełnie nie tak.

Usiadła gwałtownie, przez otwarte drzwi dostrzegając Kamila.

– Kam! – krzyknęła, ale zdążył przejść obok. Anna zacisnęła zęby, jednak nie puściła dłoni Emila. Raz już pobiegła za Kamaelem. Pierwsza go zawołała. Musiał sam zdecydować, czy są mu potrzebni.

Wyjrzał zza futryny. W pierwszej chwili odetchnęła z ulgą. W następnej zrozumiała, że gdziekolwiek był przez ostatnie kilkanaście godzin, wlał w siebie nieprawdopodobne ilości alkoholu. Wyglądał strasznie, w przybrudzonej koszulce, z rozciętą wargą, nawet z daleka śmierdzący dymem i wódką. Musiał zabrać samochód Marka, skoro one wzięły jego auto. Czy znów prowadził po pijanemu? Pomyślała o tych niezliczonych razach w przeszłości, kiedy wracał do domu właśnie w takim stanie, wciąż trochę nietrzeźwy albo walczący z kacem, ze śladami po odbytych bójkach. I o tym, że podczas tych wakacji to zdarzyło się po raz pierwszy. Wydorosła? A może tylko nie chciał martwić chorej matki? Czy była naiwna, skoro zaczęła mieć nadzieję na to, że się zmienił? Czy zrobił to raz, bo nie mógł poradzić sobie w inny sposób?

– Kamael – powiedział cicho Emil, podciągając się do pozycji siedzącej.

– Czego chcecie?

Ciebie, głupku, pomyślała, choć nie odważyła się powiedzieć tego głośno. Powinieneś być z nami. Przynajmniej teraz.

Wyciągnęła lewą rękę, prawa wciąż tkwiła w uścisku Emila. Kamael się zawahał. W końcu, po nieskończenie długiej chwili, podszedł i usiadł na łóżku. Coś dusiło ją w gardle, nie byłaby zdolna wydusić z siebie ani słowa. Ledwo zmieścili się we troje na posłaniu, trzymając się za ręce jak małe dzieci. Anna czuła pod palcami, że kostki na dłoni Kama są opuchnięte. Jego sposobem na zniesienie tych kilku pierwszych godzin było utopienie smutku w alkoholu, sprowokowanie kogoś i wyładowanie wściekłości. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie przesadził. Na wyrzuty brakowało jej i siły i ochoty. Zresztą po co, skoro wreszcie, po raz

pierwszy od powrotu do Zguby, było dokładnie tak, jak powinno? Znowu we troje, a cisza między nimi nie zdawała się już nienaturalna. Gdyby mogli po prostu tak leżeć, niczego nie robić, nie myśleć – ale wiedziała, że niedługo będzie musiała znów wstać. Wrócić do Jowity, która nie powinna być sama w szpitalu. Pomóc Markowi i Karinie z załatwianiem formalności. Przetrwąć pogrzeb. Zająć się Markiem, Jowitą i jej córeczką. Wytłumaczyć Kaśce i reszcie, dlaczego nie przyjedzie.

Wrócić do Warszawy. Uczyć się ze świadomością, że nigdy więcej nie zadzwoni do Elżbiety z radosną wieścią o zaliczeniu egzaminu.

Zostawić ich wszystkich za sobą. Po raz drugi.

Żyć.

Nie umiała powiedzieć, co będzie najtrudniejszym wyzwaniem.

XIII

Karina

Karina zawsze była zorganizowana. Działała precyzyjnie, sprawnie, według z góry określonego planu, odhaczając z listy kolejne podpunkty. Przewidywała, ile zajmie dana czynność, zawsze zostawiając odrobinę zapasu. Od razu wiedziała, co może pójść nie tak i zwykle miała przygotowany plan B. W tym przypadku też postępowała spokojnie i metodycznie, świadoma, że ktoś musi się wszystkim zająć – a ten „ktoś”, oznaczał ją samą. I być może Julię.

Porozmawiała z Markiem. Teść, który w ostatnich tygodniach próbował być silny dla żony, teraz sprawiał wrażenie nie tylko załamane, ale też wycieńczonego i otępiałego. Za tym ostatnim prawdopodobnie stało plastikowe pudełeczko, które Karina od razu dostrzegła na stole w salonie. Otwarte. Zanotowała na swojej liście – przechowywanej nie na papierze, a w głowie – by zwracać uwagę na leki Elżbiety. Nie mogła winić Marka za to, że po nie sięgnął, ale musiała dopilnować, aby nie zaczął na nich zbytnio polegać.

Zostawił jej wolną rękę. Poszła więc do pokoju gościnnego, gdzie stał ogólnodostępny komputer, aby otworzyć stronę zakładu pogrzebowego, którą zdążyła znaleźć już wcześniej. Na wszelki wypadek. Po drodze natknęła się na Kamila, właśnie wchodzącego do domu. On też musiał nocą zaaplikować sobie swoje własne lekarstwo, w nozdrza od razu uderzyła ją woń alkoholu i papierosów. Karina zacisnęła usta ze złością, przepuszczając go bez słowa. Nie odważyłaby się powiedzieć niczego Kamilowi. Zresztą, zgodnie z umową, znalazł się on w zakresie obowiązków Julii. To ona będzie musiała dopilnować, by był trzeźwy w kościele, żeby nie rzucił się na nikogo z pięściami i nie zabił się, prowadząc samochód po pijanemu. I chyba tylko ona mogła tego dokonać.

Sonata dla Motyla. Może Julia się myliła. Ba, na pewno się myliła. Kochał ją, przynajmniej przed paru laty, uczuciem niezdrowym, zaborczym, niemalże obsesyjnym i gdy teraz Karina o tym myślała, nie mogła się nadziwić, że na to wtedy nie wpadła. I wreszcie pojęła, co doprowadziło do rozpadu tej trójcy, której swego czasu tak zazdrościła. Co sprawiło, że trzech muszkieterów rozeszło się w trzy różne strony. Kamil, tamten nastoletni Kam, miał zadatki na prześladowcę. Odciecie się od niego było najlepszą rzeczą, którą Julia mogła zrobić.

Czy coś się zmieniło od tamtej pory? Dziś, kiedy zobaczyła go w takim stanie, nie była pewna.

Usiadła przed komputerem, uruchomiła przeglądarkę. Spisała potrzebne informacje, numery. Zaczęła bawić się komórką, nie mogąc zdobyć się na wykonanie telefonu, który na jej liście został oznaczony jedyнкą (gdy ją sobie wyobrażała, punkt ten był kilkakrotnie podkreślony, a jedynka wzięta w kółeczko), a mimo to pozostał na razie niezrealizowany.

Kochanie. Usiądź, proszę. Mam ci coś do powiedzenia.

Michał? Posłuchaj... Stało się... Wczoraj wieczorem twoja matka umarła. Musisz przyjechać.

Cześć, mężu. Mam nadzieję, że nie przerwałam ci słodkich chwil z tą twoją dziwką. Chciałam tylko przekazać, że kiedy ty i ona się zabawialiście, siedziałam przy twojej umierającej matce, a potem przy rodzącej siostrze. Gdyby cię to interesowało.

Każda wersja zdawała się równie beznadziejna. W końcu wcisnęła przycisk, pod którym w szybkim wybieraniu miała ustawiony numer męża, nie decydując się ostatecznie, co mu powie. *Jakoś to będzie.*

– Słucham? – Odebrał dopiero za drugim razem, gdy nie rezygnowała, choć przez sześć sygnałów nie odpowiadał. Sądząc po tonie głosu, był zirytowany, przez co zapragnęła przekazać informację tym trzecim sposobem. Ale wiedziała przecież, że jest w pracy, nie z Cecylią, i że dostatecznie ciężko będzie mu znieść wieści bez dodatkowych wyrzutów. – Karina, mam ważne spotkanie. Zadzwoń później.

– Umarła – palnęła. Może to było jeszcze gorsze niż ta trzecia wersja, ale nagle poczuła, że ma kompletną pustkę w głowie. Zostało to jedno słowo.

– Co..?

– Umarła – powtórzyła. – Wczoraj.

Milczenie.

A potem sygnał przerwane połączenia.

*

Las był jedną z tych wielu rzeczy, których Karina nienawidziła. Wypełniony cieniami, dołami ukrytymi pod warstwą ściółki, gałęziami, o które tak łatwo się potknąć. Pająki plotły sieci, tak cieniutkie, że niemal niezauważalne, robactwo krążyło po korze i mchu, jeżyny czepiały się nóg. Podczas swojej pierwszej wizyty w Zgubie uległa prośbie Michała, poszła z nim na spacer do jego ulubionego zakątka. Wróciła zmęczona, z trudem skrywając irytację, bo kolce krzewów

poraniły jej nogi, gałąź chlasnęła w policzek, zostawiając czerwoną pręgę, pajęczyna osiadła na włosach, a coś ugryzło ją w szyję. Nigdy więcej nie zgodziła się na taką przechadzkę. A teraz, siedząc przy oknie salonu, obserwując przez szybę czubki drzew kołyszących się na wietrze myślała, że chciałaby znów wziąć Michała za rękę i brnąć przez wybujałe trawy, przeciskać się między gałęziami. Założyłaby sportowe buty, zasłoniła włosy tą straszną dżokejką, wyciągnęła z szafy jakieś dzinsy. Byle wreszcie znów zrobili coś razem, coś ponad siedzenie przy jednym stole, wspólne oglądanie odcinka serialu czy rozmowę o dziewczynkach. Te dziwne myśli wywołał widok Julii, Kamila i Emila, kierujących się do lasu ramię w ramię. Dziewczyna szła w środku, trzymając Emila pod ramię, pewnie po to, aby dopilnować, by szedł ścieżką i nie wpadł na jakieś drzewo. Znikli za bramą półtorej godziny wcześniej. Nie rozstawali się w ciągu ostatnich trzech dni, jak za dawnych lat.

Chciałaby tak pójść, prowadząc pod rękę Michała.

Przyjechał do Zguby, pozornie opanowany, choć bardziej milczący niż zwykle. Podczas uroczystości kurczowo jednak zaciskał palce na nadgarstku żony, później zaś płakał jej w kołnierz i znów zaczęła wierzyć, że faktycznie ją kocha, że jest mu potrzebna. Tyle że to ona potrzebowała go znacznie bardziej, a niepewność pomału ją wykańczała. Mogła znieść myśl o tym, że spędza czas z tą drugą, że musi się nim dzielić, ale nie miała sił na obawę, że pewnego dnia zacznie pakować walizki i zniknie na zawsze.

Z przedpokoju dobiegł hałas: kroki, czyjeś głosy. Po chwili ktoś wszedł do łazienki, dał się słyszeć szum wody. Emil przeszedł obok salonu, kierując się ku schodom. Choć przygaszeni i bardziej ponurzy niż zwykle (a i na co dzień trudno było uznać ich za radosnych), młodszy synowie Elżbiety zdawali sobie radzić lepiej niż Michał i Marek. Może dlatego, że znów byli razem, Emil, Kamil i Julia, trzech muszkieterów, czerpiących siły z siebie nawzajem.

– Jedziesz jutro po małe?

Do salonu wkroczyła Julia, usiadła na fotelu, zrzuciła czapkę, ściągnęła skarpetki. Przysłoniła usta, szeroko ziewając. Worki pod oczami wyraźnie świadczyły o tym, że nie spała najlepiej – o ile w ogóle spała.

– Jadę – przytaknęła Karina. To był przedostatni punkt na jej liście rzeczy do zrealizowania. Ostatni stanowiła trudna rozmowa z dziewczynkami, do której nie mógł przygotować żaden z dziesiątków poradników dla matek, jakie trzymała na półkach. Konieczność wyjaśnienia córkom, że nigdy więcej nie zobaczą babci, przerażała ją, choć nie tak jak to, że naprawdę nie wiedziała, co dalej. Chyba po raz pierwszy, odkąd Michał się jej oświadczył. – Nie wiem... co zrobić potem.

– Pojechać ze mną na zakupy.

– Co? – Spojrzała na Julię, sądząc, że ta żartuje, ale minę miała zupełnie poważną.

– Jo nigdy nie planuje. Nic nie kupiła. Gdzieś na strychu jest łóżeczko i trochę zabawek, ale musimy kupić mnóstwo rzeczy. Pampersy, wanienkę, wózek, ubranka... Sądzę, że zakupy to dobry plan.

– Co chcesz zrobić później? Mam na myśli... w dłuższym okresie.

Julia westchnęła, osunęła się niżej w fotelu, jakby i w niej pytanie o przyszłość wywoływało niechęć. Uciekła spojrzeniem ku oknu, przeczesła palcami krótkie, rude włosy.

– Zostanę do końca września – oświadczyła nagle, prostując się. Karina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że decyzja ta zapadła właśnie w tym momencie. – Jowita na pewno zechce tu zamieszkać, przynajmniej na parę pierwszych tygodni. Nigdy w życiu nie da sobie rady z niemowlakiem, a przecież nie można wymagać, żeby pomagali jej Emil i wujek. Ich zresztą też nie chcę zostawiać. Później, oczywiście, wracam do Warszawy.

Karina opuściła głowę, przypatrując się własnym paznokciom, pociągniętym bezbarwnym lakierem. Nie mogła zostać w Zgubie. Dość długo była daleko od Michała, oddając go niepodzielnie tamtej drugiej. Co, jeśli pewnego dnia stwierdzi, że bez żony i dzieci mu wygodniej?

– Mieszkanie – rzuciła Julia, jakby domyślając się, co krąży po głowie Kariny – jest zapisane na was oboje.

– Co...?

– Wasze mieszkanie. Ciocia i wujek podarowali je wam obojgu, a więc to nie tak, że niczego nie masz. Z tego, co pamiętam, jest dość duże. I sporo warte – wyjaśniła. – Należałyby ci się też alimenty. Stąd nikt by cię nie wyrzucił. Skończyłaś germanistykę, mogłabyś rozejrzeć się za jakimś zajęciem...

Karina poczuła, jak coś ściska ją w brzuchu, zrobiło się jej niedobrze. Rozwód z Michałem? Ta myśl wywoływała przerażenie. Zostawić męża, którego wciąż kochała? Zrezygnować z wygodnego życia, jakie wiodła u jego boku, wolnego od troski o pieniądze, niegdyś zatruwającej całą egzystencję Kariny? Pozbawić dzieci obecności ojca? Bezradnie pokręciła głową.

– Nie chcę się z nim rozwodzić – oświadczyła. – Kocham go. Poza tym dlaczego mam dawać taki prezent tamtej drugiej? Możesz uznać, że jestem samolubna, ale nawet jeśli będzie chciał odejść, na pewno nie będę im niczego ułatwiać. Aż tak chcesz się mnie pozbyć z rodziny?

Nie czuła nienawiści do tej Cecylii, chodzącej w czerwonych spódnicach, przynajmniej na razie, ale skoro tamta zdecydowała się na związek z żonatym, dzieciatym mężczyzną, niech poniesie konsekwencje. Niech też nie będzie pewna jutra, niech żyje ze świadomością, że nigdy nie będzie mieć Michała na wyłączność.

– Nie chcę się ciebie pozbywać ani nie mówię, żebyś brała rozwód. Próbuję ci uświadomić, że Michał nie jest wszystkim, co masz. Może spróbuj być kimś

więcej niż jego żoną? Robisz w ogóle cokolwiek oprócz prasowania, gotowania i odwiedzania kosmetyczki?

Rozzłoszczona Karina poderwała się na równe nogi, zaczęła krążyć po salonie, próbując powstrzymać gniewne słowa, cisnące się na język. Jak ona śmiała? A już myślała, że zaczęły się trochę dogadywać, tymczasem Julia jak zwykle odnosiła się do niej z pogardą.

– Co ty tam wiesz? – syknęła. – Sądziś, że skoro zajmuję się domem, to nic nie robię? Michał nie wyniesie nawet śmieci. Sprzątam, gotuję, piorę, prasuję, zawożę małe na dodatkowe lekcje, robię zakupy...

– Hej, hej, przyhamuj – jęknęła Julia, unosząc ręce w geście poddania. – Nie twierdź, że nic nie robisz. Naprawdę nie podoba mi się zachowanie Michała. Chętnie trzasnęłabym go po tym pustym łbie, nie za to, że zainteresował się kimś innym, ale za to, że nie umie postawić sprawy uczciwie. Ja na twoim miejscu rzuciłabym go w dziesięć sekund, ale to nie moja rzecz. Jeśli ci taki układ pasuje, wasza sprawa. Może po prostu powinnaś spróbować... czegoś innego. Znaleźć jakieś zainteresowanie. Przede wszystkim dla siebie, ale... kto wie? Może on wcale nie chciał mieć kogoś, kto będzie tylko prasował i prał. Przemyśl to.

W pierwszej chwili Karina miała ochotę powiedzieć coś złośliwego, ale jej spojrzenie powędrowało ku oknu, do koron drzew, leniwie poruszających się pod wpływem lekkich podmuchów wiatru. Tak, po tamtym jednym razie nigdy więcej nie poszła z Michałem na przechadzkę. A od kiedy urodziły się dziewczynki, przestali odwiedzać kina, kluby, muzea, zwiedzać, jeździć na narty, jadać w restauracjach. Tylko czy to była jej wina? Może po części, to ona upierała się, że nie odda swoich córek niańce nawet na chwilę, że nie chce kogoś obcego w domu, żeby grzebał w ich rzeczach, a posiłki najlepiej przygotowuje sama. Męczyła się, zamykała w mieszkaniu, czasem wychodząc do siłowni i kosmetyczki, życie ograniczając do domu, nie mając mężowi nic do powiedzenia oprócz tego, co za dnia robiły małe. Jednak on przecież też pracował coraz więcej i więcej, chodził znużony i rozdrażniony, ilekroć realizowali w firmie ważny projekt.

Czy Cecylia nie była dla niego wytchnieniem?

– Co zrobisz z Kamem? – spytała nagle. Nie chciała dłużej rozmawiać z Julią o swoim małżeństwie.

– A co mam z nim zrobić? Udusić? Kuszące, ale karalne. Zwłaszcza że przynajmniej chwilowo zawarliśmy pakt o nieagresji.

– Nie zależy ci na nim?

– Wychowywałam się z nim – odparła Julia powoli, obserwując Karinę, nagle jakby czujna i ostrożna. – Był... jest... mam nadzieję, że jest... moim przyjacielem. Oczywiście, że mi na nim zależy.

Karina przypatrywała się Julii uważnie. Nie wiedziała do końca, co nią kierowało, kiedy ruszyła do pianina i zaczęła szybko przerzucać pliki nut. Chyba

była trochę zła na Motylską, przede wszystkim o to, że ta miała rację. Też postanowiła dać jej do myślenia. Może zresztą właśnie to należało zrobić? Skoro Julia uważała się za orędowniczkę jasnego stawiania sytuacji?

– Moim zdaniem wolałby być czymś więcej niż bratem albo przyjacielem – rzuciła. Od czasu, kiedy Julia przyznała się, że kiedyś byli razem, Karina obserwowała czasem Kamila. Motylska ściągała jego wzrok jak magnes. – Proszę.

Julia przyjęła kartkę i szerzej otworzyła oczy. Karina odwróciła się i wyszła z salonu. Musiała zostać na chwilę sama. A potem... Potem pójdzie do Michała. Jeszcze nie była pewna, co mu powie.

*

Karina obracała w palcach broszkę, misterne cudeńko otrzymane od Elżbiety. Ponieważ stała tuż przy oknie, bursztynowy kwiat chwycił słoneczne promienie i gdy uniosła go odrobinę, wydawał się świecić. W innych okolicznościach pewnie czułaby się urażona. Ozdoba, choć piękna, nie była warta nawet w połowie tak wiele jak to, co otrzymały Jowita i Julia. Parę miesięcy temu odebrałaby to jako ochłap, może nawet podkreślenie, że choć nazywała Elżbietę matką, ta miała tylko dwie córki. Teraz jednak róża z bursztynu i srebra jawiła się jako najcenniejszy skarb.

Naprawdę taka jestem? – zastanawiała się, patrząc, jak broszka lśni w słońcu. Taka zazdrosna? Nieprzyjemna? I dlaczego tak późno zdołałam to zauważyć?

– Miała ją przypiętą na naszym ślubie – powiedział Michał, stając przy boku żony. W ostrym, popołudniowym świetle doskonale widziała drobniutkie zmarszczki w kącikach szarych oczu, pierwsze siwe włosy nad czołem. Zaczynały mu się robić lekkie zakola. Starzał się, coraz bardziej upodabniał do ojca, choć był trochę brzydszy od Marka. Bardziej krępy, z mniej bujną czupryną, trochę mniej wyrazistymi rysami, większą skłonnością do tycia. Mimo to, choć Karina przywiązywała taką wagę do własnego wyglądu, nie przejmowała się tym, że włosy męża się przersedzają, że niedługo zaczną siwieć. Ciekawe, czy miało to znaczenie dla Cecylii?

– Dała mi ją – odparła. *Ciebie też Kocham.*

Wciąż jej potrzebował. Podczas pogrzebu kurczowo trzymał ją za rękę, nieomal miażdżąc Karinie palce. Płakał z głową na ramieniu żony. To była część jego świata, do którego Cecylia nie zyskała dostępu.

– Chodźmy się przejść – zaproponowała nagle. Podeszła do szafy, zaczęła

przerzucać swoje rzeczy. W końcu znalazła parę rybaczek, wprawdzie markowych i niemal nowych, ale nadających się na spacer po lesie znacznie lepiej niż spódnica.

– Przejsć? – zdziwił się Michał, patrząc, jak żona szybko się przebiera.

– Chcę porozmawiać. W tym domu jest trochę za dużo ludzi – skłamała, zaczynając splatać włosy w warkocz. Wiedziała, że nikt nie spróbuje im przeszkadzać, mimo to postanowiła wyciągnąć męża z pokoju. Siedział w nim praktycznie cały czas, przed pogrzebem i potem, pewnie też już szykował się do powrotu do pracy. Do Cecylii. – Przejdźmy się po lesie.

– Nienawidzisz lasu.

– Zmieniłam zdanie. Nie założysz czegoś innego? W tej koszuli będzie ci za gorąco.

Milczeli, idąc przez ogród i później, kiedy wyszli już za bramę. Przekłeta Julia, miała rację. Niełatwo jest rozmawiać, gdy nie ma się o czym. Wszystkie rozmowy Kariny z mężem, z sąsiadkami, które pilnowały swoich dzieci na placu zabaw, nawet z teściami dotyczyły bliźniaczek, wychowywania dzieci, najlepszych środków do prania. Konwersacje z Krysią, jedyną znajomą ze studiów, z którą utrzymywała kontakt, były dość jednostronne i polegały na słuchaniu o tłamszeniu kobiet przez państwo. Kiedyś umiała rozmawiać z Michałem o książkach, muzyce, filmach, premierze w teatrze, na którą poszli, o wiadomościach...

– Jowita zostaje w Zgubie – oznajmiła Karina. Temat rodziny wydawał się odpowiedni.

– A teatr? – zdumiał się Michał. Weszli na wąską, leśną ścieżkę. Dobrze, przynajmniej nie będą iść przez chaszczki i walczyć z pajęczynami.

– Nie pracuje już w nim. Zresztą ma nadzieję, że gdy ten jej film wejdzie do kin, znajdzie coś w telewizji. A większość seriali i filmów kręcą w Warszawie i Krakowie. Ma zamiar sprzedać mieszkanie w Poznaniu. Pomożesz z formalnościami? Żadna z nas się na tym nie zna.

Zerknęła na męża ukradkiem. Przypatrywał się jej wyraźnie zdziwiony. Zacisnęła usta, ale zaraz zmusiła się do rozluźnienia mięśni twarzy, wykonała parę głębszych oddechów. Obiecała sobie, że będzie opanowana, uprzejma i przeprowadzi całą rozmowę bez wyrzutów. Nie ugra wiele, wchodząc w rolę rozgoryczonej, pełnej pretensji żony.

– Z nas?

– Jowita, Julia i ja. A kto inny?

Choć było gorąco, drzewa rzucały na ścieżkę cienie, dzięki czemu upał nie zdawał się aż tak nieznośny. Gdzieś z oddali dobiegało stukanie dzięcioła. Karina nieoczekiwanie uznała, że właściwie mogłaby przestać nienawidzić lasu, jeśli chodziło o takie spacerunki jak ten, wolne, po wydeptanych ścieżkach.

– Wy nigdy... Nie wydawałyście się specjalnie zaprzyjaźnione.

– Byłyśmy tutaj razem przez ostatnie tygodnie – syknęła, nagle

rozzłoszczona. Zatrzymała się, ignorując zdumione spojrzenie Michała. Karina nigdy się z nim nie kłóciła. Nigdy nie mówiła w ten sposób. – Kiedy *twoja* matka umierała i *twoja* siostra była w ciąży. To dziwne, że musiałyśmy się jakoś dogadać?

– Skarbie, nie miałem nic złego na myśli – wyjaśnił łagodnie. Zacisnęła zęby, ruszyła znów przed siebie, tym razem znacznie szybciej, próbując się opanować. Ona, owszem, miała „coś złego na myśli”. Konkretnie to, że jego tu nie było. Spokojnie, powiedziała sobie. Żadnych zbędnych emocji. Tylko go zniechęci, jeśli zacznie krzyczeć, wyzywać, robić wyrzuty. Płacz i rozpacz też nie pomogą, a nie chciała się upokarzać. *Spokój. Oddychaj.*

– Nie życzę sobie, żebyś przyprowadzał ją do naszego mieszkania – powiedziała sucho, kiedy ją dogonił. Znów zaczęła iść wolniej. – Mam zamiar zostać tutaj przynajmniej na jakiś czas. Twój ojciec i siostra będą potrzebowali pomocy. Oczywiście, nie będę mogła tego sprawdzić, ale chyba możesz zrobić dla mnie chociaż tyle i pofatygować się do niej?

– Karina...

Spróbował dotknąć ramienia żony. Nie broniła się, ale też nie wykonała żadnego zachęcającego gestu. Serce tłukło jej szaleńczo, czuła dziwną suchość w ustach. Czy dobrze robiła, przyznając, że wie? Czy zdoła rozegrać wszystko odpowiednio?

– Ponoć, kiedy kogoś kochasz, powinieneś dać mu wolność – oznajmiła. – Nie będę więc próbowała wzbudzać w tobie wyrzutów sumienia albo robić scen. Nie zatrzymam cię siłą.

Tego już próbowała. Starła się udawać, że wszystko jest w porządku, z nadzieją, że prędzej czy później przerwie romans. Próbowała uwodzić, wykorzystwała cały arsenał kobiecych sztuczek. Bycie żoną idealną miała opanowane do perfekcji.

Pora spróbować czegoś innego. Postarać się trochę zmienić. Zainteresować. A jeśli i to nie wypali? Przekonać się. Jak będzie się mu żyło, gdy żona i dzieci znikną z radaru, gdy nikt nie ugotuje obiadu, nie wyprasuje rzeczy, nie upierze. Z amatorką wspinaczki, miłą dziewczyną, dużo młodszą, niegrzeszącą inteligencją. Nieumiejącą gotować, bałaganiarą. Może zatęskni. Rzykowała oczywiście sporo. Mogło się okazać, że jest idealnie. Że nie będzie chciał jej z powrotem.

Nie planowała w takim wypadku okazać wyrozumiałości. Mimo wszystko nie uważała się za dobrą osobę, a już na pewno nie była altruistką. Nie miała jeszcze pewności, jak się zachowa. Czy kochała dostatecznie, żeby w takiej sytuacji naprawdę pozwolić mu odejść? Nie zrobić wszystkiego, aby zrujnować jego nowy związek? Może. Nie umiała tego stwierdzić.

– Karina, ja...

– Masz prawie trzy tygodnie zaległego urlopu – przypomniła. –

Potrzebujemy cię tutaj.

– Projekt...

– Daruj sobie! – krzyknęła. Schowała ręce w kieszeniach, odetchnęła kilka razy. – Nie stawiam sprawy na ostrzu noża: ona albo ja. Nie chcę od ciebie odchodzić. Proszę cię o tydzień. Nawet nie trzy. Musisz porozmawiać z dziewczynkami. Nie patrz tak na mnie, dlaczego ja mam to robić? Nie dam sobie rady z bliźniaczkami, prowadzeniem domu i pomocą przy niemowlaku, zanim Jo weźmie się w garść. To zbyt wiele? Siedem dni?

Znów stanęła, przymknęła oczy. Nie miała ochoty patrzeć na Michała. Poza tym bała się, że jednak nie da rady powstrzymać łez. Siedem dni. Tak naprawdę wcale nie dlatego, że potrzebowała pomocy. Jowita szybko dochodziła do siebie, chłopcy stanęli na nogi, była tu Julia. Tydzień na wyciąganie Michała na spacer, do kina, na rozmawianie z nim, siadanie przed telewizorem, próbę odbudowania związku.

Uznała, że jeśli się nie uda, zostawi go samemu sobie. Odejdzie? Wróci? Nic się nie zmieni?

Dam radę, powiedziała do siebie, unosząc powieki. Nawet jeśli odejdzie. Julia ma rację, nie jest tak, że zostanę z niczym. Mam połowę mieszkania. Mnóstwo biżuterii. Wykształcenie. Należałyby mi się alimenty. Mam córki. Teścia, który traktuje mnie jak córkę. I, co zaskakujące, chyba mam Julię, która jest gotowa mi pomóc, przyznała w duchu.

– Mogę... wyrwać się na tydzień z pracy – stwierdził w końcu Michał. Mimowolnie odetchnęła z ulgą. Nie wspomniał o Cecylii, nie skomentował tego, że Karina o wszystkim wie. Tak było mu łatwiej? A może domyślał się, że coś musiała zauważyć?

– Tutaj gdzieś jest rzeka, prawda? – spytała. W odpowiedzi kiwnął głową. – W takim razie... pokaż mi ją. Po dziewczynki i tak mamy pojechać wieczorem, a Kamil przywiezie Jo i Elę dopiero za parę godzin.

XIV

Anna

Ktoś musiał to zrobić – zebrać rzeczy Elżbiety, uporządkować je. Usunąć z łazienki szczoteczkę do zębów, wyjąć z szafek flakoniki perfum, wyciągnąć spod łóżka kaptcie i zabrać sprzed lustra niebieską szczotkę, w której wciąż zostało kilka jasnych włosów. I Anna wzięła to na siebie, choć nie była pewna, czy zdoła to zrobić. Wiedziała jednak, że ma znacznie więcej siły niż Marek, Emil i Jowita, więcej nawet niż Kamil, i że jeśli nie ona, nie zrobi tego nikt inny. Dopuszczenie Ilony do prywatnych rzeczy kobiety, która była dla nich żoną i matką, byłoby świętokradztwem.

Anna zbierała te rzeczy do pudła. Uznała, że o ich losie zadecydują później, na razie po prostu musiała usunąć je z widoku, aby ułatwić Markowi przebywanie w domu, w którym wszystko kojarzyło się z Elżbietą. Uciekł na parę dni do swojego krakowskiego mieszkania, ale wróci przecież prędzej czy później. Starannie układała więc w kartonie rzeczy codziennego użytku, pracując mechanicznie, próbując nie poświęcać żadnemu przedmiotowi więcej uwagi. Nie wytrzymała przy szlafroku. Grubym, białym, wciąż przechowującym zapach swojej właścicielki. Anna stała na środku pokoju, jak jakaś wariatka, trzymając przed sobą szlafrok, a dłonie trzęsły się jej coraz bardziej, i bardziej, aż w końcu mało brakowało, żeby wypadł jej ze sztywnych palców. Usiadła w końcu na podłodze, wtuliła twarz w materiał, niezdolna zmusić się do dalszej pracy, chyba dopiero teraz w pełni świadoma, że już nikt nigdy go nie założy. Że Elżbieta nie potrzebuje już szczoteczki do zębów i ani razu nie wskoczy w zielone kaptcie z napisem „Zakopane”. Z gardła Anny wyrwał się szloch, ciałem wstrząsnęły spazmy i wreszcie pojawiły się łzy, które nie popłynęły na wieść o nawrocie choroby opiekunki, gdy ta umierała ani podczas pogrzebu. Materiał chłonał je jak kiedyś wodę skapującą z jasnych włosów. Gardło Anny ścisnęło się tak, że nie byłaby zdolna wykrztusić słowa, nos się zatkał i ledwo oddychała. Nie usłyszała skrzypnięcia drzwi ani kroków. Kiedy ktoś usiadł obok i otoczył ją ramionami, zeszywniała w pierwszej chwili, ale w następnej przyłgnęła do nieznannej piersi. To nie miało znaczenia, liczyło się, że nie chce, nie może, nie umie być teraz sama. Emil? Kam? Kam, jednak Kam. Pociągnął ją na kolana, zaczął kołysać, głaskać po

włosach. Długo nie mogła się uspokoić, jakby musiała nadrobić zaległości w płaczu. Myśl o tym, że Elżbiety nie ma i więcej nie będzie, była zbyt trudna do zniesienia. Choć Anna wiedziała przecież, że w końcu się z tym pogodzi, przywyknie, że ból przejdzie. Można nauczyć się żyć bez każdego. Ćwiczyła to przez ostatnie lata..

– Nie nienawidzę cię – wykrztusiła, ocierając łzy wierzchem dłoni. Gula w gardle wciąż utrudniała mówienie, a nos dalej miała zatkany. – Przestałam.

Nawet nie umiałaby stwierdzić dokładnie, kiedy to się stało. Chyba dawno, jeszcze na pierwszym roku studiów. A może nigdy nie czuła do niego nienawiści, nie umiała tylko znieść w nim pewnych rzeczy.

– Ale kochać też przestałam.

– Nie wiedziałem, że w ogóle kochałaś. – Jego ręka zastygła na jej głowie. Pociągnęła nosem, wreszcie zaczęła zwijać szlafrok, na którym cały czas zaciskała palce. Zsunęła się z kolan chłopaka i wrzuciła szlafrok do jednego z pudeł.

– Nie miałeś wiedzieć.

– Byłem na ciebie wściekły, Julio.

– Wiem.

Miał do tego prawo, w gruncie rzeczy. To nie tak, że nie zrobiła nigdy nic niewłaściwego. Nie powinna była zniknąć w ten sposób, bez słowa wyjaśnienia. Bała się po prostu. Nie tylko konfrontacji, ale i tego, że inaczej nie da rady. Tamta Julia o mysich włosach zawsze była tchórzem.

Wzięła chusteczkę higieniczną z opakowania porzuconego na stoliku nocnym i wróciła do pracy. Zostało niewiele rzeczy. Na razie nie zabierała ubrań, biżuterii ani książek. Może zostaną w pokoju przez następnych parę lat, może podzielią je między siebie, może rozdadzą. Chodziło tylko o usunięcie przedmiotów codziennego użytku.

– Co ci dała? – spytała, wkładając srebrny łańcuszek, porzucony na półce, do kasetki z biżuterią. Elżbieta miała jej sporo, w jednej z szafek ułożono kilka pudełeczek. W oczy od razu rzucał się teraz brak tych najcenniejszych, rozdanych podczas urodzin. Anna musiała podeprzeć się o regał, gdy przypomniała sobie naszyjnik ukryty w szufladzie jej biurka.

– Swój pierścionek zaręczynowy.

Kiwnęła głową. Spodziewała się tego. Skoro Emil dostał coś dla swojej przyszłej narzeczonej, Kamil mógł otrzymać tylko ten pierścionek. Elżbieta chciała, żeby synowe, których nigdy nie pozna, otrzymały od niej upominek. Nic dziwnego, że właśnie Kamilowi ofiarowała tę najważniejszą pamiątkę. Kochała ich wszystkich, oczywiście, ale nieważne, co psychologowie będą mówić o konieczności traktowania dzieci równo, miłość Elżbiety dla Kamaela zawsze była większa niż do reszty.

Mimo wszystko Anna była chyba odrobinę zazdrosna o tę kobietę, która

kiedyś dostanie ten pierścionek. Zganiła się wprawdzie za tę myśl, ale nic na nią nie mogła poradzić. Chyba do pewnego stopnia traktowała go jak swoją własność. Miewał dziewczyny, zanim się ze sobą związali, żadna jednak nie zaprzętała jego uwagi na dłużej.

– Nie myślałem o tobie codziennie.

– Nie spodziewałam się tego – parsknęła, starannie zamykając pudło. Praca została zakończona. Podniosła pierwszy karton, skierowała się do drzwi, żeby schować go na razie na strychu. Kamael wciąż siedział na podłodze, obserwując, jak Julia się krząta.

– Nie usychałem z miłości każdego dnia przez cztery lata. Ale nigdy nie było nikogo ważniejszego. Przybiegłbym, gdybyś zawołała.

Odwróciła się gwałtownie, uderzyła pudłem o ścianę, omal nie straciła równowagi. Co to ma, do cholery, znaczyć, miała ochotę zawołać i pewnie zrobiłaby to, gdyby nie usłyszała kroków. Karina wspięła się do połowy schodów, towarzyszyła jej jedna z bliźniaczek.

– Obiad gotowy.

Kamil podniósł się, wyszedł na korytarz, zanim zdążyła go zatrzymać. Anna zacisnęła usta ze złości, patrząc w jego stronę.

– Coś nie tak? – spytała Karina niepewnie. – Znowu się pokłóciliście? Płakałaś.

Anna westchnęła. Pokręciła głową.

– Jest w porządku. Ja tylko... Sama wiesz. To nie przez niego. Zaraz zejść. Choć, oczywiście, absolutnie nic nie było w porządku. Nie mogło być.

*

Kartka, pokryta pięcioliniami, w które wpisano nuty. Tylko trzy słowa zapisane normalnym pismem – pismem Kamila – na samej górze. Anna nie miała pojęcia, co chciała osiągnąć Karina, dając jej to, ale jeżeli chodziło o zburzenie spokoju, udało się. Już po raz kolejny wyciągnęła papier z szuflady biurka, zastanawiając się, co do licha miał znaczyć.

Sonata dla Motyla.

To mógł być przypadek, oczywiście. Uznał, że taki tytuł będzie dobrze brzmieć. Albo, jeśli rzeczywiście o nią chodziło, nie musiało to nic znaczyć. Zresztą, kto wie, jak długo nuty tutaj leżały? Może ułożył melodię, jeszcze zanim wyjechała, na przykład jako upominek na urodziny czy święta. Poza tym skąd pewność, że Kam był autorem? Nuty zapisano jego ręką, ale mógł je po prostu

przepisać.

Zabrał jej rysunki. W dodatku same autoportrety. Trzymał w szufladzie biurka.

Nie usychałem z miłości każdego dnia.

Chciałby być czymś więcej niż przyjacielem.

Bzdura. Może kiedyś. Może rzeczywiście mu na niej zależało bardziej, niż sądziła, ale od tamtego czasu wynaleziono elektryczność. Sam zresztą przyznał, że wcale nie umierał z tęsknoty. Kam nie był typem wiążącym się na całe życie. Ona też nie. Była z kimś innym. I kochała Arkadiusza Drozdowskiego, który symulował zazdrość o Staruszkę, dawał jej rzodkiewki zamiast róż, kompletnie nie umiał tańczyć, a śmiał się częściej i radośniej niż inni. Inaczej niż kiedyś Kamaela, to prawda, ale to wciąż miłość.

Tylko nie odpisywała na jego maile.

Poświęcała mu znacznie mniej myśli niż Kamilowi.

Nie pojawiał się w jej snach, jak Kam. Nawet jeżeli podświadomość obsadzała go w roli złego czarnoksiężnika, Kamael był tam. Był w jej snach, w jej myślach. Na rysunkach, tych starych i tych, które zaczęła tworzyć niedawno. Był wszędzie.

Przeszła do salonu, usiadła na taborecie przy pianinie, uderzyła na próbę w klawisze. W domu chwilowo panowała cisza. Karina i Michał zabrali córki do miasta, Jowita wyszła na spacer z córeczką, Kam znikł gdzieś, Marek wracał dopiero wieczorem. Mogła więc grać bez obaw, że okaleczy czyjeś uszy. Nie miała talentu muzycznego, próbowała się uczyć, bo sądziła, że tego oczekuje Elżbieta. Opiekunka szybko jednak uświadomiła jej, że nie chce, aby robiła coś na siłę, woli, by realizowała własne zainteresowania. Anna zarzuciła więc naukę po roku. Spróbowała zagrać *Wlazł kotek na płotek*, myśląc się co chwila, nie trzymając rytmu, ale powoli przypominając sobie, w które klawisze należy uderzać. Potem zaczęła walkę z *Sonatą dla Motyla*. Nie, źle, nie tutaj. Jakie tempo? Mogła najpierw wpaść na to, żeby obciąć paznokcie. Ominęła jedną nutę. Od początku. Kakofonia. Przypadkowe dźwięki. Trzeba było bardziej przykładać się do lekcji. Jeszcze raz, pierwsza linijka. Trochę lepiej. Znowu. Teraz zaczynało przypominać to melodię, niespójną, rwącą się, ale jednak melodię. W dodatku znajomą. Czy nie to zagrał podczas urodzin Elżbiety? I wcześniej, kiedy rozmawiali w salonie...?

Zatrzasnęła wieko pianina, oparła o nie łokcie, ukrywając twarz w dłoniach. Wściekła na samą siebie, bo głowę nagle miała pełną Kamila. Myślała o tej rozmowie („co to za zabawa bez ciebie?”), pierwszej prawdziwej, od kiedy wróciła do Zguby, o tym, jak tarzali się w błocie, bawili z dziewczynkami, a potem wyklócali w dniu urodzin Elżbiety. Jak oglądali z bliźniaczkami *Króla Lwa* – i o tym, że zabrali się za włączanie filmu, nie konsultując tego ze sobą. Czy nie było tak cały czas, choć tego nie zauważyła? Nie potrafiła już tak dobrze

odczytywać myśli Kamila, lecz wciąż umieli porozumiewać się bez słów.

Telefon zawibrował jej w kieszeni, rozległ się dźwięk *Imaginary*. Westchnęła, widząc na wyświetlaczu, że to Kaśka próbuje się z nią skontaktować. Czowała podskórnie, że tym razem nie wywinie się łatwo. Kasia na pewno straciła resztki cierpliwości.

– Patrzyłaś ostatnio w kalendarz? – spytała Kaśka zamiast powitania. – Jest sierpień. Mieliśmy przyjechać tutaj wszyscy razem na końcu czerwca. Później twierdziłaś, że dołączysz najpóźniej w połowie lipca. Nie zrobiłaś tego. Nie chcesz wyjaśnić, dlaczego. Nie odpowiadasz na maile, a ostatnio nie odbierasz nawet telefonu.

Anna tak naprawdę nawet jej nie słuchała, pozwalając, aby słowa przelatywały mimo uszu. Nie docierało do niej ich znaczenie, zupełnie jak wcześniej w kościele i na cmentarzu. Widziała wprawdzie, że ksiądz porusza ustami i mówi coś, pewnie o niebie, rozstaniach i zmartwychwstaniu, ale to było niby oglądanie telewizji z wyłączonym dźwiękiem. Nie usłyszała ani słowa z tego, co Marek mówił nad grobem Elżbiety, ani z wypowiedzi podchodzących ludzi – mogła tylko domyślać się, że składali kondolencje. W uszach, nie wiadomo czemu, wciąż i wciąż dźwięczała jej tylko *Sonata księżycowa*, a cały świat poza tym zdawał się niemy.

– Próbowałam być wyrozumiała, ale na wszystkie świętości, kobieto, nie wiemy, czy mamy się o ciebie martwić, czy uznać, że nas po prostu olewasz i obrazić się śmiertelnie? Próbujesz dać nam do zrozumienia, że znalazłaś sobie lepszych przyjaciół?

Wstała z miejsca, przeszła się po salonie, zatrzymała przed lustrem. Zauważyła, że odrosty są już wyraźne, powinna chyba znów ufarbować włosy. A może ściąć je na krótkiego języka, jak Kleczko, doktorantka, z którą mieli zajęcia i była jedną z nielicznych pracowników instytutu, którą studenci naprawdę lubili? Oszczędziłaby czas potrzebny na suszenie i czesanie.

– A jeśli to jakieś problemy... Problemy, z którymi nie możesz dać sobie rady... Jestem twoją przyjaciółką, dziewczynko. Zawsze ci pomogę, ale nie mogę tego zrobić, póki nie powiesz mi, co się dzieje. Halo? Jesteś tam jeszcze? Anno Motylska, jeśli natychmiast się nie odezwiesz, uznam, że Wioletka jednak ma rację i po prostu nas olała! Wiesz, że...

– Kaś – przemówiła wreszcie Anna i musiało być coś dziwnego w jej głosie, bo Kasia umilkła natychmiast, co nie zdarzało się Katarzynie Makowskiej zbyt często. – Przedwczoraj był pogrzeb mojej zastępczej matki.. Moja przybrana siostra niedawno urodziła córkę. Wujek... ojciec przypomina zombie. Mój przyjaciel... właściwie brat, chyba nigdy więcej się nie uśmiechnie. I pewnie Kocham Kama. Chociaż nie mogę znieść jego towarzystwa na dłuższą metę. A tak w ogóle, Kam to syn moich zastępczych rodziców. Byliśmy parą, ale zostawiłam go, bo wpędzał

mnie w nerwicę. Tak, też sędzę, że coś nie tak z moją głową. Mam ochotę walić nią o ścianę, dopóki nie stracę przytomności. Może będę mieć szczęście, doznam wstrząsu mózgu i dostanę amnezji. I naprawdę nie miałam ochoty odpisywać na wasze maile o psach, chłopakach ze smażalni i budowaniu zamków z piasku!

Kasia długo milczała. Anna wpatrywała się we własne odbicie. Czarna bluzka sprawiała, że jej skóra zdawała się jeszcze bledsza.

– Daję ci czas do soboty – powiedziała w końcu Kaśka, a Anna po raz pierwszy w życiu zastanowiła się, czy Katarzyna naprawdę jest jej przyjaciółką. Nie słuchała? Wciąż uważała, że wspólne wakacje są najważniejsze?

– Słyszałaś mnie? – jęknęła. – Nie mogę przyjechać w sobotę. Nie mogę przyjechać wcale. Jestem im potrzebna.

– Właśnie słyszałam, skarbie. Że ty potrzebujesz mnie – skwitowała Kaśka sucho. – Nie wsiądę dziś w pociąg. Muszę załatwić parę spraw. I sędzę, że twoja rodzina zasługuje przynajmniej na parę dni bez kogoś obcego w pobliżu. Będę więc w sobotę. Znajdę jakiś pokój, chyba macie tam jakieś większe miasto z hotelem?

Powoli odchyliła głowę, kładąc ją na oparciu. Może powinna odmówić. Zdecydowanie zapewnić, że wszystko będzie w porządku i nie ma żadnej potrzeby, aby Kasia rujnowała sobie wakacje. Poza tym kto wie, czy chłopcy i Marek życzyliby sobie obecności kogoś nieznanego pod dachem. Ale już sama myśl, że Kaśka się tutaj pojawi, że wreszcie będzie mogła powiedzieć komuś o wszystkim, co dręczyło ją w ostatnich tygodniach, sprawiała, że ciężar gdzieś w okolicach żołądka – nie serca, absolutnie nie serca, może faktycznie go nie miała, jak kiedyś żartował Drozd – stał się jakby łatwiejszy do zniesienia.

– Mój pokój jest większy niż nasz w Warszawie, nie ma mowy o żadnym hotelu – wykrztusiła w końcu. – Kaś, jesteś wspaniała. Cudowna. Najlepsza.

– Się wie – parsknęła Najwspanialsza Przyjaciółka Pod Słońcem. – Nie zapominaj, że jestem też piękna, inteligentna i wyjątkowo skromna. Dobrze, kochanie, teraz muszę iść na rozprawę.

– Rozprawę...?

– Rozprawę. Będą mnie sędzisz za to, że chcę się stąd wynieść, ale myślę, że uniknę plutonu egzekucyjnego. Potem muszę szantażować Wiołkę, żeby zaopiekowała się psem i później chyba pobiegnę na plażę, utrwać opaleniznę. Mam więc sporo do zrobienia. Trzymaj się, dziewczynko. Dzwon jak coś.

Anna schowała telefon z powrotem do kieszeni. Zapewne Kocham Kama, powiedziała to głośno. Cholera. Wyobraziła sobie swojego anioła stróża leżącego w jakimś rynsztoku, skacowanego, niezdolnego do sprawowania nad nią opieki. Musi zająć się sobą sama. *Zapewne Kocham Kama.*

Nie skłamała, mówiąc, że przestała. Bo przestała, dobre dwa lata temu. Kłopot w tym, że jeśli można przestać, można też znowu zacząć.

Wzrok Anny padł na ustawione na szafce zdjęcia. Między innymi

mysiowłosa siedemnastolatka, stojąca między dwoma chłopcami. Julia Motylska. Numer jeden na liście Najbardziej Znienawidzonych Rzeczy Anny Motylskiej. Problem tkwił w tym, że, jak się okazało, Anna i Julia wcale nie różniły się od siebie tak bardzo, jak uważała.

W snach uciekała z wieży tylko po to, by odkryć, że drzwi są otwarte – i potem do niej wrócić.

XV

Kaśka: kieszenie pełne poziomek

Do Zguby dojeżdżał tylko jeden autobus, robiąc trzy kursy dziennie, co Kaśce, która całe życie spędziła w wielkich miastach, zdawało się nie do pomyślenia. Jak można tak funkcjonować? – zastanawiała się, opadając na wytarty fotel. Bez tramwajów, którymi można dojechać wszędzie i o dowolnej porze? Bez metra, błyskawicznie pokonującego odległość? Kupno ładnej sukienki na randkę czy wesele staje się nagle problemem i biegając po sklepach, musisz bez przerwy zerkać na zegarek. Jeśli wymarzony ciuch jest troszkę za ciasny i trzeba zrzucić półtora kilograma, nie wsiądziesz do autobusu, żeby po dwudziestu minutach wysiąść przed siłownią albo basenem. Nie wspominając już o koszmarze dojazdów do szkoły i pracy.

Co za dziura! – uznała po jakimś czasie, gdy autobus podskakiwał na wybojach. Miała wrażenie, że za chwilę jej mózg ulegnie nieodwracalnym uszkodzeniom w wyniku obijania się o kości czaszki. Biedna An. Do tej pory Kasia niewiele wiedziała o miejscu, w którym wychowywała się Anna. Przyjaciółka mówiła o swojej przeszłości rzadko i raczej niechętnie, głównie wtedy, kiedy zaszumiało jej w głowie. Raz czy dwa wspomniała, że pochodzi z zapadłej wsi na końcu świata, ale Katarzyna nie podejrzewała, że z aż tak zapadłej i że ten koniec świata należy rozumieć dość dosłownie. Matko i córko, a czego się spodziewać po domu Bluszczów?!

Oczywiście natychmiast ujrzała niewielką, drewnianą chatkę, z dziurawym dachem, wybitym oknem, otoczoną zmurszałym, nigdy niemalowanym płotem, w której, w dodatku, tłoczy się liczna rodzina, bo przez telefon Anna wspomniała o wujku, przybranej córce (o zgrozo, mającej niemowlę!), bracie i tajemniczym Kamie. Chociaż nie, na pewno nie będzie tak źle, nie powinna pozwolić, aby ponosiła ją fantazja. Anna wyraźnie powiedziała, że jej pokój jest większy niż salon mieszkania, w którym obie sypiały. Poza tym choć Motylska zawsze starała się nie wydawać pieniędzy na prawo i lewo i szybko też zaczęła szukać pracy, nie mogła tak całkiem niczego nie dostawać od przybranej rodziny. Nigdy nie miała problemów z zaplaceniem czynszu, nie stawała przed dylematem, czy kupić sobie obiad czy doładować telefon i gdy przyjechała, miała

ze sobą ciuchy dobrej jakości.

– Przepraszam panią? – Kaśka podniosła się z miejsca i przesiadła dwa rzędy do przodu, do jednej z nielicznych pasażerek. Kobieta była prawdopodobnie w średnim wieku, miała krótko ścięte, jasne włosy, czerwony podkoszulek i sprane dżinsy. Przy nogach postawiła torbę z zakupami, w której Kaśka dostrzegła pomarańcze, tabliczkę czekolady i płyn do mycia naczyń. Pewnie miała więc dzieci. Oprócz niej do Zguby podróżowało jeszcze pięć osób i wszyscy wyglądali raczej mało sympatycznie. Dwóch siwych mężczyzn, obaj w koszulach w kratkę, śmierzący alkoholem tak, że musiała na początku zmienić miejsce, żeby nie czuć tego odoru. Łysy nastolatek, który, gdyby wstał, miałby pewnie ze dwa metry wzrostu. Wreszcie dwie starsze panie, ubrane zdecydowanie nieadekwatnie do pogody, które mogły mieć problemy z zapamiętaniem własnego adresu, nie mówiąc o cudzym.

– Czy pani wie, gdzie znajdę w Zgubie... dom przy Jarzębinowej 1? Bluszczowy Dwór?

– To od razu pierwszy dom przy tej drodze, kochanie – odparła pasażerka, uśmiechając się miło. Kaśka odetchnęła z ulgą. Bała się, że zostanie splawiona i będzie musiała błagać o pomoc skina. – Z ulicy widać zjazd, chociaż samego domu nie. Kierowca na pewno się zatrzyma, jeśli poprosisz.

Dziewczyna grzecznie podziękowała za instrukcje, zachowała dla siebie to, co myśli o nazywaniu tej jednej, wielkiej dziury „ulicą” i pognęła do kierowcy. Na pierwszy rzut oka zdawał się burkliwy i nieprzyjemny, ale nie odmówił zatrzymania, co dla Kaśki było czymś absolutnie nieprawdopodobnym. Autobusy zatrzymują się na przystankach. Koniec, kropka.

Po chwili zeskakiwała już na pobocze. Źle obliczyła odległość, wylądowała po kostki w niezbyt wysokich roślinkach, które z zachwytem zidentyfikowała jako poziomki. W dodatku poziomki bogato obsypane owocami. Kucnęła, zaczęła zrywać czerwone kuleczki, znacznie słodsze i większe niż te, które babcia uprawiała na grządkach działki. Ojciec kiedyś próbował nakłonić swoją matkę do sprzedania tego kawałka ziemi. Babcia, zazwyczaj tak pokorna, nie ustąpiła. Upierała się, że wnuki muszą mieć miejsce, w którym znajdą świeże owoce i warzywa uprawiane bez pestycydów, gdzie będą mogły rozbić namiot albo urządzić grilla z przyjaciółmi. I faktycznie tak było, choć ojciec Kaśki czasem wspominał o tej „przeklętej działce”, za którą trzeba płacić podatki, nie mając nic w zamian, kiedy można by ją sprzedać, a uzyskane pieniądze rozsądnie zainwestować.

Kaśka nie znosiła być rozsądna.

Ścieżka, która miała prowadzić do Bluszczowego Dworu, co zaskakujące, była szeroka, wyrównana i wysypana żwirem. Katarzyna szła, w jednej ręce trzymając uchwyt walizki, drugą co jakiś czas sięgając do kieszeni pełnej

poziomek. Kto wie, może gdzieś w okolicy da się też znaleźć jakiś krzak malin albo jeżyn? Jedzenie stanowiło jej wielką słabość i wszelkie postanowienia zrzućcia tych trzech zbędnych kilogramów szybko umierały tragiczną śmiercią, ginąc w powodzi bitej śmietany, słodkich bułeczek i truskawek ze straganiku rozstawionego przed ich blokiem. Zazdrościła trochę Annie, która nigdy nie miała problemów z wciśnięciem się w dzinsy rozmiaru trzydzieści cztery.

– *O shit!* – rzuciła Kaśka, z zaskoczenia wypuszczając walizkę. – To zdecydowanie nie jest drewniana chatka.

Dom, choć jednopiętrowy, był dość niski, parapety parteru znajdowały się mniej więcej na wysokości Kasinej klatki piersiowej. Z pewnością jednak nie mogło brakować tam miejsca, rozrastał się na boki i zmieściłby w sobie nie tylko kilka ich warszawskich mieszkańców, ale nawet ze dwa i pół apartamentów, takich jak ten, w którym dorastała Kaśka. Jedną ze ścian porastał czerwonawy bluszcz, sugerujący, że nazwa domu brała się nie tylko od nazwiska właścicieli. Największe wrażenie robił jednak ogród, przy którym kilka grządek babci skurczyłoby się w sobie ze wstydu i zapadło pod ziemię.

Anno Motylska, gdybyś nie była w takiej sytuacji, w jakiej jesteś, miałabyś kłopoty przez duże K, burknęła Katarzyna w myślach, szarpiąc się z furtką. Będziesz musiała mi wiele rzeczy wyjaśnić.

Po raz pierwszy uderzyło ją, jak mało wie o swojej – teoretycznie – najlepszej przyjaciółce. Może Anna tak naprawdę wcale jej nie ufała? Może w rzeczywistości w ogóle się nie znały? Kaśka od dawna wiedziała, że ojciec Anny został zamknięty w więzieniu, gdy ta była mała. Później trafiła pod opiekę znajomych rodziny. Kaśka zdawała sobie sprawę z tego, że syn pary, która wychowała dziewczynę, mieszka w Warszawie, ale po tym, jak rzadko przyjaciółka u niego bywała, Kaśka łatwo wywnioskowała, że nie kochają się za bardzo. Czasem rozmawiała przez telefon z drugim z ich synów, Emilem, czy jakoś tak. Musiała też przynajmniej lubić swoich zastępczych rodziców, ponieważ w jednej z szuflad trzymała ich zdjęcie. I to wszystko właściwie. Katarzyna nie miała pojęcia o pozostałych dzieciach Bluszczów, o tym, czym się zajmowali, jak wyglądała ich sytuacja materialna i dlaczego Anna nie chciała ich odwiedzać. Nie wiedziała niczego o dzieciństwie przyjaciółki. Uświadomienie sobie tego wszystkiego, w połączeniu z ostatnim zachowaniem współlokatorki, nagle popsulo jej humor.

Z zamyślenia wyrwało ją szczekanie. Zza domu wybiegł ogromny, szary pies. Cofnęła się o krok, schwyciła za klamkę, gotowa schronić się za ogrodzeniem, ale zdała sobie sprawę, że owczarek niemiecki merda ogonem, a wydawane przez niego dźwięki brzmią raczej radośnie niż groźnie.

– Widzę, że bardzo dzielnie bronisz domu – pochwaliła psa, drapiąc go między uszami. Mocniej chwyciła walizkę, pociągając ją ku wejściu i ciekawie

rozglądając się dookoła. Spory trawnik, niedawno skoszony, ale niewyglądający na wypieczony, taki jak ten przed ich blokiem z tabliczką „Zakaz biegania”. Czyżby wciąż były tutaj jakieś dzieci? Dookoła mnóstwo kwiatów, których nazw nie знаła, umiała rozpoznać jedynie róże, choć gdyby grożono jej siekierą, nie potrafiłaby wymienić ich odmian. Wciąż z owczarkiem przy boku wdrapała się na ganek i kilka razy uderzyła w drzwi.

Nikt nie otwierał, aż zaczęła się zastanawiać, czy to na pewno ten dom. Może jednak po drodze minęła jakąś chatkę, tak małą, że zginęła między drzewami? Już zdążyła sięgnąć do kieszeni, by zadzwonić do Anny, gdy drzwi wreszcie się uchyliły. Pies natychmiast skorzystał z okazji; precyzyjnie się obok nóg chłopaka stojącego w progu.

Trudno byłoby określić jego wiek, mógł być równie dobrze młodszy od Kaśki, jak i trochę starszy. Miał jasne, nierówno przycięte włosy, z których każdy zdawał się sterczeć pod innym kątem, zupełnie, jakby ich właściciel nic nie robił przez ostatnią godzinę, tylko targał swoją czuprynę. To zauważyła najpierw.

– Słucham? – spytał. Ładny głos, uznała. Przyjemny dla ucha. Pewnie świetnie śpiewał. I co za usta. Marnują się u faceta, to po prostu nie fair, po co mu one? Nie golił się przynajmniej od trzech dni, zarost był już dość wyraźny. Miękkie rysy twarzy, trochę za delikatne jak na mężczyznę. Niezbyt wysoki; prawie żadna dziewczyna nie mogłaby nosić przy nim obcasów. Gdyby nie ten jasny cień na brodzie i policzkach, powiedziałyby, że ma typ urody wiecznego chłopca. Wymięte ubranie, pewnie dopiero co w nim spał albo raczej leżał. Wyglądał na niewyspanego.

– Przepraszam panią?

– Aaa, przepraszam! – zawołała wesoło, ganiąc się w myślach. Zawsze miała nawyk dokładnego przypatrywania się ludziom, a od kiedy obejrzała serial BBC o Sherlocku Holmesie, nieszkodliwe przyzwyczajenie zamieniło się niemalże w nałóg. Analizowała nawet najdrobniejsze elementy ubioru i wyglądu otaczających ją osób, często zapominając o reszcie świata. – Ja do Anny.

Ręka chłopaka powędrowała do góry, potwierdzając wcześniejsze przypuszczenia Kaśki. Przeczesał włosy, jakby trochę zakłopotany.

– Tu nie mieszka żadna Anna.

– Nie? – zdziwiła się Kaśka. Trochę szkoda. Dom był ładny, na pewno wygodny, no i bardzo chętnie przyjrzałyby się bliżej ogrodowi. Chłopak też zresztą niebrzydki. – A może mi pan powiedzieć, gdzie w takim razie znajdę Bluszczowy Dwór?

Dalej maltretował swoją fryzurę. Nie patrzył nawet na Kasię, co sprawiło, że mimowolnie zmarszczyła brwi z irytacji.

– To jest Bluszczowy Dwór.

– ...i nie mieszka tu Anna Motylska? – upewniła się, nieco skołowana.

W Kasinej głowie zaczęły rodzić się różne teorie spiskowe. Może Anna specjalnie ją tutaj wysłała, żeby dała sobie spokój z zadręczaniem jej?

– Och! Julia. Wspomniała, że dziś przyjedzie jej przyjaciółka, zapomniałem – usprawiedliwił się chłopak. Odszedł na bok, żeby przepuścić coraz bardziej zdziwioną Kaśkę. Julia? Ach tak, przypomniała sobie. W legitymacji studenckiej stało jak wół: Julia Motylska, ale Anna nie lubiła tego imienia, używała więc drugiego, ponoć odziedziczonego po babce.

– Cześć. Jestem Kaśka – przedstawiła się, wyciągając rękę.

– Emil – odparł, jednak nie ujął jej dłoni. Co za gbur, do licha, pomyślała, czując się jak idiotka, gdy stała tak z uniesioną ręką. W innych okolicznościach pewnie skomentowałyby to niegrzeczne zachowanie, ale na szczęście zdążyła ugryźć się w język. Miała do czynienia z bratem najlepszej przyjaciółki, który w dodatku dopiero co stracił członka rodziny.

– Gdzie ona jest? – spytała, widząc, że chłopak ani nie drgnie.

– Za schodami skręć w prawo, ten pokój, który jest bliżej – wyjaśnił, patrząc tuż ponad jej głową. Kaśka uśmiechnęła się w podziękowaniu, spoglądając mu prosto w oczy i nagle ona, do tej pory słynąca ze swojej spostrzegawczości, zapragnęła zapaść się pod ziemię. Sherlock Holmes z całą pewnością zabiłby ją śmiechem. Chłopak nie podał jej ręki nie dlatego, że był niewychowany, ale dlatego, że nie mógł zobaczyć tego gestu. A ona już zdążyła odsądzić go od czci i wiary, uznając za totalnego gbura.

– Dzięki. Chcesz poziomkę?

O matko, pomyślała w panice. Niech mnie ktoś zastrzeli.

– Poziomkę – powtórzył jakby niepewny, czy dobrze usłyszał. Słowa popłynęły z ust Kaśki w niekontrolowanym potoku, jak zawsze, kiedy była zakłopotana. Co, na szczęście, nie zdarzało się często.

– Bo jak tutaj szłam, zobaczyłam poziomki, ja uwielbiam poziomki, ale nie jadłam ich od dawna, więc wzięłam i zjadłam, ile dałam radę, tylko było mi szkoda tyle ich tam zostawiać, to zerwałam i teraz mam kieszenie pełne poziomek...

– Kieszenie pełne poziomek – powtórzył znów za nią, a Kaśka jęknęła w duchu, umierając ze wstydu. Wprawdzie przypuszczała, że dotąd nie udokumentowano żadnego przypadku zgonu, którego bezpośrednią przyczyną byłby wstyd, ale to zawsze mógł być ten pierwszy raz. Z całą pewnością uznał ją za zupełną idiotkę. – Chętnie. Lubię poziomki.

Wyciągnął rękę, Kaśka drżącą dłonią wyjęła z kieszeni garść trochę sfatygowanych owoców i mu je podała. Mogłaby przysiąc, że prawie się uśmiechnęła. Może nie zrobiła z siebie totalnej kretynki.

– To ja... idę do Anny. Dzięki jeszcze raz.

O tym też nie wiedziałam, pomyślała ponuro, wędrując korytarzem. A Anna doskonale знаła ciotecznego brata, z którym Kaśka praktycznie się wychowała,

i wielokrotnie wysłuchiwała opowieści o małej kuzynce. Została przedstawiona rodzicom przyjaciółki, Kasia nawet zabrała ją parę razy do babci.

– Przybyłam! Teraz możesz okazać należytą wdzięczność i uwielbienie – oświadczyła, z rozmachem otwierając drzwi pokoju. Anna poderwała się z wiklinowego fotela i Katarzyna została tak serdecznie uściskana, że natychmiast poczuła się należycie uwielbiona i doceniona.

– Matko święta, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. Ale miałaś dać znać! Wyjechałabym po ciebie!

– Kaś wystarczy, do świętej albo matki trochę mi brakuje – rzuciła Kaśka radośnie, wyswobadzając się z ramion przyjaciółki. Odczuła pewnego rodzaju ulgę. Od ich rozmowy upłynęło pięć dni, a to chyba za mało na uporanie się ze śmiercią kogoś bliskiego. Anna jednakże musiała dać sobie radę przynajmniej z pierwszym szokiem, bo nie wydawała się straszliwie zrozpaczona. – A na podróż twoim gruchotem się nie zdecyduję, dziękuję bardzo, nie jestem aż tak odważna.

Opadła na krzesło, ciekawie rozglądając się dookoła. Pokój kompletnie nie pasował do Anny. Wprawdzie był bardzo ładny, na pewno wygodny, ale nigdy nie pomyślałaby, że może należeć do jej przyjaciółki. Przede wszystkim panował w nim nienaganny porządek, ale może dopiero co skończyła sprzątać? Ściany pomalowane na biało, puste, tylko na jednej wisiał jakiś obrazek. W Warszawie to Anna wymyśliła malowanie motyli, to ona co roku kupowała jakiś zabawny kalendarz i umieszczała go na haczyku. Ona przyniosła pewnego dnia trzy ramki, oprawiła w nie trzy zdjęcia i zawiesiła na ścianie. Jedno przedstawiające ją samą i Kaśkę stojące przy fontannie, drugie – z wszystkimi trzema lokatorkami cisnącymi się razem na fotelu i wreszcie trzecie, zrobione całej ich ekipie przebranej na zabawę halloweenową. To dzięki niej z jednej z szafek zwisała wenecka maska. Czysta, niczym niezmacona biel była... nudna. Nie pasowała do Anny. Eleganckie, poręczne biurko, którego nie kupiła sobie do ich mieszkania, nie chciała go zagracać, wolała korzystać z szerokiego, niskiego parapetu. Porcelanowe figurki, lalka? To też zupełnie nie było w jej stylu...

– I jaki werdykt, droga pani? – spytała Anna. – Zawsze, kiedy patrzysz w ten sposób, mam wrażenie, że w myślach zastanawiasz się nad oceną.

– Cztery z plusem – zdecydowała Katarzyna. – Choć to miejsce jakoś mi do ciebie nie pasuje.

– Nie jestem pewna, czy ja tutaj pasuję.

– Ojjoj, skarbie, zabrzmiało to bardzo poważnie – westchnęła Kaśka, natychmiast przesiadając się na łóżko obok przyjaciółki. – Spytałabym, jak się czujesz, ale to chyba jasne, że nie najlepiej. Spytam więc: czy mogę ci jakoś pomóc?

Anna oparła głowę na jej ramieniu. Była chyba jeszcze chudsza i jeszcze bledsza niż przed wakacjami, ale może to tylko złudne wrażenie? Może Kasia

podświadomie oczekiwała, że Anna będzie gorzej wyglądać, skoro ostatnio miała tyle problemów?

– Przyjechałaś do mnie, już to mi pomogło. Kaś, proszę, nie skacz tylko dookoła mnie na czubkach palców. Nikt w tym domu nie zachowuje się... przynajmniej nie zachowywał do niedawna... normalnie. A ja chyba tego potrzebuję. Nie chcę... nie chcę kondolencji... już ich dość dużo usłyszałam.

– Potworo, czy ty naprawdę oczekujesz normalnego zachowania ode mnie? – spytała Kaśka z udawanym przerażeniem. – Stawiasz zbyt wysokie wymagania. Poziomkę?

Wyciągnęła z kieszeni owoce, kilka lekko przygniecionych. Na pewno będzie musiała wrzucić ogrodniczki do pralki, ale nic nie szkodzi, często zdarzało się jej ubrudzić, podrzeć albo kompletnie zniszczyć ciuchy przez swoje szalone pomysły. Anna uniosła głowę, spojrzała na poziomki, a potem na twarz przyjaciółki i wreszcie wybuchła śmiechem, głośnym, nieomal histerycznym.

– Jesteś niepowtarzalna – oznajmiła po chwili, oblizując sobie sok z palców. – Tylko ty mogłaś przyjść tutaj z kieszeniami pełnymi poziomek.

– Poczekaj, aż zobaczysz, co mam w walizce.

– Ale nie ludzkie serce, piłę mechaniczną, kilogram amfetaminy albo kradzione diamenty? – upewniła się Anna.

– Nie tym razem. Likier. Słodki, lepki i paskudny. Mam zamiar cię upić, a potem wyciągnąć z ciebie wszystkie informacje. Powinnaś jeszcze zacząć cię torturować, ale twoja rodzina mogłaby mieć coś przeciwko.

Anna sięgnęła po białego misia, siedzącego dotąd u wezgłowia łóżka, oparła podbródek na białej, miękkiej głowie. Kaśka pozwoliła jej na to milczenie, dała już przecież do zrozumienia, że ma sporo pytań. Nie musiała zadawać ich teraz, choć ciekawość zżerała ją od tamtej dziwnej rozmowy telefonicznej. Sama nie umiałyby powiedzieć, czego chce dowiedzieć się najbardziej, które sprawy są najważniejsze. Chyba Kam, którego imienia nie wypowiedziała nigdy dotąd, jest tym chłopakiem, wspomnianym przez nią raz jedyny, że tak, miała kogoś, ale to była jedna wielka pomyłka. Przez tę pomyłkę unikała innych chłopców, Kaśka czuła to podskórnie. Przez tę pomyłkę wciąż trzymała Drozda, biednego Drozda, na dystans. I właśnie dlatego sprawa Kama była najważniejsza. Bo Arek Drozdowski wciąż tam czekał na swoją królową, wierny rycerz, niewiedzący jeszcze, że chyba czeka go wypowiedzenie ze służby. Zdawało się to nieznośnie niesprawiedliwe, bo przecież nieba by jej przychylił, ale Kaśka rozumiała, że pewnych rzeczy nie da się wymusić. Czy wtedy zniknie z ich życia? A za nim Tomek i Łukasz, kierowani męską solidarnością? Ciężko było wyobrazić sobie najbliższe lata bez ich obecności.

Może nie będzie tak źle, przecież żadne decyzje jeszcze nie zapadły.

– Masz odrosty. Kupimy farbę – zarządziła, próbując odgonić nieprzyjemne

myśli. – Ile was jest w tej chwili w domu?

– Czekaj... łącznie z tobą? Dwanaście osób – policzyła szybko Anna i uśmiechnęła się blado, widząc zdumienie na twarzy przyjaciółki. – Chyba nigdy nie mówiłam ci o mojej rodzinie.

– Nie, nie mówiłaś – potwierdziła Kaśka, dokładając wszelkich starań, aby nie zabrzmiało to oskarżycielsko. Albo nie wyszło, albo Anna po prostu domyśliła się, o co chodzi, w końcu znały się nie od wczoraj.

– Przepraszam. Ja... Nie bardzo sobie z tym radziłam. W tej chwili oprócz nas jest tutaj Marek, to on i Elżbieta byli moimi rodzicami zastępczymi. Emil, Michał i... Kamil to ich synowie. Jowita jest córką, dopiero wypisali ją ze szpitala z małą Elą. Jest tu też Karina, żona Michała i ich bliźniaczki. To oni mieszkają w Warszawie. Boże. Kaś, przytul mnie, proszę.

Dziewczyna natychmiast spełniła prośbę i ramiona Anny zacisnęły się mocno wokół niej. Kaśka do tej pory nie straciła nigdy nikogo naprawdę bliskiego i nie umiała pojąć do końca tego, co czuła przyjaciółka.

– Elżbieta – wydusiła z siebie Anna, wciąż obejmując Kaśkę – była wspaniała. Długo chorowała. Zdawało się, że już będzie w porządku, ale wtedy nastąpił nawrót... Dlatego musiałam tutaj zostać, nie mogłam przecieżyć...

– Oczywiście, że nie mogłaś – przytaknęła natychmiast Kaśka, przeklinając wszystkie telefony, smsy i maile, w których usiłowali nakłonić Annę do przyjazdu nad morze. Nie byli dla niej na pewno wielką pomocą. Ale ona ze swojej strony nie powinna trzymać wszystkiego w tajemnicy. – I nie musisz mi o tym mówić, jeśli nie chcesz.

– Chcę – westchnęła Anna, odsuwając się. – Tylko najpierw... zrób coś dla mnie.

– Aha?

– Otwórz tę butelkę, którą masz w walizce.

*

– W mieście – powiedziała Kaśka – nie widać gwiazd. Właściwie zdążyłam kompletnie zapomnieć, że w ogóle istnieją.

Czuła się dość dziwnie, siedząc na drewnianej huśtawce za domem, pogrążonym w ciemnościach. Było już po jedenastej i jeśli nawet nie spał jeszcze ktoś oprócz nich, to zapewne leżał w łóżku, przewracając się z boku na bok. W ogrodzie między krzewami skrywało się na szczęście kilka lamp, które świeciły bladym, białawym światłem. Cmy i komary obijały się o przezroczyste szkło.

Gdyby nie te lampy, może nawet bałaby się trochę, bo dookoła rozciągał się las, a niebo wydawało się znacznie dalsze i czarniejsze niż to, jakie oglądała ponad Warszawą.

– Kiedy byłam mała, często patrzyłam na niebo. Myślałam, że może zobaczę spadającą gwiazdę i spełni się moje życzenie – wyznała Karina, ale zaraz odwróciła twarz, jakby zawstydzona własnym wyznaniem. Siedziała po lewej stronie Anny, jej długie, platynowe włosy były doskonale widoczne nawet nocą. Otuliła się marynarką, zapewne równie drogą jak granatowe buciki, które Kaśka rozpoznała jako pochodzące z kolekcji znanego projektanta. Tu, w wieczornej ciszy wiejskiego ogrodu, wyglądały trochę dziwacznie.

– Taaak. A potem człowiek odkrywa, że gwiazdy nie spadają, tylko się wypalają, a o spełnienie życzeń prosił wielki, płonący kawałek skały – westchnęła Anna, poprawiając na ramionach zbyt dużą bluzę, z pewnością nienależącą do niej. Kaśka mruknęła coś pod nosem. Szumiało jej trochę w głowie, bo choć była zadziwiająco odporna na alkohol, nie ograniczyły się do likieru. Gdy Karina położyła spać córki, kontynuowały misję upijania się we trzy. Nie cieszyło jej to zbyt. Wprawdzie nie mogła nic zarzucić nowej towarzyszce od kieliszka, która bardzo się starała być miła i rozluźniona (to drugie średnio jej wychodziło, przynajmniej na początku), ale obecność dodatkowej osoby utrudniała wypytywanie przyjaciółki. Najwyraźniej i Karina czuła się trochę skrępowana towarzystwem kogoś zupełnie sobie obcego.

– Który może rąbnąć w czyjś dach, tak, Anno? – dokończyła Kaśka, przypominając sobie o wcześniej przyniesionym kocu. Poszarpany, w kratkę, trochę nawilgł od leżenia na trawie, ale wciąż dawał odrobinę ciepła. Przez chwilę kręciły się, próbując nakryć nim całą trójkę, choć przecież mogłyby po prostu przenieść się do domu.

– I tak umierają romantyczne wizje.

– Dlaczego... właściwie dlaczego nazywasz ją Anną? – spytała Karina trochę niepewnie. Kaśka przymknęła oczy, oparła głowę o ramię przyjaciółki. Wcale nie chciało się jej wstawać.

– W Warszawie zaczęłam używać drugiego imienia. W sumie... teraz już mi wszystko jedno, jak się do mnie zwracacie.

Kasia uśmiechnęła się lekko, znalazła pod kocem rękę Julii-Anny, ścisnęła ją mocno. Może jednak przyszło coś dobrego z tej jej wyprawy do Zguby, choć powód przyjazdu tutaj nie był radosny, a i sam pobyt nie mógł być szczęśliwy. Może wreszcie Anna doszła do ładu z samą sobą. Nawet jeśli faktycznie Drozd będzie musiał szukać innej królowej. Umysł, pogrążony w półśnie, zaczął odtwarzać ich wcześniejszą rozmowę.

– Powiedziałaś, że chyba go kochasz.

Za oknem zrobiło się ciemno, znikło pół zawartości półtoralitrowej butelki.

Na podłodze zostało parę lepkich, czerwonych plam, Kaśka jakoś nigdy nie umiała dobrze wycelować do kieliszków.

– Ale z nim nie będę. Nie mam zamiaru wyprowadzać się z Warszawy. Poza tym bycie z Kamem jest nieznośne.

– A Drozd?

– Ja... nie wiem. Powinniśmy... przynajmniej na jakiś czas się rozstać. Nie powinnam... Nie powinnam go oszukiwać. Należysz?

Naląła. Przewróciła przy tym swój kieliszek, na parkiet wylała się jeszcze większa porcja likieru. Kaśka wstała, klnąc, szarpnięciem otworzyła szufladę, rzuciła Annie chusteczki. Przy okazji dostrzegła teczkę pełną papierów, wystawała z niej kartka. Podciągnęła – i zauważyła, że jest na niej twarz Drozda.

– Co to?

– Moje rysunki.

– Nie wiedziałam, że rysujesz. – Z teczką w dłoniach wróciła na podłogę, podparła się o łóżko, zaczęła przeglądać rysunki. Tak, na tym, który wyciągnęła, był Drozd, nie mogło być wątpliwości. Na następnym – jasnowłosa, ładna kobieta. Elżbieta? Nie, za młoda, więc może Jowita. Później trzy rysunki przedstawiające tego samego chłopaka i wreszcie jej własna podobizna, nawet z takimi kucykami, w jakie miała teraz. – Właściwie wielu rzeczy o tobie nie wiem. A sądziłam, że cię znam.

– Nie. Nie wiesz wielu rzeczy o Julii – burknęła Anna, nie zawracając sobie głowy kieliszkiem, piła prosto z butelki. Skrzywiła się zaraz, otarła usta dłonią. Likier naprawdę jest bardzo słodki, wypicie takiej ilości może sprawić, że zaraz mnie zemdle, pomyślała. – Mnie znasz doskonale. Wiesz, jakie filmy lubię oglądać, jakie książki czytam, co kupuję na deser, jakiej muzyki słucham, co robię, kiedy jestem smutna, co mnie irytuje i za którą czekoladą przepadam najbardziej. To Julia ciągle rysowała, zwykle to, co siedziało jej w głowie. Co było dla niej ważne.

Kaśka przez chwilę milczała, dalej przerzucała rysunki. Zdążyła poznać całą historię o Julii i Annie.

– Jestem tu ja i Drozd. Jeśli to Julia rysuje, a my jesteśmy ważni dla Anny, skąd się tu wzięły? Ty je narysowałeś. Anna i Julia to ty, wciąż ta sama osoba, tylko zmieniona. Dorosłaś, skarbie. To wszystko. Pogódź je wreszcie ze sobą.

Anna znów naląła likier do kieliszków. Chusteczka do nosa przykleiła się do podłogi. Kaśka – nie wiedzieć dlaczego – miała ochotę się śmiać.

– ...i wiesz?

– Aha?

– Skoro rysowałeś i rysujesz to, co masz w głowie... Zdajesz sobie sprawę z tego, że portretów Kamila, bo sądzę, że to on, jest tutaj trzy razy więcej niż kogokolwiek innego?

Wiedziała, na pewno wiedziała o tym doskonale, a jednak wzięła rysunek

z dłoni Kaśki, zaczęła go drzeć na małe kawałeczki. Jeden z nich padł na rozlany likier, oko Kama nasiąknęło czerwienią.

– I na żadnym się nie uśmiecha, Kaś. Nie wiem nawet, czy on... Czy go obchodzę. Wiesz, że wcześniej rozmawiałam o nim tylko z Kariną? Co jest strasznie zabawne, bo nie uwielbiamy się za bardzo. Chciałabym... chciałabym... Gdybym mogła porozmawiać z Elżbietą... Ale bałam się, co sobie o nas pomyśli. A teraz... nie będę mieć okazji.

– Pomyślałaś kiedyś, że skoro ty się zmieniłaś, on też mógł? Może należałoby parę rzeczy ustalić? Na początku: czego ty właściwie chcesz?

Anna bawiła się kieliszkiem, patrząc w otwarte okno.

– Nie wiem. Wiem, czego nie chcę. Znowu ich stracić. Zerwałam kontakty tylko z Kamem, ale unikałam wszystkiego, co kojarzyło mi się z przeszłością. Emil i Kam... Nie chciałabym, żeby zniknęli z mojego życia.

Noga jej zdrętwiała, spróbowała więc zmienić pozycję, podciągnęła koc. Dlaczego było tak chłodno? Ktoś zostawił otwarte okno? Uniosła powieki, ziewnęła, przypominając sobie, gdzie się znajduje. Leżała z głową opartą o bok śpiącej Kariny. Może jednak ta cała Karina nie jest taka sztywna i nudna, skoro wolała zostać z nimi niż wracać do łóżka? Kaśka miała niejasne wrażenie, że kobieta nie czuje się zbyt szczęśliwa. A gdzie w ogóle znikła Anna, wcześniej siedząca między nimi? Kasia uniosła głowę, rozglądając się dookoła. Tak, ktoś stał przy jednym z krzewów, Anna pokazywała go jej, gdy było jeszcze jasno. To ten? Queen Elizabeth? Już miała zawołać, gdy zorientowała się, że stojącą osobą jest mężczyzna, a ta wstrętna potwora kuca tuż obok niego. Niestety, mówili za cicho, żeby Kasia mogła usłyszeć cokolwiek z ich rozmowy. Trudno. Dowie się jutro. Cokolwiek by nie ustalili, jednego Kaśka była pewna: tym razem Anna nie będzie uciekać.

Może coś z tego będzie, pomyślała sennie. A może nie. Może się pozabijają. Ale chyba wreszcie wszystko sobie wyjaśnią. Jakoś odzyskają siebie nawzajem, jeżeli nie jako para, to przyjaciele. Chyba oboje tego potrzebują. Zwłaszcza teraz, kiedy stracili Elżbietę.

– Sądzisz, że do siebie pasują? – szepnęła Karina.

– Nie bardzo. Jeśli się zejdą, będą się sprzeczać dziesięć razy dziennie i doprowadzać nawzajem do szału – wymamrotała. – Rzuciłam mojego ostatniego chłopaka, bo nie umiał się ze mną kłócić. Zawsze mi ustępował. Nie dało się go wciągnąć w żadną porządną awanturę.

Poczuła, że Karina trzęsie się od tłumionego śmiechu. Tak, może jeszcze będą z niej ludzie, pomyślała z satysfakcją. Anna zdążyła opowiedzieć jej trochę o swojej przyszywanej szwagierce i z tej opowieści wyłaniał się obraz kobiety odrobinę narcystycznej, może nawet pustej, nieprzepadającej za ludźmi, ale też nie tak nieznośnej, jak mogłoby się wydawać. Gdy do nich dołączyła, Kaśka

stwierdziła ze zdumieniem, że Karina nie jest ani głupia, ani egocentryczna, lecz niepewna siebie, co było zaskakujące u pięknej kobiety, mającej wspaniałego męża i cudowne dzieci.

– Wpadnij do nas w Warszawie, w październiku – rzuciła, obserwując Annę. Ta wstała wreszcie, zaczęła krążyć dookoła krzewu róży, gwałtownie wymachując rękoma. Na chwilę podniosła głos, ale do huśtawki doleciały tylko pojedyncze słowa.

– Serio? Ja? – spytała Karina, autentycznie zdumiona, co najmniej tak, jakby zaproponowano jej wyprawę na Księżyc.

– Ano ty. Potraktuj to jako... wycieczkę. Alicja wpadła do króliczej nory i znalazła tam mnóstwo różnych rzeczy. To będzie coś takiego. Spotkasz mnóstwo szalonych ludzi. Pewnie takie życie nie jest dla ciebie na dłuższą metę, ale może fajnie czasem mieć przyjaciół po drugiej stronie lustra?

– Jesteś pijana – oznajmiła Karina, co może brzmiałoby oskarżycielsko albo lekceważąco, gdyby nie to, że choć wypła mniej niż Kaśka, miała znacznie słabszą głowę i wiedziała, że z całą pewnością rano obie będą odczuwać skutki kaca.

– Aha. I gadam od rzeczy. To wpadniesz na herbatkę do Szalonego Kapelusznika?

– Wpadnę.

– A chcesz może poziomkę? – spytała Kaśka, wydobywając z kieszeni resztki pogniecionych, rozmazanych owoców.

Skarżysko-Kamienna; Kraków,

grudzień 2011 – marzec 2012

SPIS TREŚCI

I. Anna

II. Karina

III. Anna

IV. Karina

V. Anna

VI. Karina

VII. Anna

VIII. Karina

IX. Elżbieta

X. Anna

XI. Karina

XII. Anna

XIII. Karina

XIV. Anna

XV. Kaśka: kieszenie pełne poziomek

